# może nie, może tak

Ewa Nowacka

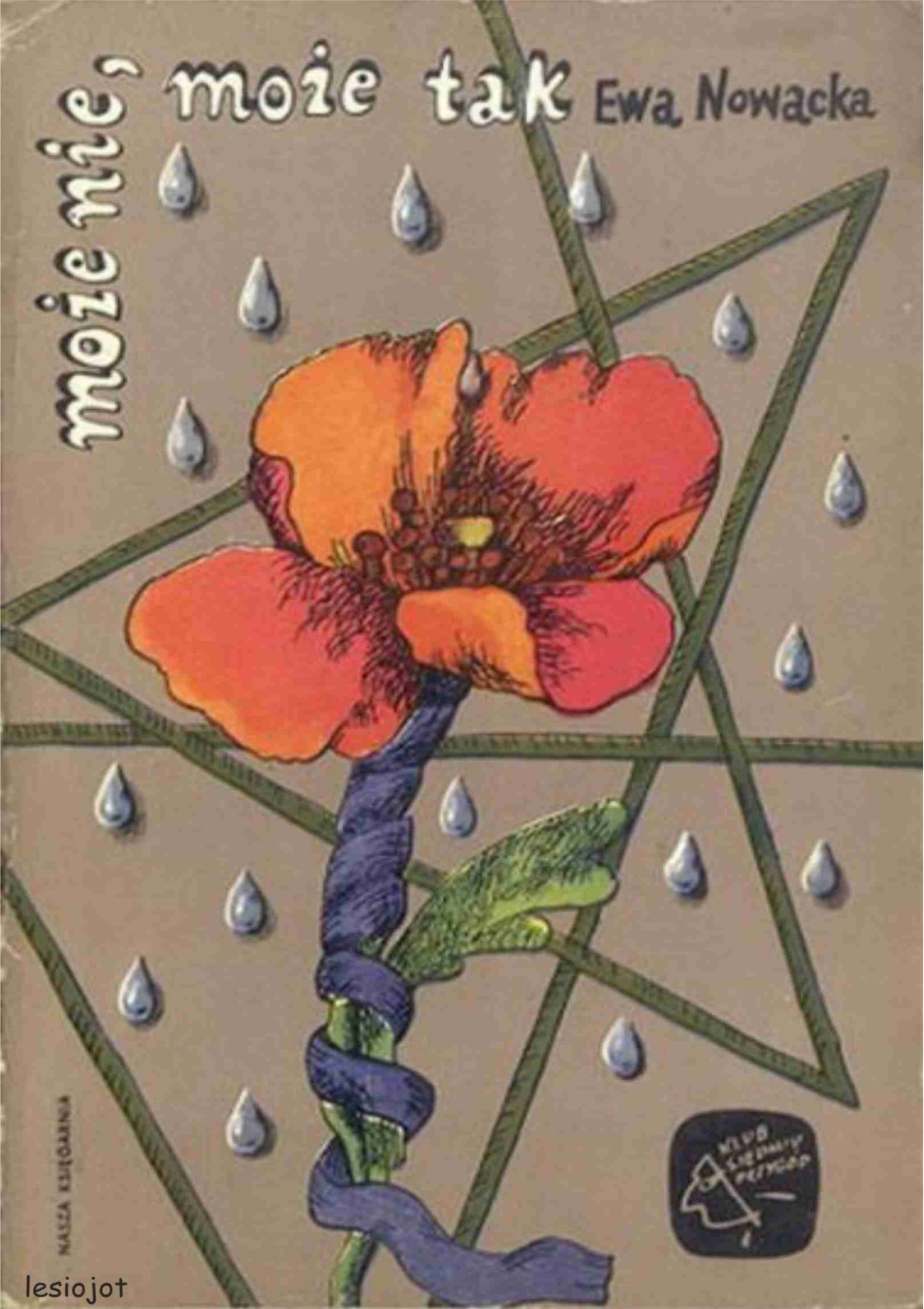

NASZA KSIĘGARNIA

lesiojot

Ewa Nowacka

# może nie, może tak

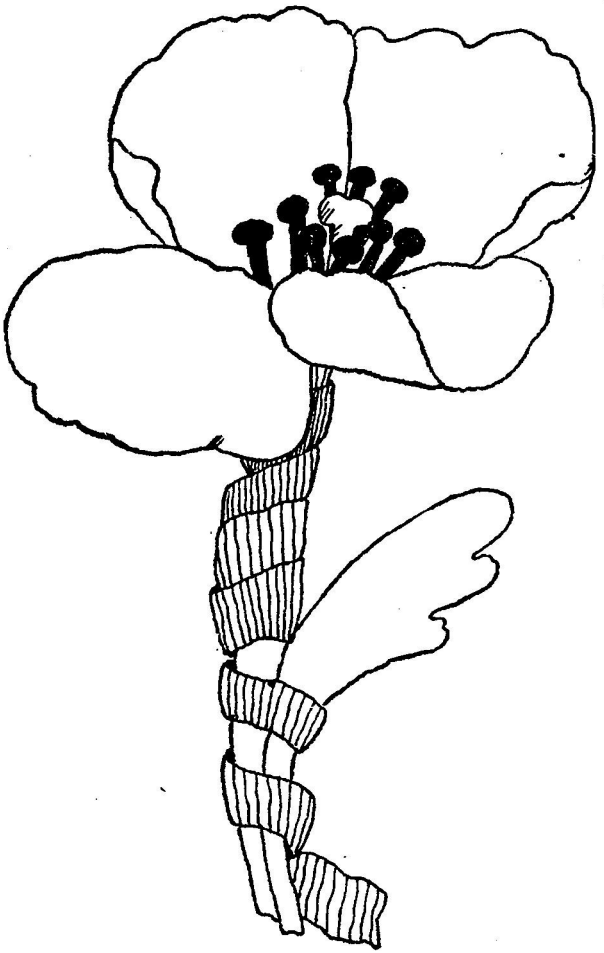

ILUSTROWAŁA • KRYSTYNA MICHAKOWSKA

NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1982 •

Redaktor: Maria Godlewska
Redaktor techniczny: Maria Englicht
Korektorzy: Małgorzata Chylińska, Nawojka Peliwo

ISBN 83-10-08230-4

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia" Warszawa 1982.
Wydanie trzecie.
Nakład 29 800+200 egzemplarzy.
Ark. wyd. 10,4. Ark. druk. 14.
Papier druk mat. kl. V, 71 g, 82X104/32. Oddano do składania w grudniu 1981 r. Podpisano do druku w czerwcu 1982 r. Druk ukończono w sierpniu 1982 r. Łódzka prukarnia Dziełowa, Zakład nr 1, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45 Zam. nr 8/1100/82. Z-103.

Najpierw wędrowałam i wędrowałam wśród trzcin, wysokich i szeleszczących, zamykały mnie tunelem pełnym szumu, trzepotu, ptasich głosów, potem dopiero była zatoczka o spokojnej wodzie. Pac, pac, pac, zapadały w toń żaby, by za moment wystawić ciekawe oczy spod liści grążeli, chciały widzieć wielkie stworzenie, które tak ciężko tupało na brzegu, i trudno się dziwić, że chciały je widzieć. Kiedy zerkały na mnie, czułam się jakaś szczególnie wielka i potężna, coś w rodzaju Waligóry, Wyrwidęba albo smoka. Rodzina zaskrońców zażywająca kąpieli słonecznej na pniu obrośniętym czapą mchu ignorowała moje przybycie. Leżały bez ruchu w białej plamie słońca i udawały, że nic nie wiedzą o potworze, pod którego stopami ugina się brzeg.

— Idźcie popływać — mówiłam zachęcająco do leniwych zaskrońców, a namawiałam je na kąpiel nie tylko dlatego, że miałam ochotę chociaż raz usiąść na aksamitnie zielonym pniu, ale i dlatego, że trochę się bałam tych długich, lśniących ciał wygrzewających się w słońcu.

Trochę się też bałam ogromnego szczupaka stojącego nieruchomo, zawsze w tym samym miejscu, woda łamała migotliwie srebro jego łusek, on chyba spał w cieple letniego przedpołudnia, obojętny na ławice rybiego drobiazgu kręcącego się niestrudzenie tu i tam, podpływającego do samego brzegu i rzucającego się bez powodu do ucieczki.

— Mogłybyście wziąć pod uwagę, że szczupak po drzemce lubi coś przekąsić. — Już byłam w wodzie, przezroczystej i chłodnej, odwróciłam się na plecy i leżałam patrząc w niebo. Właśnie odeszło słońce, puchaty obłok stanął nieruchomo nad jeziorem. — Poważne i rozsądne ryby nie kręcą się szczupakowi pod samym nosem.

Potem popłynęłam bardzo wolno i cicho, żadnych tam rozchlapywań wody, krauli, delfinów i motylków, ta zatoka wymagała przyzwoitej żabki, zresztą nie śpieszyło mi się

nigdzie, ani na brzegu, ani w wodzie nie było nikogo, przed kim musiałabym się popisywać.

Zaskrońce dalej spały na swoim pniu, szczupak drzemał w przezroczystej wodzie, żaby obserwowały mnie uważnie — gdy wyżymałam na brzegu mokre włosy.

Nic ciekawego. Wzrost około metra sześćdziesięciu. Niecałe pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Nos zadarty, włosy niezdecydowane, mogę być ciemną blondynką albo szatynką, jak kto woli, oczy piwne, znaków szczególnych brak.

— Powinnaś codziennie pić co najmniej litr mleka — mówi mama, patrząc na mnie bez szczególnego zachwytu.

— Dlaczego?

— Wszystko wisi na tobie jak na wieszaku.

— Sporo ważę. Agnieszka...

— Madziu, przestań mi wmawiać, że wyglądasz jak pączek w maśle. Być może te twoje źrebakowate kości dużo ważą, ale...

Jeżeli ktoś widział kiedyś źrebaka, wie, co mama chciała mi powiedzieć. Mój szkielet jest w pewnym sensie na wyrost. Jeżeli chodzi o nogi, to od dołu chudziutko, od góry chudziutko, w środku kolano od zupełnie innej nogi, masywne i solidne, ręce mam także wyraźnie za duże i stopy jak podolski złodziej. Powiem szczerze i otwarcie, że nie przypominam dziewczyn z okładek kolorowych tygodników.

Dawniej nie myślałam o tym, czy jestem ładna, czy nie. Kiedy wspominam tamten czas, wydaje mi się, że wszystkie byłyśmy takie same, najwyżej jedna miała jaśniejsze włosy, a druga ciemniejsze, ktoś miał piegi, a ktoś inny nosił okulary. Aż przyszedł taki dzień, w którym okazało się, że wcale nie jesteśmy już takie same.

To była zabawa, taka najnormalniejsza szkolna zabawa, z kolorowymi czapkami, pączkami i z konfetti, bardzo lubiłam ten wesoły harmider, wrzask orkiestry, tłok, w którym hasałam z Agnieszką, Beatą czy Joanną. W zeszłym roku poprosiłam do tańca pana od gimnastyki, powiedział, że gdybym była wyższa, toby mnie wziął do drużyny koszykówki — mam dobrą

skoczność i refleks.

Od razu kiedy weszłam na salę, wiedziałam, że coś jest zupełnie inaczej, ale jeszcze nie wiedziałam co. Już grali, ale nikt nie tańczył, wszystkie dziewczyny albo bardzo głośno rozmawiały, albo patrzyły przed siebie dziwnym, niewidzącym spojrzeniem. Mijałam je kolejno, mówiłam: „cześć", a one mnie wcale nie widziały i nie słyszały. Jakbym nagle przestała istnieć.

Dotarłam wreszcie do Agnieszki, tylko po to, aby zobaczyć, że ona także ma takie same niewidzące oczy i że na coś czeka, pochylona do przodu i milcząca.

— Chodź, Paproch, zatańczymy — odezwałam się do niej tak samo jak rok temu. — Fajnie grają.

Pewno nie usłyszała, więc powtórzyłam:

— Rusz się, Paproch! — Do Agnieszki mówi się Paproch dlatego, że opisując na fizyce jakąś zawiesinę z opiłkami, nazwała te opiłki paprochami, i tak już zostało.

Pociągnęłam ją za rękę, żeby wreszcie wstała, ale ona wyszarpnęła się.

— Nie chcę.

A potem dodała bardzo prędko i cicho:

— Nie gniewaj się, Magda.

To było tak, jakby nagle na środku ulicy, na której zna się każde drzewko i każdą płytę chodnika, wybuchnął — ni z tego, ni z owego — wulkan. Dotąd Agnieszka chciała tego samego, co ja, i ja chciałam tego samego, co Agnieszka. Słowo! Przecież wcale się nie umawiałyśmy, a okazało się, że każda z nas wybrała taką samą letnią sukienkę, lubiłyśmy te same przedmioty i tych samych nauczycieli, miałyśmy jednakowe zdanie o dziewczynach i chłopakach, podobały nam się te same filmy.

— Wracamy przez park, Magda.

— Genialnie! Miałam ten sam pomysł.

Albo;

— Paproch, co o tym myślisz...

— Żeby zapuścić włosy? Może być.

Albo:

— Magda...

— Tylko bez uników. Klasówka też dla ludzi. Nic się nie łam, Paproch.

Mogła nic nie mówić, ja i tak wiedziałam o niej wszystko, i ja mogłam nic nie mówić, bo Agnieszka wiedziała wszystko o mnie. Kiedy się bałam i kiedy byłam wesoła, kiedy się martwiłam i kiedy się wygłupiałam, kiedy chciałam czegoś i wtedy, gdy czegoś nie chciałam.

Przyszłam tu z moją radością i chęcią zabawy — która powinna była być radością i chęcią zabawy Agnieszki — po to, żeby się dowiedzieć, że Agnieszka mnie wcale nie potrzebuje. Czasami szczeniak goni dorosłego psa, przysiada przed nim na grubych łapach, macha radośnie ogonem: „Pobaw się ze mną, bardzo proszę" — a ten dorosły pies, zajęty własnymi sprawami, w ogóle nie zauważa smarkacza, nie warczy na niego, nie szczerzy zębów, po prostu dla niego taki szczeniak nie istnieje.

— Jak nie chcesz teraz, to ja poczekam.

— Poszukaj kogoś innego, Magda.

— Kogo?

— Oj, wszystko jedno.

Tak właśnie mi poradziła. Bo ona wcale nie chciała, żebym nad nią stała, wolałaby, żebym odeszła i przestała nudzić.

Ale ja nie umiałam odejść, tkwiłam przy niej bliska płaczu, nic nie rozumiejąca, orkiestra grała i grała, nikt nie tańczył i w ogóle było dziwnie. I trochę strasznie, przynajmniej dla mnie.

Już nie pamiętam, jak odkryłam tajemnicę spojrzenia Agnieszki. Chyba dlatego to zauważyłam, że jej oczy wędrowały tu i tam, błagalne i czekające. Ona patrzyła na Wieśka, który wychodził, wchodził, gadał z chłopakami, zbliżał się do orkiestry i cofał. A cokolwiek robił, towarzyszyło mu spojrzenie Agnieszki.

Nie lubiłyśmy Wieśka... Właściwie powinnam powiedzieć, że to ja nie lubiłam Wieśka. Traktował mnie jak nicość i już w podstawówce udawał dorosłego, wszędzie był, wszystko widział, trzymał się wyłącznie z chłopakami z liceum, jeździł na srebrnej wyścigówce po osiedlu, na ramiona spływały mu

ciemne włosy.

— Jesteś z siódmej? — zahamował tak, że omal nie uderzył mnie kołem.

— Tak.

— Masz złotówkę?

— Mam. A bo co?

— Nie odymaj się, mała. Pójdziesz do budki, tutaj jest numer. Wykręć i poproś Milenę.

—Ja?

— Ty. Ja mam krzywo u jej familii, poznają mój głos. No, mała, bądź człowiek. Powiesz Milenie, że czekam przy piaskownicy. Ona będzie wiedziała. Złotówka nie majątek.

Poczułam się obrażona tą prośbą, ale poszłam do budki, wykręciłam numer, Wiesiek stał obok mnie i uśmiechał się, kiedy powtarzałam sumiennie o tej piaskownicy, nawet z własnej woli dodałam, żeby się pospieszyła.

— Kto dzwoni? — chciała wiedzieć Milena, a ja odpowiedziałam, że to nieważne, ktoś i koniec.

Rzecz jasna znałam ją i ona mnie chyba znała z widzenia, rok temu chodziła do naszej szkoły, spacerowała wieczorami z białym szpicem, Miśkiem, na tych spacerach zawsze łaził za nią jakiś chłopak, raz to był Dariusz, raz Robert, później Sławek, Maciek, Michał, teraz najwidoczniej Wiesiek.

— Jak ona się ładnie rusza — mama zawiesiła konewkę z wodą nad petuniami w skrzynce. — Przeważnie dziewczyny chodzą w długich spódnicach brzydko, jak dragony, ta Milena ma styl.

Spojrzałam z balkonu w przezroczysty wieczór, którym przechodziła Milena. Gdyby mama nie powiedziała przedtem o tym stylu, na pewno bym nic nie zobaczyła. Ale to była prawda — ona szła tak, jakby tańczyła albo jakby patrzyło na nią tysiące oczu.

— Ty zawsze ścinasz obcasy. Nigdy nie widziałam kogoś, kto by tak unicestwiał buty — westchnęła mama z przyganą. — Zanieś jutro sandały do szewca.

Więc znałam Milenę od dawna i znałam Wieśka, ale nie było mi przez to wcale lżej, gdy tak stałam przy Agnieszce, mojej

przyjaciółce, na tamtej zabawie. W pewnym momencie przyszło mi do głowy, że może Paproch ma coś powtórzyć Wieśkowi od jakiejś dziewczyny, i ta myśl trochę mnie uspokoiła.

Żeby się oderwać od niedobrych spraw, przejechałam spojrzeniem po czekających dziewczynach. I nagle zobaczyłam to, czego dotąd nie dostrzegłam. One były inne, trzynaście, czternaście, piętnaście lat, tyle, co ja, ale ja byłam taka sama jak zawsze, a one już nie.

I właściwie trudno powiedzieć, na czym to polegało. Mam takiego wujka, o którym ojciec zawsze mówił: „chłopak", ten wujek był naprawdę jakby chłopakiem, nieduży, szczupły, ciemnowłosy, stale coś majstrował, wypływał w rejsy, przynosił klasery ze znaczkami, „któregoś dnia zabiorę Magdzioła do »Hortexu« na największą porcję lodów na świecie" — aż się nie chciało wierzyć, że on gdzieś pracuje, zarabia pieniądze i jest tylko o cztery lata młodszy od ojca. No, a któregoś dnia zauważyłam, że wujek nie tylko porusza się jakoś sztywno i nienaturalnie, ale ma zmarszczki, takie łapki w kącikach oczu, ledwo, ledwo widoczne, ale ma. I wtedy zrozumiałam, że on wcale nie jest młody. Coś takiego było z dziewczynami; niby te same, co rok temu, co miesiąc temu, co tydzień temu, a naprawdę —już zupełnie inne. A może one dawno się zmieniły, tylko ja tego nie zauważyłam?

Tak stałam i stałam, nie mając pojęcia, co zrobić, żeby Agnieszka była z powrotem Agnieszką, aż wreszcie pojawił się jakiś chłopak z ósmej, Paproch zerwał się i ruszył w tany, nie poświęcając mi jednego spojrzenia. Tańczył, wdzięcznie poruszając ramionami i przesadnie uginając kolana, śmiał się i był zupełnie innym Paprochem niż moja Agnieszka. Inne dziewczyny też tańczyły, wszystkie tańczyły z chłopakami, a ja niczym sumienny strażnik wartowałam przy pustym krzesełku, coraz bardziej przerażona, smutna i niepewna.

— Nie tańczysz? — pan od gimnastyki zatrzymał się obok mnie, pewno mu się zrobiło żal samotnej biduli. — Dlaczego nie tańczysz, Magda? Nie masz ochoty?

— Nie lubię.

— Coś nowego. Dawniej chyba lubiłaś?

— Człowiek się zmienia.

— Tak, oczywiście — zgodził się i poszedł ku drzwiom, nie zawracając sobie więcej głowy moimi kłopotami. I dobrze, że poszedł, z dwojga złego wolałam samotność niż współczucie. Na pewno wyglądałam jak bida z nędzą, podług określenia mojej babci, albo jak panna Migotka uwięziona w potężnych kajdanach opatrzonych żelazną kulą, ten rysunek zawsze budził we mnie litość dla biednej panny Migotki. Była taka bezbronna ze swoją grzywką nad kartoflowatym nosiskiem i ze swoim ogonkiem kokieteryjnie ozdobionym kokardką.

Nikt nie chciał ze mną tańczyć, chłopcy mijali mnie obojętnie, rozglądali się, prosili Beatę, Joannę, Kaśkę, Agnieszkę, Hankę, ale nie mnie.

Rozszerzone źrenice, policzki w wypiekach, trzęsące się wargi, tak musiałam wyglądać, teraz wiem o tym, można się kogoś takiego przestraszyć, zresztą to bez znaczenia, jak wtedy wyglądałam.

— Wybierz. — Z pewnym trudem zrozumiałam, że to ja mam wybrać, ktoś podsunął mi koszyk pełen papierowych kwiatów, machinalnie wzięłam wielki mak leżący na wierzchu i ścisnęłam go mocno w palcach. — Przypnij. — Ten ktoś od kwiatów (dotąd nie wiem, kto to był, patrzyłam na niego nie poznając) przyciszył głos: — Komu powiedzieć, żeby wziął mak?

Milczałam, a tamten cierpliwie powtórzył:

— Komu powiedzieć?

A więc to jest tak, to tak. Sekrety, tajemnice, cichnące szepty, coś dla niej, dla niego, tej, tamtego, dla Joanny, Beaty, Aliny, Hanki, Katarzyny. Dla Agnieszki.

Dla mnie nie. Dla mnie nie.

— Z kim się umówiłaś?

— Z nikim — odpowiedziałam wreszcie cicho i z nienawiścią. —Ja nie chcę, wiesz?

— Dobra, nie złość się. Twoja rzecz.

Ciągle jeszcze trzymałam ten bibułkowy kwiat, szerokie czerwone płatki, brązowe zwitki w środku, czarna łodyżka z jednym zielonym liściem. Wiedziałam, że nikt nie wybierze

drugiego maku, bo ten pierwszy trzymałam ja. Właśnie dlatego, że ja. Widziałam kiedyś film: duża, ciemna sala pełna ludzi, rozbłysnęło światło, jedna twarz, druga, trzecia, powoli z ciemności wyłaniali się wszyscy, którzy tam byli, starzy i młodzi, brzydcy i piękni, tylko jeden kąt pozostał mroczny. Tam ktoś był.

Albo inaczej. Przy zabawie w ciuciubabkę tylko ktoś jeden ma zawiązane oczy, śmiesznie maca przed sobą rękami, potyka się, można przebiegać obok niego, potrącać, zakradać się z tyłu. Ciuciubabka nie wie, nie widzi, jeżeli jej się uda coś złapać, to raczej przypadkiem, strasznie śmieszna jest taka ciuciubabka. Kto mi zawiązał oczy? Dlaczego?

— Hanka, zamień się ze mną — rozpoznaję głos Agnieszki. — Tobie wszystko jedno.

— Co masz?

— To. Chyba niezapominajka.

— Wolisz słonecznik?

— Tak. Bardzo proszę.

— Bierz. Mam dobre serce. A nie wolałabyś przypiąć sobie takiego ślicznego, czerwonego serduszka?

— Daj spokój — przerwała blado Agnieszka, mój Paproch, moja przyjaciółka.

— Nie wypieraj się, słyszałam od dziewczyn. Winszuję, ale nie zazdroszczę.

Nie mogłam tego słuchać. Już dawno działo się coś, o czym powinnam była wiedzieć, coś, z czego podśmiewała się Hanka, o czym plotkowały dziewczyny z naszej klasy. Gdyby to była nieprawda, inaczej brzmiałby głos Agnieszki, nie tak blado, lękliwie, nie z tym tonem prośby, żeby nie wyśmiewać jej tajemnicy.

Zrobiło się straszne zamieszanie, orkiestra już grała, chłopcy szukali dziewczyn, dziewczyny chłopców, niezapominajka niezapominajki, róża róży, fiołek fiołka.

— Taki sam ma Marek...

— Beatko, słoneczko, popatrz, gdzie jest lilia.

— Coś ty! Przecież miałam wziąć tulipan.

— A to nie jest tulipan?

—Nie!

Podobierali się wreszcie. Jest coś takiego w tangu niedobrego, smutnego, może nie w każdym, w tym, które wtedy grali, na pewno było.

Słonecznik tańczył oczywiście ze słonecznikiem, Agnieszka wydawała się bardzo niska przy wysokim Wieśku. Coś mówił do niej, pokręciła przecząco głową. Uśmiechnął się i ona się także uśmiechnęła. Czego ja chcę? Przecież po to przychodzi się na zabawę, żeby tańczyć. Dlaczego Agnieszka miałaby tańczyć ze mną, jak rok temu, jak dwa lata temu? Może tańczyć z Wieśkiem. Może tańczyć, z kim ma ochotę. Ale dlaczego coś mnie dławi w gardle, gdy tak stoję z ogromnym czerwonym makiem w dwóch palcach, na tle ściany i długiego rzędu pustych krzeseł?

— Co jest, Magdzioł, jak rany?

— Nic — odpowiadam Kaśce patrzącej na mnie zza ramienia Krzysztofa. — Nic nie jest.

Odtańczyli, a ja stałam dalej, nie wiadomo czemu nie przyszło mi do głowy, że po prostu mogłabym pójść sobie. Wrócić do domu, oświadczyć, że mnie rozbolała głowa albo coś w tym stylu, zamknąć się w pokoju i bez świadków opłakać podstępną zdradę Agnieszki, swoją inność i ten czerwony kwiat, który trzymam zupełnie niepotrzebnie.

Saksofon urwał swój lament, jęknęła po raz ostatni trąbka, Agnieszka powędrowała za Wieśkiem ku drzwiom, coś mówiła, widziałam, jak zatoczyła szerokie koło ręką. Co to mogło znaczyć? Co powiedziała do tego wysokiego chłopaka o długich włosach, za którym szła tak ulegle? „Magda? Magda jest poprzeczniak. Już się nie przyjaźnimy. Popatrz, tam stoi i jest zła jak osa". Może tak właśnie mówiła. A może zupełnie co innego. Na przykład o tym, że napiłaby się coca-coli, albo o tym, że saksofonista fałszował. Teraz, dzisiaj, nie odgadnę żadnej myśli Agnieszki, Paprocha, przyjaciółki, bo nie wiem, co ja, Magda, zwana Magdziołem, mówiłabym, gdybym to ja — przyozdobiona małym słońcem o brązowym środku — szła za wysokim, ciemnowłosym chłopcem ku drzwiom.

— Magda... — To jest głos Agnieszki, palce Agnieszki ściskają

moje palce trzymające czerwony mak. — Magda, nie gniewaj się, ja ci wszystko powiem... — A więc jednak wróciła, chce mnie pocieszyć, coś tłumaczy, poczułam równocześnie i ulgę, i złość, chociaż nie potrafiłabym wytłumaczyć, na kogo czy na co się gniewam. — Magdzioł, nie bądź taki, no, Magdziol...

— Mogłaś mi powiedzieć wcześniej, że ci przeszkadzam. — Agnieszka zamrugała, przerażona moim tonem. — A tłumaczyć nic nie musisz, każdy wie, że latasz za Wieśkiem.

— Magdzioł...

— Nie jestem żaden Magdzioł — brnęłam dalej, zacinając się ze złości. — Znalazłaś sobie koleżankę, Magdziołka, matołka, cielę na niedzielę, powiesz mi byle co i cześć, ja się ucieszę i sam miód z chałwą! Powiedz to lepiej swojemu Wiesiulkowi...

Agnieszka odstąpiła krok do tyłu.

— Magda, coś ty...

— To! Właśnie to! — prawie warknęłam, aż się sama zdziwiłam, że potrafię tak zawarczeć.

Ona zwyczajnie ode mnie uciekła, już jej nie było.

— Ty jesteś Magda?

Język mi skołczał, poczułam, że blednę.

— Długo mam czekać z tymi pączkami dla was? Agniecha poszła po ciebie i przepadła. — Wiesiek dopiero teraz zauważył, że coś ze mną jest nie tak, zupełnie nie tak. — Usiądź, mogę ci przynieść oranżady, jak chcesz.

— Nie chcę.

— Ale usiądź — popchnął mnie w stronę krzesła, usiadłam, chociaż powinnam była stać dalej wyprostowana, z czerwonym makiem w ręce. — Śmieszna jesteś.

Pochylił się, zajrzał mi prosto w twarz.

— Agniecha nie wspominała, że jesteś przygłucha, przykry defekt. Poczekaj, ty na jesieni dzwoniłaś do takiej jednej...

— Do Mileny.

— Jasne, do Mileny. Jestem ci winien złocisza. Wolisz monetę czy w postaci płynnej? Nie patrz tak, proponuję ci oranżadę.

— Nie chcę!

— Pięknie. Jak przyjdzie Agniecha, powiedz, że jej szukałem. To chyba możesz?

Musieliśmy bardzo dziwnie wyglądać, ja skulona w czworo na krzesełku i ten Wiesiek pochylający się ku mojej spuszczonej jak najniżej głowie.

— To chyba możesz?

Ja... ja go nienawidziłam. Wyśmiewał mnie w jakiś dziwny, nieznany sposób i dlatego, że mnie wyśmiewał, pochylał się nade mną i pytał tak, jak się pyta głupiego dzieciaka, który ryczy nie wiadomo z jakiego powodu.

— Rozmowna nie jesteś, stanowczo ci odradzam w przyszłości prawo, adwokat musi mieć gadane. Wiesz, mam coś dla ciebie. Co byś powiedziała, gdybym ci przyniósł drugi mak do kompletu? Wiem, gdzie go szukać.

Już go nie było, a ja zerwałam się tak pospiesznie, że krzesło upadło, i pobiegłam do drzwi. Było mi wszystko jedno, czy ktoś widzi moją ucieczkę, byle dalej od tego miejsca, tej sali, płaczu saksofonu, jęczenia trąbki, grzmotu bębna, od tych wszystkich tańczących, od Agnieszki i od jej wstrętnego Wieśka. Kto mu dał prawo wyśmiewać się ze mnie? „Masz złotówkę, mała". Małej za złotówkę należy się oranżada. „Powiedz Milenie, że czekam". „Powiedz Agnieszce, że jej szukałem..." Znalazł sobie posłańca, papugę, kogoś do powtarzania i przekazywania. Nie, nic nie będę powtarzała.

Zrywam z wieszaka płaszcz, nie mogę trafić w rękawy, na podłogę wypada szalik, rękawiczki, czapka.

— Jeszcze wcześnie — uspokaja mnie pani woźna ze swojego stołka przy drzwiach szatni. — Chyba powiedziałaś w domu, że zabawa do dwudziestej pierwszej?

— Ja muszę — odpowiadam nie bardzo do sensu, usiłując jakoś dojść do ładu z rozdygotanymi rękami, z paltem, które stało się złośliwe i nieposłuszne, z rękawiczkami, które znowu spadły. — Ja muszę już.

— Tak cię surowo trzymają? — dziwi się pani woźna. — Wcale bym nie pomyślała. Udała się zabawa?

— Bardzo.

— A gdzie Agnieszka? — pyta, bo wie doskonale, że zawsze wychodzimy razem, to znaczy zawsze wychodziłyśmy razem, dzisiaj...

— Została jeszcze.

—Aha.

To „aha" brzmi jakoś dziwnie, jakby pani woźna odgadywała wszystko, co zdarzyło się w sali na pierwszym piętrze. Przez moment mam ochotę powiedzieć coś strasznego o Agnieszce, nie mówię nic.

— Z Agnieszką dzisiaj przyszedł ten Wiesiek, który w zeszłym roku skończył ósmą. Chodził prosić do pani dyrektorki, żeby go wpuścili.

Dlaczego ona to mówi? Po co?

— Chłopak jak świeca z niego wyrósł, a jeszcze w piątej, pamiętam, takie to było liche i zapyziałe, zawsze go kuksali w szatni, a on się mazał. Strasznie był płaksiwy i nie umiał się bić. Nieraz go broniłam...

Jakoś udało mi się wreszcie naciągnąć płaszcz.

— Uciekasz? — znalazł mnie wśród szaragów i wieszaków, był tutaj, żeby się dalej naśmiewać. — Ja jestem słowny — wyciągnął do mnie bibułkowy kwiat. — Proszę, weź.

— Sam sobie weź!

— Mnie niepotrzebny. Mam słonecznik.

Włożył mi ten śmieszny, szeleszczący mak do ręki, zacisnął moje palce na łodydze.

— Kwiat Kory.

— Czyj? — To, co powiedział, było takie nieoczekiwane, że cała moja złość gdzieś odeszła.

— Kory. Zbierała maki, kiedy przycwałowały czarne konie. Zupełnie inaczej mówił niż tam, na górze, i dlatego teraz mnie było jakoś łatwiej odezwać się lekceważąco, z wyraźną drwiną:

— Często ci odskakuje szajba?

Wyrwał mi bibułkowe płatki, zmiął, rzucił na podłogę.

— W porządku. Już nie ma.

— A kosz od czego? — skarciła pani woźna. — Dorosły chłop, a śmieci jak pierwszaczek.

— Przepraszam. Zaraz zbiorę. Zaszeleściła bibułka, mignęło czerwienią.

— Pozdrów Agnieszkę! — zawołałam w ślad za nim i w tej samej chwili poczułam, że wcale nie chcę, aby odchodził, i że

mogłabym go nawet przeprosić za to, co powiedziałam. I teraz pragnęłabym mieć ten bibułkowy mak, kwiat Kory, który zmięty leżał na dnie kosza.

Czerwieniąc się aż do bólu, udałam, że spadły mi znowu rękawiczki. Pochyliłam się, namacałam bibułę.

— Czegoś taka zła, Madziu? Chłopak ci kwiatek przyniósł, a ty na niego huru, buru.

— Po co się wygłupia? Nie potrzebuję!

Jednocześnie dotknęłam już skrytych w kieszeni, zgniecionych płatków, połamanej łodyżki.

— Wcale bym nie powiedziała, że się wygłupia — pani woźna parę razy poruszyła trzymanymi w rękach drutami, westchnęła. — W waszych latach sami nie wiecie, co jest naprawdę, a co tylko tak. Troje własnych wychowałam, a tu przez piętnaście lat na cudze patrzę, to się i napatrzyłam różności.

Wieczór mazał się drobnym deszczem, lśniły mokre chodniki, latarnie otaczało kolisko drżącego światła, nieliczni przechodnie prawie biegli pod uporczywym, zimnym kapaniem. Tylko ja jedna wędrowałam powoli i nie spieszyłam się nigdzie.

Już nie bolała mnie tak zdrada Agnieszki, nie rozmyślałam nad swoją samotnością w czasie zabawy, to wszystko stało się mniej ważne. Zdaje się, że w zeszłym roku spytałam mamę, dlaczego prawie wszystkie powieści, filmy i sztuki są o miłości, a mama powiedziała, że ludzie chcą wracać do własnych przeżyć i wzruszać się nimi jeszcze raz. Nie wydawało mi się to zbyt przekonywające, osobiście wolałam ciekawe przygody niż historyjki o tym, że najpierw się pokłócili, a potem pogodzili i wszystko skończyło się dobrze. Tych, które kończyły się tragicznie, także zresztą nie lubiłam, o wiele bardziej interesujące były poszukiwania ukrytego przed wiekami skarbu, podróże po dalekich krajach, fajne draki i w ogóle.

Kiedy czytałam te książki o miłości, nie przychodziło mi nawet do głowy, że kiedykolwiek coś takiego mogłoby się przydarzyć i mnie. Przecież jak się czyta historie z innych planet albo coś o Indianach, to wcale nie znaczy, że się kiedyś poleci na Wenus albo będzie się polować razem z Winnetou na

Wielkich Równinach.

Parę miesięcy temu była w naszej szkole reporterka z mikrofonem, pytała, którą postacią z książek chciałoby się być.

— Anda z „Godziny pąsowej róży". Już ja bym im narozrabiała. Wtedy by dopiero zobaczyli.

— Wybieram Kmicica. —A ja pana Michała.

— Kleopatrę.

— Dlaczego Kleopatrę?

— Każdy się w niej musiał zakochać. Ja to widziałam na filmie. Pani pamięta, jak wjeżdżała na sfinksie?

— Ania z Zielonego Wzgórza. Ona miała fantazję i była dzielna. Czytałam dalsze tomy. Wie pani, że Ania wyszła za Gilberta? A jedna jej córka miała na imię Rilla. Rilla ze Złotego Brzegu. Tą Rillą też bym chciała być.

— Wybieram Achillesa.

— Achillesa?

— No, tak.

— Zabił Hektora, był kłótliwy, okrutny, pyszny.

— Hektora zabił w uczciwym pojedynku, mógł też zginąć.

— No, taki za uczciwy to ten pojedynek nie był, Achillesa ciosy nie mogły dosięgnąć, żeby nie ta pięta... Ale Hektor o pięcie nie wiedział.

— Mimo wszystko chciałbym być Achillesem.

— A ty? — podsunięto mi mikrofon pod same wargi. — A ty kogo wybrałaś?

W myślach przemknął mi długi szereg postaci, takie, inne, ciekawe i mniej ciekawe, szlachetne i podłe, ale nie potrafiłam wskazać na żadną. Ja to ja, i koniec.

— Nie mam takiej postaci.

— Zastanów się. Nie chciałabyś przeżyć ciekawych przygód? Nie chciałabyś żyć w dawnych czasach? Nie chciałabyś odbyć podróży na odległe planety?

— Nawet gdybym chciała, to tak nie będzie. Nie mogę być kimś innym.

— Jasne, że nie. To tylko taka zabawa.

Kiedy na ekranie wyginała się pieśniarka, kiedy aktorka szumiała suknią o wspaniałych falbanach, Agnieszka mówiła:

— Jak ja będę śpiewała...
— Jak zostanę aktorką...

Tak naprawdę nie bardzo wierzyła, że coś takiego mogłoby się kiedyś spełnić, ale nie wykluczała takiej możliwości. Kto wie, co przydarzy się człowiekowi? I aktorka była kiedyś najzwyczajniejszą dziewczynką, która także nie wierzyła. Ale ja nigdy tak nie mówiłam, mnie nie mogło się zdarzyć nic podobnego. To, co jest niemożliwe, to jest niemożliwe i już.

Idąc przez wieczór i drobny deszcz, dowiedziałam się czegoś nowego o sobie. Ja... ja mogę się zakochać.

Już teraz zastanawiam się, co będzie, kiedy się spotkamy jeszcze raz, a spotkamy się na pewno — na osiedlowych uliczkach, w autobusie, przed kinem. Jeżeli będę z Agnieszką, on do nas podejdzie. Nie, nie z Agnieszką, wolę być wtedy sama. Już się nie będę przyjaźniła z Paprochem, wszystko przez nią, nawet ta zmięta bibułka w kieszeni to także jej wina. Nie chcę! Nie potrzebuję! Wcale mi nie zależy na Wieśku ani na spotkaniu. Na tym pomiętym śmieciu także mi nie zależy, mogę go w tej chwili wyrzucić.

Najgorsze, że to nieprawda. Mogę powtarzać w kółko, że mnie nic nie obchodzi, że nie potrzebuję, ale sama wiem — to nieprawda. Już nic nie rozumiem. Jeszcze dwie godziny temu potępiałam Agnieszkę, Beatę, Kaśkę, Joannę, że chcą tańczyć z chłopcami, że się poumawiały, że coś je odmieniło, a tu okazuje się, to samo odmieniło także i mnie.

W świetle ulicznej latarni wpatruję się w zwiteczek kolorowej bibułki, zasycha mi w gardle, bardzo blisko pod powiekami mam łzy. Żebym chociaż wiedziała, dlaczego odnalazł mnie w szatni, po co powiedział tak dziwnie o tym maku? Nikt mnie nie poprosił do tańca, nikt nie przypiął sobie drugiego maku, jest się z czego śmiać, więc on mógł się ze mnie wyśmiewać, to jasne. Nie, nie, nie! Nawet pani woźna zauważyła, że to wcale nie było wyśmiewanie, wygłup, zgrywa. Więc co?

— Jak się bawiłaś, Madziu?
— Świetnie.
— Jakoś wcześnie się skończyło.
— Wcześnie.

Manewruję tak, żeby nikt nie zobaczył mojej twarzy, zresztą nie są ciekawi, patrzą w telewizor, ojciec jednym okiem usiłuje czytać gazetę, brat udaje, że jest znudzony serialem, ale nawet nie odwraca głowy, kiedy przechodzę.

— Nastaw wodę, Madziu.

— Nastawię.

— Przynieś mi jabłko — prosi Jurek, mój brat, który jest dorosły, studiuje. — Nie chce mi się wstawać.

Sam mógłby, ale tego wieczoru wolę nie zaczynać kłótni, jeszcze się rozpłaczę na cały głos albo ni z tego, ni z owego wykrzyczę mamie, ojcu i Jurkowi, że Agnieszka jest podła, że mnie nikt nie zaprosił do tańca i że w garści ciągle trzymam coś, co było makiem o szeleszczących płatkach z bibułki.

— Nie będziesz oglądała?

—Nie.

— Brawo, unikanie ocznej gumy do żucia świadczy pozytywnie o inteligencji — w kilku kłapnięciach Jurek pochłonął jabłko i teraz gestykulował w moją stronę ogryzkiem. — Dorośleje sz, Magdzioł.

Wcale nie dorośleję. Po obiedzie — w białej bluzce wybiegłam z domu, ciesząc się na zabawę, wstążki serpentyn, ulewę konfetti. Wytańczymy się za wszystkie czasy, ja, Agnieszka, Beata, Kaśka, Joanna. Wieczorem — wróciłam przemieniona, jakbym była zupełnie kimś innym niż tamten Magdzioł, który wyszedł, nim zaczęło się zmierzchać. Nie jestem mądrzejsza ani lepsza, ale coś się takiego stało, że sama siebie nie poznaję.

— Boże, co za bzdura! Co za murgrabia? Jaki murgrabia?

— Murgrabia to margrabia skrzyżowany z burgrabią, ciekawostka językowa. To się nazywa kontaminacja.

— Synu, oszczędź nam popisów swojej erudycji.

— Tata spytał, ja odpowiedziałem, ale mogę nie.

Ze swojego pokoju słyszę strzelaninę i koński galop, głęboki głos coś dudni, szczękają ostrza. Dopóki to się nie skończy, mam czas, żeby dojść ze sobą do ładu.

Na narzucie tapczanu kładę smutny śmieć, staram się rozprostować płatki, przyczepić oderwany listek, złożyć złamaną łodyżkę. Co zrobiłam ze swoim makiem, z tym, który

sama wybrałam? Nie mam pojęcia, pewnie go gdzieś wyrzuciłam. A ten — dostałam. W ramach wygłupu, takiego wygłupu z błyskiem, jak mawia Jurek, mój dorosły brat. Kwiat Kory. Jakiej Kory? Czy to coś znaczy, jeśli chłopak schodzi do szatni z bibułkowym makiem? A jeśli znaczy, to co?

„Wyrzuć to — proszę samą siebie. — Wyrzuć i zapomnij. To wszystko nie ma sensu, ty widocznie wstałaś z łóżka lewą nogą. Agnieszka chciała coś wytłumaczyć, może wcale nie jest tak, jak ci się wydaje. Wystarczy się zastanowić i..."

— Madziu, kolacja!

Przybliżam twarz do lustra, nie powinni nic poznać. Ale nawet nie mogą, wyglądam tak samo jak każdego innego dnia. Co za pomysł, że ktokolwiek mógłby przynieść dla mnie kwiat?! Gdybym miała jasne włosy Agnieszki, gdybym była taka wysoka jak Beata, miała coś z kociego wdzięku Kaśki albo uśmiech Joanny, nie stałabym samotnie przy pustym krzesełku. Nie mogę się nikomu podobać i tamto było wygłupem, nic się nie myliłam, mówiąc o odskakującej szajbie.

— Co ty robisz, Madziu? Nie słyszysz, że kolacja?

— Nic nie robię.

— Stało się coś?

Tchórzliwie umykam oczami przed wzrokiem mamy.

— Nic się nie stało.

— Czy rzeczywiście? Albo płakałaś, albo masz katar.

— Mam katar — przyznaję.

— Zapuść sobie przed snem krople.

Jemy kolację, ojciec szeleści gazetą, w szyby uparcie bębni wieczorny deszcz.

— Magdzioł, co teraz tańczy młode pokolenie? — Normalnie Jurek w każdy sobotni wieczór wychodzi, dzisiaj jak na złość jest i uważa za swój obowiązek rozmawiać akurat ze mną. — Słuchaj, czy dyrektorka ciągle jeszcze występuje w aksamitach?

Od lat pani dyrektorka ukazuje się na zabawach w tej samej sukni, z dużą broszką, w tej samej sukni chodziła także, kiedy Jurek był uczniem naszej szkoły, powinnam potwierdzić i roześmiać się razem z moim bratem, jak rok temu, jak dwa lata temu...

— Madziu, ty się chyba źle czujesz.

— Magdzioł, nie rób takiej strasznej miny. Mnie nie przestraszysz.

Ojciec odkłada gazetę.

— Jerzy... — gdy mówi do Jurka: „Jerzy", oznacza to, że ma coś ważnego do powiedzenia. — Jerzy, czytałeś ten artykuł o memorandum w sprawie etyki badań naukowych? Sądzę, że jest to zagadnienie pierwszorzędnej wagi, które...

— Madziu, weź drugą kanapkę.

— ...które powinno wywołać szeroki rezonans. Te doniesienia o zmianach w kodzie genetycznym. Trzeba zupełnie nie mieć wyobraźni! Tym bardziej że eksperymenty przeprowadzane są na bakteriach i wirusach...

— Madziu, nie zapomnij o zapuszczeniu kropli.

— ...a nasza wiedza o nich jest bardzo niepełna. Nietrudno wyobrazić sobie, że na drodze laboratoryjnej może zostać wyhodowany szczep odporny na wszystkie znane antybiotyki.

— Tato, nie ma problemu. Te sztuczne kultury są niszczone.

— Nikt nie może gwarantować, że wszystko zostało zniszczone. Wystarczy, żeby jeden wirus...

— Zawsze jest ryzyko. Skąd ktoś mógł na pewno wiedzieć, czy nie przywleczemy czegoś z powierzchni księżyca? — Podczas tych wywodów Jurek opróżnił puszkę z rybkami w pomidorach i wyraźnie rozglądał się za czymś jeszcze na ząb. — Zresztą, o ile mi wiadomo, w przyrodzie wręcz w błyskawicznym tempie zachodzą naturalne mutacje wirusów i bakterii. Tak więc stopień ryzyka...

— Madziu, ty nic prawie nie zjadłaś! Co to jest, żeby dziewczyna w twoim wieku...

— Jerzy, proszę, nie bagatelizuj zagadnienia. Jesteś dorosły, nie można tak nonszalancko...

Tylko mama zauważyła, że coś się ze mną dzieje, ale przypuszcza, że to katar. Jak znam mamę, za moment wypali mi kazanie na temat siedzenia w przeciągu, picia zimnej oranżady, kiedy się jest spoconym, i chodzenia z gołą głową po deszczu.

— Założyłabym się, że siedziałaś w przeciągu, Madziu – przy-

suwa cukiernicę i zaraz odsuwa. — Dobrze, jeśli się skończy tylko na katarze. W biurze wszyscy mają grypę.

Z własnej woli kładę się do łóżka, chociaż w normalne soboty bronię się jak najdłużej przed zagnaniem do spania. Mama coś pierze w łazience, ojciec z Jurkiem rozłożyli szachownicę.

— Jak ty tak, to ja tak. Szach królowi!

— Gardę wieży!

Słychać delikatne szuranie figur na szachownicy, z taśmy Jurkowego magnetofonu sączy się muzyka, Jurek nic nie potrafi robić w ciszy, nawet grać w szachy.

Skrzypnięcie drzwi, smuga światła na podłodze.

— Czego jesteś takim przegranym Magdziołem? — brat stoi w drzwiach, ciemny i duży.

— Nie jestem.

— Nie zalewaj. Ja się na tym znam. Psychologia, rozumiesz, stan frustracyjny albo coś podobnego.

—Nie.

— Pozostańmy każde przy swoim zdaniu. Dobrej nocy, Magdzioł.

Podniosłam się na łokciach.

— Jurek... —No.

Co to znaczy: kwiat Kory?

— Poczekaj... — zastanowił się. — To będzie mak.

— Ja wiem, że mak.

— Więc po co pytasz?

— Bo nie wiem, jak było z tą Korą...

W tamtym pokoju niespokojnie zaszeleściło.

— Jerzy, nie skończyliśmy partii!

— Zaraz! — Podszedł do mnie. — Zaraz przychodzę! A z Korą było tak... Uczyłaś się tego. Kora to Persefona, ta, którą porwał Hades, córka Demeter. Z mitologii greckiej. Teraz już wiesz? A w ogóle nic się nie martw, nie warto.

Odszedł zamykając drzwi, a ja zostałam sama i mogłam spod poduszki wyciągnąć zgniecioną bibułkę.

Jest łąka, szeroka, cykająca świerszczami, cała w kwiatach, brzęczeniu pszczół, w miodowej woni, z trawą po pas. Wiatr głaszcze zielone źdźbła, dmucha w skrzydła motyli, rozrzuca włosy dziewcząt.

Odeszły daleko, już mają ogromne naręcza kwiatów. Tych białych o żółtym środku, delikatnych różowych wiech, plamistych dzbanuszków, puchatych, srebrnych kiści.

— Wracajmy.

— Dlaczego chcesz wracać, Koro?

— Nie wiem.

— Jesteś zmęczona? Usiądziemy.

Jedne siadają na podkulonych nogach, inne się kładą, nad więdnącymi kwiatami polatuje motyl o złotych skrzydełkach, już blisko południe, słońce wzbija się coraz wyżej i wyżej na wierzchołek nieba.

— Mogłybyśmy iść do źródła.

— Tam gdzie pasie Hylas?

—Tak.

— Przyznaj się, przyznaj, Basilio! Wcale nie myślisz o ochłodzie, chciałabyś chociaż z daleka zobaczyć pasterza Hylasa.

— Prawda, chcę go zobaczyć.

Ta, która się śmiała, milknie, inne unoszą głowy i patrzą na rówieśniczkę mówiącą bez wstydu o swoim uczuciu.

— Jesteś za młoda, żeby myśleć o miłości, Basilio.

— Nie myślałam o niej, ona pomyślała o mnie. Przed świtem poszłam do źródła, niosąc dzban, i spotkałam Hylasa. Nie pamiętam, czy mówił coś do mnie, czy milczał, ale od tego poranka muszę wciąż o nim myśleć.

— Ty chyba nie masz oczu, dziewczyno! Jest tylu pięknych chłopców, Charmis, Dion, Myrtis, czy mam wyliczać ich wszystkich? Jeżeli musiałaś się zakochać, dlaczego wybrałaś brudnego owczarza piskającego na fujarce za stadem?

— Bóg o motylich skrzydłach, gdy zakładał strzałę na cięciwę, nie spytał mnie o moją wolę.

Nad łąką ucichł wiatr, nagrzane słońcem ziemia i zioła pachniały sennie i mocno. Był czas południowego spoczynku,

kiedy to pasterzy i oraczy morzy sen w cieniu drzew.

— Powiem mojej matce, że jesteś zakochana — szczupła dziewczyna o zdziwionych oczach wyciąga dłoń ku kępie srebrnej trawy, łamie wątłe źdźbła. — Moja matka na pewno cię nie pochwali, Basilio. Sądzę, że odeśle ciebie do ojca.

— Koro, nie mów twojej matce!

— Powiem.

— Zazdrościsz mi, Koro?

— Ja? — dziewczyna o zdziwionych oczach prostuje się, podnosi głowę. — Czego mam ci zazdrościć, Basilio?

— Hylas mnie kocha.

— Mnie nie obchodzi ani Hylas, ani nikt inny. Nie dbam o miłość, nie potrzebuję jej. I nie wierzę w te bajki o małym synu ciotki Afrodyty, strzelającym z łuku, to wy zmyślacie takie opowieści. Ale to nieprawda, nieprawda, nieprawda!

Wykrzyczawszy owo zaprzeczenie, dziewczyna ucisza się, spuszcza głowę ku więdnącemu snopowi kwiatów.

— Nie zakochasz się nigdy, Koro?

—Nie.

— Bacz, byś nie obraziła swojej krewnej. Zrodzona z Piany Morskiej niechętnie słyszy takie słowa z ust dziewczyny.

— Ciotka Afrodyta wie doskonale, co ja myślę o miłości, sama jej powiedziałam, że nie mogę się zakochać. A matka twierdzi, że mam słuszność. Jest mnóstwo poważnych spraw, którymi trzeba się zająć. Zboża, oliwki, jarzyny.

Wiatr, który przedtem ucichł, nagle powiał nad łąką, zaszumiały, zaszeleściły, zagadały niepojętą mową trawy i kwiaty, niewidzialne palce czesały grzywę kwitnących tymotek, wiechlin, życic. Wydawało się, że łąka rozkwita jeszcze powabniej i barwniej niż przed chwilą.

— Czemu, Koro, mniemasz, że ominie cię miłość, która jest przeznaczona wszystkiemu, co żyje?

— Bo ja tak chcę.

Później dziewczyny ucichły i tylko Basilio zaszeptała błagalnie:

— Nie mów nic czcigodnej Demeter, Koro. Nie mogę wracać do ojca. Zrozum, nigdy bym już nie zobaczyła Hylasa.

Na ten szept córka Demeter, Kora o zdziwionych oczach, nie odpowiedziała nic, wiatr zabrał prośbę Basilio, poniósł ją między pióropusze traw.

— Czas do domu.

Obciągając wymięte szatki, dziewczęta podnosiły się z miękkiego posłania, zbierały rozrzucone, omdlałe od południowego skwaru łodygi.

— Zostawcie te badyle, zupełnie zwiędły!

— Po co nieść to zielsko?

— Umarły bez wody.

— Poczekajcie, ja nazbieram kwiatów. — Płosząc motyle Kora wbiega w trawy, szarpie do siebie sprężyste łodygi, układa nowy snop na zgiętym ramieniu. — Poczekajcie na mnie!

Już jest na środku łąki, oblana ze wszystkich stron pachnącym, kwitnącym, szumiącym morzem.

— Koro, wracaj, narwałaś już dosyć.

— Zaraz, zaraz! — Nie widać jej zza wysokich kit trawy, lecz słychać, jak woła: — Maki, jakie piękne maki!

Nagle na wesołą łąkę, motyle, bezchmurne niebo i płatki kwiatów pada cień, dziewczyny — niczym owce przed burzą — zbijają się w trwożną gromadę, gdzieś przetacza się tętent rozpędzonych koni, cichnie.

— Co to było?

— Nie wiem.

— Przestraszyłam się, o, jak mi wali serce.

— Ziemia zadrżała, czułam to.

— Wołajmy Korę.

Wołają i wołają, odpowiada im tylko brzęczenie pszczół i szelest trawy. W końcu jedna za drugą wstępują między kwiaty i zioła, idą za śladem wydeptanym lekkimi stopami ich towarzyszki, znajdują rozsypane maki. Nic więcej. Tylko te maki szybko więdnące pod obojętnym żarem słońca.

Gdy Demeter kamieniejąc słucha strasznej nowiny, w podziemiach, za rozlanymi wodami Styksu i Lety, pochmurny Hades błaga porwaną Korę, by zechciała wysłuchać jego słów.

— Już od dawna kocham cię, córko Demeter. Zastępowałem ci drogę jako młody pasterz i jako urodziwy oracz, ścinałem dla

ciebie grona jako winogrodnik i podlewałem róże pod twoim domem jako ogrodnik, a ty nie spojrzałaś na mnie ani razu. Rozkazałem nocnym słowikom śpiewać nad twoim snem, uprosiłem bladą Selene, by otoczyła cię miesięcznym blaskiem. Gdybyś wejrzała na mnie łaskawie, Koro, nie porwałbym cię z grona towarzyszek, sama byś zstąpiła do mego królestwa.

— Nie pragnę ani ciebie, ani twojego kochania. Nie zostanę z tobą. Nie chcę.

— Wyczarowałem z ziemi te maki, Koro, wiedziałem, że pobiegniesz je zerwać. Widzisz, ile o tobie wiem? Bo śledziłem cię od dawna, dlatego że cię pokochałem.

— Nie zostanę z tobą. Nigdy cię nie pokocham.

Pan podziemi, Hades, był mrocznej urody, podobnej królestwu zmarłych — otulonemu wieczną mgłą, wilgotnemu od wód spływających w mrok głębokich jaskiń, drżącemu nietoperzowym skwirem, rozkwitającemu białymi asfodelami na ciemnych łąkach. Panu podziemnej krainy nie przystoi słoneczna uroda.

Ale posępny Hades był bogiem potężnym i mądrym. Dlatego, zaniechawszy słodkich słów, prosił Korę, żeby porzuciła obawy i przyjęła pokarm i napój. A gdy się już pokrzepi, czarne konie wyniosą ją z powrotem na blask Słońca.

Ale i Kora była boginią, córką wielkiej Demeter; mimo swej młodości i niedoświadczenia wiedziała, że ktokolwiek przyjąłby jadło i napój umarłych, musiałby pozostać na zawsze w podziemnej krainie.

— Nie przełknę ani kęsa, nie wypiję ani kropli, nim nie stanę w pełnym blasku słońca.

A tymczasem na ziemi wielka bogini Demeter zakazała zbożu wydawać ziarno, strąciła owoce z gałęzi szarych oliwek i zabroniła kwitnąć sadom. — Dopóki nie znajdzie się Kora, cała ziemia pozostanie bezpłodna.

— Droga siostro, rozumiemy twój ból, lecz chyba zbyt srogo mścisz się na ziemi i ludziach za zniknięcie Kory. — Na wysokim szczycie bogowie na próżno wyglądali ofiarnych dymów i dlatego wezwali przed swoje oblicze wielką Demeter. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc, ale

prosimy, byś uśmierzyła swój gniew.

— Nie — odpowiedziała czcigodna Demeter, nawet nie zauważyła, że Zrodzona z Piany Morskiej uśmiecha się, patrząc na nią, a taki uśmiech musiał coś znaczyć. — Nie.

Gdy odeszła, Dzierżący Pioruny powiedział:

— Mów, Zrodzona z Piany Morskiej, co uczyniłaś z Korą!

— Ja? — najpiękniejsza z bogiń trochę się przeraziła gniewu Zeusa. — Nic takiego nie zrobiłam. Ta dziewczyna mnie rozzłościła swoją pewnością, że się nie zakocha. Mogłam rzecz jasna sprawić, by pokochała starego świniopasa albo jednookiego Polifema, ale mam dobre serce, wybrałam dla niej naszego krewnego...

— Kogo?

— Twojego rodzonego brata, Zeusie. Nie powiesz chyba, że to nieodpowiedni wybór.

— I ona się zgodziła?

— Tego nie wiem. Wyślij Irydę, niech się dowie, jak sprawy stoją, chociaż jeśli o mnie chodzi, jestem zupełnie spokojna. Hades jest piękny, wymowny i potężny, jest bóstwem szanowanym i powszechnie czczonym licznymi ofiarami, a Kora jest w takim wieku, że się powinna zakochać.

— Bzdury, Kora się nie zakocha! Sam byłem świadkiem, jak przysięgała, że prędzej umrze, niż odda komuś serce. To była bardzo poważna przysięga na czarną Hekate i styksowe wody. Leć, Irydo! No cóż, jestem prawie pewien, że będziemy musieli uwolnić tę biedaczkę. Więcej, jestem przekonany, że będziemy musieli tak zrobić.

— Od wielu dni Kora nie dotyka pokarmu i napoju — powróciła z wiadomością Iryda, ta, która zbiega na ziemię po łuku tęczy. — Nie chce słuchać wyznań Hadesa, milczy uparcie, odzywa się tylko po to, by żądać powrotu na ziemię.

— Rozkazuję, żeby ją niezwłocznie uwolniono. Ponieważ wola Tego Który Dzierży Pioruny jest prawem,

mroczny Hades rzekł do milczącej Kory:

— Mam dla ciebie radosną nowinę. Wrócisz na blask słońca.

Gdy to mówił, głos mu drżał i łzy napływały pod powieki, od dawna kochał Korę o zdziwionych oczach i pragnął ją

zatrzymać przy sobie.

Na brzegach podziemnych rzek zebrało się mrowie szarych cieni. Patrzyły na łódź, która płynęła ku majaczącej z daleka plamie słonecznego światła, wyjściu ze świata umarłych i pokrywającego wszystko szarego popiołu.

— Nie umiałem zdobyć jej serca, nigdy jej nie ujrzę — zapłakał Hades, gdy łódź uderzyła dziobem o brzeg po stronie słonecznej. — Klnę się na wody letejskie, że uczyniłem wszystko, by ją zatrzymać przy sobie, lecz cokolwiek uczyniłem, uczyniłem na próżno.

— Mylisz się, Hadesie — zaszeptało jedno z podobnych mgle widm. — Byłem za życia sławnym wieszczkiem, byłem człowiekiem i wiem czasami więcej niż wy, nieśmiertelni. W zaciśniętej dłoni Kora ukryła małe jabłko granatu, nim przekroczyła próg otchłani, na pewno przełknęła jeden kęs owocu o barwie krwi, resztę odrzucając precz. Czy odgadujesz, dlaczego Kora podniosła do ust jabłko granatu, Hadesie?

A gdy mroczny pan podziemnego świata siadł u styksowego brzegu, by czekać powrotu ukochanej, Kora biegła po szarej, martwej łące. Gdzie stąpnęła, wyrastał czerwony mak o mięsistych płatkach, z ciemnym znamieniem w środku, kwiat Kory, kwiat maku należący do słonecznego świata i do świata wiecznego mroku.

„Tak było na początku, to było tak... — łka w radiu kobiecy głos, najpierw opowiadająco, potem rośnie do krzyku: — Choć nie było ciebie i mnie"... Odrabiam matematykę przy oknie, w dole leży trawnik dziwnie zielony jak na te styczniowe dni, małe drzewka kurczą się przy grubych kołkach, do których są przykrępowane solidnymi powrozami, po trawniku biega biały pies, jeździ perkatym nosem po trawie, rozgrzebuje ziemię przednią łapą, czegoś szuka, coś wywęszył i to coś jest bardzo ważne.

Tak też można widzieć świat, czuć świat, ten pies niuchnie i myśli: „Tędy godzinę temu przechodził ten bokser z drugiego

piętra", niuchnie drugi raz: „Tu jest kret, jakby mi się chciało kopać, mógłbym go złapać", niuchnie trzeci: „Znajomy pudel jest przeziębiony, czuje się dzisiaj fatalnie, wyrazy głębokiego współczucia".

Dlaczego ludzie nie wiedzą najprostszych rzeczy? Dlaczego ja nie wiem, kto jest dobry, a kto zły, kto mówi prawdę i kto kłamie, kto robi coś z głębokiego przekonania, a kto tylko udaje? Dawniej nie zastanawiałam się nad takimi rzeczami, teraz tak. Gdybym mogła, skonstruowałabym wykrywacz myśli, ktoś coś mówi, a ja tylko patrzę na strzałkę i wiem: prawda, nieprawda, prawda, nieprawda.

Nagląco, dwukrotnie odzywa się dzwonek.

— Madziu, otwórz! — woła mama, z kuchni pachnie cebulą i smażonym tłuszczem.

Za drzwiami stoi Agnieszka.

— Cześć, Magdzioł —jest spłoszona i niepewna, jak ją przyjmę. Od paru dni w szkole odzywamy się do siebie półgębkiem, raczej z konieczności niż z potrzeby serca, Paproch ma do mnie żal i ja mam żal do Paprocha. Po tamtej rozmowie nie usiłowałyśmy już nic wyjaśniać, ona i ja przyjęłyśmy milcząco, że coś się między nami skończyło. — Zapomniałam, które zadania...

— Zaraz ci powiem.

— Madziu, poproś Agnieszkę do pokoju. Co to za zwyczaje, żeby trzymać koleżankę za drzwiami?

Mama nic nie wie, myśli, że wszystko jest takie jak dawniej, że ja jestem taka sama jak tydzień temu i że Agnieszka jest tą samą Agnieszką, z którą grałam w wojnę, słuchałam Jurkowych taśm, chodziłam do kina, jednym słowem, sądzi, że jesteśmy najlepszymi koleżankami.

— Dzień dobry pani — wita się Agnieszka. — Mamusia prosiła, żeby pani powiedzieć, że jutro odniesie blaszki. Bardzo przeprasza za zwłokę.

— Nic nie szkodzi. — Cebula skwierczy na patelni, mama jak zwykle stróżuje przy kuchence, z książką rozłożoną na kolanach, jedną ręką uzbrojoną w łyżkę miesza jakieś smażeniny, drugą odwraca kartki. — Jeżeli mamusi blaszki

jeszcze potrzebne, to naprawdę nie ma pośpiechu.

— Powtórzę.

Ciekawe, czy Agnieszka rozumie, że ja nie chcę wprowadzić jej do swojego pokoju? Gdyby to była tamta Agnieszka, mój Paproch, przyjaciółka, rozumiałaby na pewno, ta nowa Agnieszka zdaje się o niczym nie wiedzieć.

— Chodź, zapiszesz sobie, które zadania — wreszcie muszę to powiedzieć, nie możemy tak stać na korytarzu, w ostrej woni cebuli, na wprost mojej mamy, książki i skwierczącej patelni.

Nie umiem znaleźć podręcznika, chociaż leży na samym wierzchu, miotam się niepotrzebnie, robiąc dużo zamieszania.

— Proszę, zapisz sobie.

Ani razu nie nazwałam Agnieszki Paprochem, to chyba powinna zauważyć. Ona raz czy dwa powiedziała: „Magdzioł", bez przekonania, blado.

Pochylając się nad książką, Agnieszka notuje, może mi się tylko wydaje, że notuje umyślnie wolno, jakby chciała, abym wreszcie odezwała się po ludzku i nie klepała tych: „proszę, wejdź", „proszę, zapisz sobie", „proszę, usiądź". Nareszcie skończyła, odłożyła długopis, zapatrzyła się w okno; tak samo jak ja, nim zaterkotał dzwonek.

— Ten pies biega w nocy.

Tak powiedziała, a ja nie zapytałam wcale, który pies i skąd Agnieszka wie, że biega nocą, po prostu potwierdziłam wiadomość o psie.

— Tak, biega.

Kiedyś czytałam o milczeniu ciążącym jak kamień, teraz przekonałam się, że takie milczenie rzeczywiście istnieje. Ona i ja udawałyśmy, że milczymy tak sobie — jakbyśmy chciały, mogłybyśmy pogadać o niejednym, ale akurat nie mamy chęci i stąd to milczenie. Zaczęłam bębnić palcami po szybie, wszystko było lepsze niż ta cisza na tle skwierczenia czegoś, co mama smażyła w kuchni.

— To ja już idę — zdecydowała Agnieszka.

Odstąpiłam od swojej szyby i nagle znalazłyśmy się bardzo blisko siebie, pokoik był nieduży, a robił się jeszcze mniejszy, gdy opuszczałam klapę tapczana występującą w roli biurka.

— Magdzioł, czemu ty jesteś taka niedobra? — miałam żałosną twarz Agnieszki prawie przy swojej twarzy, drżały jej wargi, kiedy skarżyła się na moją obcość i twarde serce. — Co ja ci takiego zrobiłam? Magdzioł...

— Przypomnij sobie.

— Ja wiem, na zabawie... — Strasznie się spieszyła z tym swoim tłumaczeniem, aż trudno było wyłapać sens. — ...Ja ci nie mówiłam, ale zaprosiłam jednego chłopca... Z liceum... On się spytał, czy idę na zabawę. Miałam was zapoznać. A ty... a ty...

— Ja znam Wieśka.

— A ty... Ty się uparłaś i nie chciałaś z nikim tańczyć, i byłaś na mnie zła, i teraz też jesteś, a ja ci nie mogę nic wytłumaczyć... Wtedy na zabawie było mi żal, że stoisz taka smutna. Nawet nie wiesz, jak wyglądałaś...

— Normalnie. Ja bym tak nie postąpiła.

— Magdzioł, zrozum...

— Rozumiem. Nic się nie martw.

— To dlaczego?

— Tak nie robi prawdziwa koleżanka. Zawsze byłyśmy razem, na każdej zabawie.

— Ja przyszłam z Wieśkiem, zrozum...

— On jest dla ciebie najważniejszy, a ja się nie liczę.

— Nie. Wcale nie.

— Ja mogłabym tam stać i stać, a ty byś nawet nie spojrzała. Widziałam, na kogo patrzyłaś!

Kiedy Agnieszka prosiła mnie, żebym zrozumiała, zrobiła taki ruch, jakby mnie chciała objąć, ale jej ręka zawisła martwo między nami.

— On jest dla ciebie najważniejszy — powtórzyłam twardo i z gniewem, rzęsy Agnieszki zamrugały niemym protestem, a ja ciągnęłam dalej: — Pociesz się, że on chodzi z Mileną.

Zapadła cisza.

— Skąd wiesz? — zaszeptała Agnieszka.

— Prosił mnie i ja do niej telefonowałam — odrzuciłam z triumfem. — Umówili się przy piaskownicy. — Poszperawszy w pamięci, dodałam: — Piętnaście po szóstej przy piaskownicy.

Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tego powiedzieć, że Agnieszce jest bardzo przykro i smutno, kiedy mówię o tej piaskownicy i o tej piętnaście po szóstej, ale to była w pewnym sensie także moja własna sprawa. Mnie też było przykro, że Wiesiek z Mileną umówili się na ławce przy piaskownicy, we wrześniu, piętnaście po szóstej. A w ogóle, jeżeli on jest dla Agnieszki taki ważny, opowiem jej wszystko. Wszystko! Opowiem, jak znalazł mnie w szatni i dał mi duży bibułkowy mak...

Nie opowiedziałam.

— Magda, siedzimy razem...

— Mogę poprosić panią, żeby nas rozsadziła. Plecy Agnieszki przygarbiły się, jakoś zmalała.

— Możemy poprosić.

— I w porządku.

Odprowadziłam ją na korytarz, asystowałam milcząco przy tym, jak wkładała płaszcz.

— Agnisiu, twoja mama dzisiaj na której zmianie? — dobiegło zza kuchennych drzwi.

— Na drugiej.

— Jadłaś obiad?

— Tak. W barze mlecznym.

W ramie drzwi ukazała się moja mama.

— Ja ciebie nie puszczę na głodniaka, wykluczone. Zaraz wróci Jurek, obiad już gotowy. Agnisiu, zostaw palto. Myjcie łapy, dziewczynki. Madziu, nakrywaj do stołu!

Myślę, że na ucztach u Borgiów czułabym się lepiej i weselej niż przy tych naszych mielonych kotletach z marchewką. Najgorsze było to, że MUSIAŁAM rozmawiać z Agnieszką jakby nigdy nic, o stopniach, ostatniej klasówce, koleżankach i kolegach. Mimo że się bardzo starałam i Agnieszka także się starała, zupełnie nam nie szła ta paplanina. Po kilku słowach utykałam w niezręcznym milczeniu, a to, co mówiłam, wygłaszałam ponuro i sztucznie.

— Na kartkówce Hanka podkreśliła okolicznik zamiast przydawki — stwierdziłam takim tonem, jakbym była Hamletem wysyłającym nieszczęsną Ofelię do klasztoru.

— Od kwietnia znowu mamy pływalnię — a brzmiało to tak, jakbym wieszczyła rychły koniec świata.

Mama chyba się nie połapała w niczym, ale Jurek doskonale się bawił, słuchając mojej rozmowy z Agnieszką. Wiedziałam przecież dobrze, co oznacza u niego to drganie policzków.

— Madziu, nalej Agnieszce kompotu.

Nalałam po wręby, kawałek jabłka upadł na obrus. Agnieszka niepewnie obracała w palcach łyżeczkę.

— Gwarantuję honorem, że nie zatruty — odezwał się niespodziewanie Jurek. — W tym domu cyjanek dysponujemy wyłącznie do zup.

I roześmiał się głośno.

— Co ty za głupstwa wygadujesz? — przeraziła się mama. — W twoim wieku...

— Przepraszam.

Wreszcie zjedliśmy ten obiad. Kiedy Agnieszka już naprawdę wyszła, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, poczułam ulgę.

— Po co ty się popisujesz takimi wątpliwymi dowcipami! — gniewała się mama na Jurka. — Mnie by nigdy coś takiego nie przeszło przez usta. W dodatku przy jedzeniu...

— Zgoda, wydziczyłem się. Przepraszam.

Powtórnie zasiadam do lekcji, trzaska włącznik, słodko, dziwnie rozpoczyna się piosenka o dziewczynie, która tej nocy znowu śniła swój najcudowniejszy sen. Włączenie magnetofonu jest znakiem, że Jurek także się uczy.

Piosenka o najcudowniejszym śnie kończy się i zaczyna się metaliczne bębnienie gitar i pojękiwanie, Jurek przestawia na głośniej, bang, bang, bang, jęczą struny. Nie umiem, nie mogę się skupić przy tej muzyce. Coś podobnego grali, gdy z czerwonym makiem w palcach stałam przy pustym krześle...

— Ścisz! — wrzeszczę.

Muzyka trochę cichnie, ale nie za bardzo. Agnieszka nie jest niższa ode mnie, a wtedy przy Wieśku wydawała się zupełnie nieduża i bardzo drobna, chucherko, można powiedzieć. On jest wysoki, ten Wiesiek. Jak stał przede mną w szatni, musiałam podnosić głowę, mama twierdzi, że teraz rośniemy na schwał, witaminy, słońce, sport i tak dalej, już teraz jestem

trochę wyższa niż mama... Tak, on jest wysoki, wcale nie wygląda śmiesznie z długimi włosami, niektórzy chłopcy w tych swoich lokach przypominają pana Kobuszewskiego w peruce, a on nie. Jego włosy są ciemne i lśniące...

Wyrywam kartkę z brulionu i rysuję. Wysoki, długie nogi, ciemne włosy, rower, zastanawiam się przez moment i dorysowuję dziewczynę w spódnicy typu banan i białego szpica na smyczy. Jeszcze moment namysłu i szkicuję okrągłą piaskownicę, ławkę, dwa krzaczki.

Otwieram okno i ze swoją kartką wychylam się z ósmego piętra, nie ma nikogo przed blokiem, tylko ten biały pies kluczy po trawniku. Kartka spada wolniutko, wreszcie leży na styczniowej trawie. Robi mi się prawie wesoło.

— Głowa pęka od tego ryku — potępia w przedpokoju ojciec. — Jak oni mogą się uczyć w tych warunkach? I byłbym mocno zobowiązany, aby w tym domu brano pod uwagę, że wracam po siedmiu godzinach pracy i po wyczerpującej naradzie. Ja także mam prawo do odpoczynku!

Mama jak zwykle usiłuje łagodzić:

— On zaraz przyciszy. Prawda, Jurku, że przyciszysz? Mnie ta muzyka nie przeszkadza, już się przyzwyczaiłam.

— A ja się nigdy nie przyzwyczaję do tego barbarzyństwa. To nawet nie powinno nazywać się muzyką. Kamieniem obrazy dla prawdziwej sztuki jest...

Znowu odsuwam zeszyt i zamyślam się. Jest jeszcze coś do wyrzucenia w ślad za rysunkiem na kartce i kiedy to wyrzucę, będę miała coś ważnego z głowy.

To jest ukryte na samym dnie teczki, porwało się już zupełnie, pobrudziło, do czerwonej bibułki przylgnęły okruszyny z drugiego śniadania. Też pomysł nosić się z takim śmieciem!

To powinno być wyrzucone przez okno. I niechby tam na dole, przed wejściem, stał chłopak z ciemnymi włosami, przy nim Milena, a przy Milenie Agnieszka. I niechby widzieli, jak gniotę w kulkę to, co zostało z nieszczęsnego maku, i wyrzucam.

Kulka spada dużo prędzej niż kartka, biały pies zainteresowany podbiega i wącha czerwoną bibułkę. Jest najwyraźniej rozczarowany, ani to do jedzenia, ani nie pachnie

innym psem, do niczego.

— Czyś ty oszalała, Madziu? Ledwo wyszła z kataru i wietrzy się w otwartym oknie. Chcesz mieć grypę? Każda wasza choroba to dodatkowy kłopot dla mnie. Znowu się będę musiała zwalniać z biura...

Mama stoi za moimi plecami, więc także widzi trawnik, białego psa i to, co leży na trawniku.

— Co za brak elementarnej kultury, wyrzucać papiery przez okno!

Kurczę się w sobie, mama ma świętą rację. Jest mi wstyd.

— Za parę dni twoje urodziny, Madziu. Chciałabym wiedzieć, jakie masz projekty.

Na śmierć zapomniałam o tych urodzinach. O swoich czternastych urodzinach. Dawniej cieszyłam się na nie, zapraszałam koleżanki, mama piekła takie ciastka, które się nazywają chruściki, bawiłyśmy się, tańczyłyśmy. Ale teraz... Co będzie teraz?

— Oczywiście zaprosisz Agnieszkę — mama namyśla się i wylicza dalej: — Katarzyna, Beata, Joanna, Hanka, sześć dziewczynek licząc razem z tobą.

W nagłym olśnieniu pojmuję, że te urodziny mogą się stać okazją do odwetu na Agnieszce, Katarzynie, Beacie, Joannie i Hance.

— Mamo...

— Słucham, Madziu.

— Czy mogę...

Teraz najważniejsze, żeby to, co mam do powiedzenia, zostało zakomunikowane rzeczowo, jako zupełnie zwykła sprawa.

— Zaproszę kilku chłopaków z klasy.

— Zaproś, oczywiście, że zaproś! Ten Marek taki sympatyczny. — W moim, bądź co bądź, bardzo niezwykłym zachceniu mama nie widzi nic nadzwyczajnego, ale trochę się martwi tymi chłopcami. — Trzeba będzie pożyczyć tortownicę, zrobię tort makowy, chłopcom kilka ciasteczek nie wystarczy. Jak Jurek był w twoim wieku, nie mogłam się nadziwić, gdzie to się wszystko mieści. Tatuś się śmiał, że Jurek jest wydrążony od pięt do czubka głowy...

O wilku mowa, a wilk tuż, w płaszczu, z parasolem (ten parasol jest największym skarbem mego brata) Jurek zagląda do mojego pokoju.

— Będę koło dziesiątej. Mama, zostaw mi kolację.

— Nie zostawię — sroży się mama. — Mógłbyś czasami posiedzieć w domu.

— Okres studencki jest okresem łatwego nawiązywania kontaktów z ludźmi. Nie pozbawiajcie mnie tej wielkiej szansy. Dobrze, dobrze, nie gniewaj się, idę się dzięciolić, psychologia rozwojowa dziecka — spojrzenie w moją stronę. — Może się przydać Lukrecji.

— Jakiej Lukrecji? — zdumiewa się mama. Z Jurkiem trudno rozmawiać, bo prawie nigdy nie wiadomo, czy mówi serio, czy nie.

— Lukrecji Borgii, oczywiście. Nie słyszałaś, że miała zwyczaj pozbywać się swoich nieprzyjaciół za pomocą trucizny zwanej osculum, czyli pocałunek? Inne autorytety utrzymują, że trucizna nazywała się aqua toffana. Tak czy tak, skład chemiczny dotąd nie znany.

— Drugi raz dzisiaj... — Zaczyna surowo mama, a Jurek się śmieje i nawija coś o toksykologii, na co mama mówi o makabrycznym poczuciu humoru, które jej zupełnie nie bawi. Później Jurek zainkasowawszy dwadzieścia złotych wychodzi.

Nigdy o tym nie myślałam, ale przecież mój brat ma na pewno swoją dziewczynę. Jaki jest przy tej dziewczynie? Co jej mówi? Czyją także zabawia Lukrecją trucicielką, czy popisuje się przed nią takim wygłupianiem? Nie, Jurek potrafi być bardzo mądry, jak chce, ale nie umiem go sobie wyobrazić zakochanego. To do niego nie pasuje.

— Więc załatwione — wraca mama do urodzinowych projektów. — Będzie tort makowy, zrobimy napój z pomarańczy. Raz w życiu kończy się czternaście lat.

Usiłuję wrócić do odrabianego zadania, tego samego, którego numer zapisała sobie Agnieszka, ale mi zupełnie nie idzie.

— Madziu, skocz do budki po kartofle. Miał przynieść Jurek i najwidoczniej zapomniał.

Trudna rada, odsuwam zeszyt (odsuwam go, prawdę

powiedziawszy, z pewną ulgą) i skaczę do tej budki. Chociaż jest zaledwie po szóstej, na dworze zupełnie ciemno. Wyjątkowo nie pada deszcz, ale chodniki lśnią wilgocią. Pusto, tylko jakieś dziecko wdrapuje się na zjeżdżalnię i biały pies biega niestrudzenie po trawniku przed blokiem.

Ogarnia mnie dziwna ciekawość. A jeżeli ktoś podniósł kartkę z moim rysunkiem? Poznał, kogo narysowałam? (Nie mam pretensji do talentów plastycznych, ale udają mi się czasami karykatury nauczycieli, więc może...). Co sobie pomyślał? I czy na wymiętej trawie leży jeszcze ten czerwony śmiotek, w którym nikt nie odgadłby kotylionu z zabawy?

Na próżno obchodzę dookoła trawnik, nie ma ani kartki, ani czerwonego kawałka bibułki. I w porządku. Dobrze, że nie ma.

Budka, ciasna jak dziupla, jest wypełniona worami kartofli, skrzynkami jabłek, beczkami ogórków, kapusty, pękami majeranku, marchwią, pietruszką, brukselką. Sprzedają tu także syfony z wodą sodową i gumę do żucia. Jeszcze niedawno wyłudzałam od mamy fundusze i kupowałyśmy sobie z Paprochem jednego „donalda" na spółkę. Ustawiam się w ogonku na zewnątrz budki i cierpliwie czekam, aż przyjdzie moja kolej. Wychodzący potrącają mnie, dopiero jak się posunę ze trzy kroki dalej, przestaną potrącać.

— Cześć — słyszę obok siebie, odwracam się i martwieję. Wiesiek trzyma wielką szarą torbę, zagaduje do mnie, jakby nie pamiętał, co mu powiedziałam tam, w szatni.

— Chcesz się pokrzepić? — Wyciąga do mnie torbę, w torbie są jabłka, czerwone, duże jabłka, gładkie i lśniące. — Pierwszy wybór, kategoria ekstra wyborowa.

Kiedy tak zachwala te jabłka, przypomina, nie wiem dlaczego, Jurka.

— Weźmiesz?

Najnieoczekiwaniej dla samej siebie — wyciągam rękę po małe jabłko leżące na wierzchu.

— Wezmę. Dziękuję.

— A nie, nie to, tamto — wyrywa wybrane przeze mnie jabłko i podaje mi prawdziwego olbrzyma z wyjątkowo czerwonym rumieńcem. — Jak już kogoś częstuję, to częstuję. Ja mam gest,

mała, pomijając to, że jestem ci winny od września złotówkę. Solidna firma, u mnie jak w banku.

Zbieram całą odwagę, zresztą jakoś mi łatwiej rozmawiać z nim, kiedy stoję w ogonku, pod wieczornym mrokiem, przed drzwiami budki.

— Agnieszka mi opowiadała o tobie — kłamię.

— Jestem niezmiernie zobowiązany Agnieszce za wyczerpujące relacje.

Z Jurkiem jest tak samo — nie wiadomo, czy to było powiedziane serio, czy żartem — ale to właśnie pomaga mi brnąć dalej.

— Przyszedłbyś z Agnieszką na moje urodziny? — Jestem przerażona tym, co powiedziałam, ale przepadło.

— Przyszedłbym.

Tak, jasne, że przyjdzie, jeżeli chodzi teraz z Agnieszką. Będą tańczyli przy Jurkowych taśmach, stół się przesunie pod ścianę. Tak sobie wymyśliłam: ja, nieudany Magdzioł, urządzę prawdziwą prywatkę, a na tej prywatce będzie nawet Wiesiek, który chodzi do liceum. I one wszystkie zobaczą, że ja nie jestem od nich gorsza. I to będzie pierwsza dorosła prywatka w naszej klasie. I ja poproszę Jurka, żeby był także. Niech wiedzą, niech się przekonają, że ja...

— Kiedy te urodziny?

— Agnieszka ci wszystko powie.

— W każdym razie dziękuję za zaproszenie — przesunął się ze mną do przodu, bo właśnie kolejka drgnęła i można było zrobić trzy kroki naprzód. — Głupio mi, mała, z powodu tego maku, Agnieszka...

To Agnieszka wie? To on powiedział Agnieszce, że mnie odszukał w szatni?

— Nie przejmuj się — staram się mówić swobodnie, że to niby nic ważnego. — Ja już nic nie pamiętam. Naprawdę.

— Ładnie z twojej strony. Jabłko zjedz za moje zdrowie, gwarantowana porcja witamin. Odkrywcą witamin był Polak, Kazimierz Funk. Cześć. Przyślij kartkę przez Agniechę, kiedy te urodziny.

Kupiłam kartofle, sprzedawczyni poradziła:

— Połóż jabłko na wierzchu. Niewygodnie je tak trzymać. Piękny owoc, wprost na wystawę.

Po tym spotkaniu przed budką, po wyrzuceniu kartki i bibułkowego kwiatka, bez Agnieszki, muzyki, bez sali przystrojonej w kolorowe lampiony — trochę się nawet dziwiłam, że Wiesiek wydawał mi się parę dni temu tajemniczy i inny niż chłopcy z naszej klasy. On był po prostu starszy niż my. Chodził do liceum i nic więcej nie było w nim ciekawego. Takich chłopaków jest mnóstwo. Ja... ja przeproszę Agnieszkę. A jak zrobię tę prywatkę, będę z dziewczynami na remis.

— Ciebie, Madziu, tylko po śmierć posłać.

— Była długa kolejka.

— Kupiłaś jabłko?

—Tak.

— Ja też kupiłam jabłka. Nie smakują ci?

— Smakują, ale ono jest takie duże.

— Wyjątkowo duże — przyznaje mi rację mama. — Nawet nie wiem, jaka to odmiana, tyle jest teraz nowych, nie sposób zapamiętać wszystkich.

Jabłkowy olbrzym leży przy moim tapczanie, pachnie latem, słońcem, wakacjami. Za tamtą złotówkę dostałam wielkie, czerwone jabłko, jabłko za telefon do Mileny. Oparty o ścianę budki rower, ja ze słuchawką i Wiesiek. Czy mogę prosić Milenę? Kto mówi? Nieważne. Wtedy się prawie obraziłam na niego, ale tylko prawie, tak naprawdę to się obraziłam w sobotę; dlatego, że chodzi z Agnieszką i że ona z nim tańczy. I za ten mak też się obraziłam, nie, nie tak, zaczęłam sobie wyobrażać Bóg wie co,.a nic nie było do wyobrażania. Bo jakby było rzeczywiście, tobym nie mogła dzisiaj z nim tak zwyczajnie rozmawiać i nie zaprosiłabym go na prywatkę razem z Agnieszką. Dobrze, że to już minęło i jestem z powrotem taka, jak byłam. Przecież naprawdę nie miałam powodu, żeby się martwić. Powiem o tym Agnieszce, przeproszę ją, to mnie odskoczyła szajba.

— Siedzisz nad lekcjami i siedzisz. Tak dużo masz zadane? A może masz trudności? Poproś ojca, żeby ci wytłumaczył.

Przy tłumaczeniu ojciec prawie zawsze się w końcu

denerwuje, zaczyna na mnie krzyczeć i ciągle powtarza, że to bardzo łatwe. Nie bardzo sobie radzę z tym zadaniem, ale z dwojga złego wolę radzić sobie sama.

— Zaraz kończę — informuję mamę.

Z dużego pokoju odzywa się telewizor, już dziennik, „piękne osiągnięcia fabryki naczyń emaliowanych warte są upowszechnienia...", „wysoki standard wyrobów przeznaczonych na eksport znajduje uznanie u zagranicznych kontrahentów...", „mimo nietypowej pory roku rolnicy województwa opolskiego przystąpili do prac polowych..."

— Janko! Janko! — przywołuje ojciec mamę.

— Co się stało?

— Widzisz, ten drugi od lewej. Pracowałem z nim razem. Ty go także poznałaś. Michalski. Karol Michalski.

— A tak, na wczasach w Międzyzdrojach...

— Ależ skąd! W pięćdziesiątym piątym na imprezie noworocznej, doskonale pamiętam.

— Na imprezie siedzieliśmy z Kowalskim i ze Stańczakiem — oburza się mama. — Żadnego Michalskiego nie było.

— Oczywiście, że nie było — replikuje z przekąsem ojciec. — Gdybym nie pamiętał kogoś z twojego biura...

— Nie pamiętasz! Nie poznałeś pani Zofii w tramwaju. Sama mi to mówiła.

Po tej wymianie zdań mama wraca do kuchni i przygotowuje obiad na jutro. Czasami się wydaje, że ojciec ma do mamy pretensje o jej pracę, znajomych. Bo mama nigdy nie ma czasu, żeby posłuchać tego wszystkiego, o czym ojciec chętnie opowiada. Może dlatego jest taki zdenerwowany, kiedy wraca do domu.

Zrobiłam to zadanie, spakowałam się, kolacja, kąpiel, przed telewizorem samotny ojciec, mama w kuchni, ja w wannie, Jurka nie ma.

„Tak było na początku, to było tak" — śpiewają tym razem w telewizji. Wolę piosenki niż te Jurkowe umpa, umpa, bang, bang, które w kółko puszcza. Tylko że ta piosenka mogłaby być trochę weselsza, teraz kiedy pozałatwiałam najważniejsze życiowe sprawy i kiedy wreszcie nie jest mi ani smutno, ani

głupio, ani dziwnie. Jutro przeproszę Agnieszkę.

— Tak tylko gadałam o przesadzaniu, Paproch. — Agnieszka słucha nieufnie, nie dziwię się, pewno się boi, że znowu z czymś wyskoczę. — Dawaj łapę na zgodę.

— Ale ty przecież...

— Paproch, mnie jest łyso. Daję słowo, że się teraz sto razy zastanowię, nim coś chlapnę. Ja często gadam bez zastanowienia, ale już nie będę. Słowo.

I już jest dobrze, Agnieszka, Paproch, przyjaciółka nie jest pamiętliwa. Jej też się zdarzają różne szusy w bok. W zeszłym roku pokłóciłyśmy się na całe dwa dni o to, że ja rzekomo powtórzyłam Kaśce, co powiedziała o niej Agnieszka. Nagadałyśmy sobie wtedy także niezgorzej, nie tak jak teraz, inaczej, ale nagadałyśmy.

Prowadzamy się na przerwie objęte wpół.

— O tej Milenie mówiłaś na złość, prawda?

— Na złość, Paproch.

— Ja wiedziałam, że to wymyśliłaś. Byłaś taka wściekła, że wiedziałam, że coś takiego wymyślisz...

— Jasne, że wymyśliłam. Wy przecież ze sobą chodzicie. Ty i Wiesiek. — Rzucam to od niechcenia, jak ktoś wprowadzony gruntownie w sercowe sprawy.

Na policzkach Agnieszki rozlewa się rumieniec. — Wcale nie wiedziałam, że tak będzie — umyka w bok oczami. — Chłopcy są tacy... tacy... Ale z Wieśkiem to zupełnie co innego. Jak z nim rozmawiam, chciałabym się śmiać i płakać. Gdyby mi mama nie pozwoliła wyjść, kiedy się z nim umówię, to... to ja bym chyba wyskoczyła oknem. Ja ciągle o nim myślę... nawet na lekcjach...

Mnie samej wszystko, co zwierzała Agnieszka, nie było obce, ale na szczęście trwało to tylko parę dni i przeszło, bo ja chciałam, żeby przeszło, a Agnieszka nie chce. Uprzejmie dziękuję, ale mnie to nie bawi.

— A on? — rzucam tym samym lekceważącym tonem, co poprzednio. — A on?

Agnieszka rozkłada bezradnie ręce.

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Mówicie sobie chyba wszystko? — Nabieram głębiej tchu, to dobrze, że znowu mogę rozmawiać z Agnieszką tak jak dawniej. — Mnie zawsze wszystko mówiłaś, a ja tobie.

— To jest coś zupełnie innego.

— No, dobrze. Ale o czym z nim rozmawiasz?

— Nie wiem.

— Paproch, nie poznaję cię. Spróbuj sobie przypomnieć. Coś musisz pamiętać.

Czoło Agnieszki marszczy się w namyśle.

— Najpierw pytał o zabawę. Mówił, że nasze zabawy są fajniejsze niż w liceum. Pytał, czy ja idę. Pytał, jak się nazywa moja koleżanka, a ja powiedziałam, że Magda. A w środę opowiadał mi o psach. Jego pies, Kajtek, dostał Srebrną Kość na konkursie. Pokazał mi zdjęcie Kajtka.

— Wy przecież rozmawiacie zwyczajnie — zdumiona relacją Agnieszki przechodzę do porządku nad tym, że Wiesiek pytał, jak mam na imię. — Z każdym można tak samo rozmawiać. Z każdym.

—Nie!

— O zabawie i o psach z każdym.

— Magda, ty tego nie rozumiesz!

— Sama nie rozumiesz — odpowiadam wrogo i zarazem ze współczuciem. Biedny Paproch! Na szczęście jestem mądrzejsza i nie dałam się w to ubrać, chociaż niewiele brakowało.

Zapraszam ją na urodziny. Razem z Wieśkiem.

— Może on nie będzie chciał — martwi się Agnieszka, a ja mogę odpowiedzieć:

— Będzie chciał. Już go zaprosiłam.

Agnieszka otwiera usta, by o coś zapytać, ale dzwonek zaczyna dzwonić tak, jakby zaczynał się koniec świata, a nie lekcja. Z pokoju nauczycielskiego wychodzi dyżurna ze stosem zeszytów. Szybko, klasówka! Klasówka bez zapowiedzi. Najgorszy rodzaj klasówki. W obliczu takiego zagrożenia wszystko musi pójść w kąt, nawet Wiesiek i moje zaproszenie.

— Już nie masz tych morderczych błysków w lewym oku. — Jurek siedzi trzymając nogi na stole, robi to tylko wtedy, kiedy

jesteśmy sami w domu, magnetofon jest nastawiony na maksymalną głośność i dlatego trzeba krzyczeć, inaczej nic nie słychać. — W porządku, Magdzioł?

— W porządku.

— Poszło o chłopaka?

— Coś ty?!

— Nic. Sytuacja typowa w waszym wieku.

— Figa!

— Mylić się jest rzeczą ludzką. Magdzioł, poszukaj krówek.

Mama je gdzieś schowała.

Znalazłam krówki. Ogarnęła mnie chęć pogadania z Jurkiem tak naprawdę. Ostatecznie, jak on jest na tej psychologii, mógłby mi coś ciekawego powiedzieć.

— Dlaczego musi pójść o chłopaka? — krzyczę przez trąbki, gitary, saksofony i perkusję.

— Bo w waszym wieku natężenie uczuć jest bardzo silne i niekontrolowane.

— Dlaczego?

— Przyczyny obiektywne.

— Jakie?

— Obiektywne.

— A ja? — krzyczę dalej.

— Ty co?

— Także?

— Przypuszczalnie. Albo może jesteś wyjątkiem.

— A jak ktoś nie chce?

— To nie musi. Wolna wola istnieje.

W ryku magnetofonu wyciągam się na tapczanie, przeglądam pisma. Są horoskopy. Przebiegam oczami tekst, który obiecuje mi na początku roku miłe spotkanie i wielkie szanse zawodowe w miesiącach letnich, a na jesieni daleką i interesującą podróż. Mam unikać Wodników i przyjaźnić się z Baranami. Niektóre dziewczyny przepisują horoskopy albo uczą się ich na pamięć, ja je przeglądam dla zabawy.

Zabieram się do krzyżówki, z pełną świadomością, że ojciec będzie miał pretensję, krzyżówki zastrzeżone są dla niego. Policjant turecki, miasto w Rumunii, wyspa na Morzu

Irlandzkim, strasznie trudne hasła, ma cieple kolanka, aha, kaloryfer, kaloryfer, zgadza się, w takim razie zobaczymy, co to jest pięć w dół, skuszona owocem... — Jurek! Kto się skusił na owoc?

— Jaki owoc?

Wymieniamy jeszcze kilka wrzasków, w konsekwencji — Jurek zjawia się w moim pokoju i wspólnie zabieramy się do krzyżówki.

— Spróbuj wpisać Afrodytę.

— Nie pasuje. Za dużo liter.

— Zobacz w poziomie.

Wzrok Jurka pada na jabłkowego olbrzyma, który leży przy tapczanie.

— Witaminy znakomicie poprawiają zdolność logicznego myślenia. Magdzioł, daj bratu to jabłko.

Biorąc je w rękę czuję, jakie jest ciężkie i gładkie. Jabłko za złotówkę. Właściwie powinnam go spróbować, bądź co bądź to jest moje jabłko.

— Podzielimy się. Przełam.

W rękach Jurka jabłko pęka z cichutkim chrzęstem. Na podłogę kapie kilka kropel soku.

— Pomyślmy, kto miał do czynienia z owocami. Herakles, ale odpada Parys z trzema boginiami, odpada... Czekaj, Magdzioł,była jakaś Kidyppe...

To jabłko jest za złotówkę jest słodkie i soczyste, jak się w nie dobrze wgryźć, czuje się leciutki kwaśny smak, który wydaje sie jeszcze wzmagać słodycz.

— Magdzioł, sprawdź dwanaście w poziomie...

Przewodnik stada, kozioł o bursztynowych oczach, o rogach wygiętych na włochaty kark, zerwał się do biegu, za mm ruszyły kozy, spod racic posypał się piarg. Do wybrzeża znowu przybijały łodzie, bowiem był to najsposobniejszy czas do

morskich podróży — Zefir dotykał powierzchni wód, łagodząc duszny skwar świeżościa przywianą od śnieżnych szczytyów.

Wóz Heliosa jeszcze nie wspiął sie na szczyt nieba rozciągajcego sie nad kamienistą wyspą Delos, skąd umierających i rodzące kobiety wywożono łodziami na pobliskie ostrowy, gdyż nikt nie mógł tu sie urodzić i nikt nie mógł tu wydać ostatniego tchnienia.

— Do świątyni trafisz bez trudu — człowiek z kijem wskazuje drogę podróżnym. — Pójdziesz drogą wzdłuż strumienia, przy chacie Melana skręcisz i zaraz za przełęczą ujrzysz własnymi oczami świątynię córki czcigodnej Latony.

— Dzięki. Złożę ofiary Łowczyni, a potem pospieszę z hołdem dla jej brata.

— Jak uważasz młodzieńcze, jak uważasz. A wolno wiedzieć skąd przyniosła cię szybka łódz?

— Z wyspy Keos. Jestem Akontios, syn Kydona.

I Akontys ruszył kamienistym traktem wzdłuż strumienia między stokami wzgórz, gdzie — pośród murtow z białego kamienia — czepiała się czerwonej ziemi winna latorośl i rosły stare drzewa oliwek. Nad polami płonął złoty żarnowiec, po kamienistych nieużytkach czołgały się sosny pokręcone od zimowych podmuchów srebrnobrodego Boreasza

Szedł potem ku górze, przeskakując z głazu na głaz aż wreszcie stanął na grani, między dwoma garbami wzgórz i stąd zobaczył biały przybytek pod cieniem świętych dębów.

Przy świętym źródle obmył twarz i ręce, strząsnął biały pył z chitonu i postąpił ku wrotom.

— Bądź pozdrowiony w przybytku dziewiczej Artemidy, cudzoziemcze. Z czym przychodzisz?

— Z podzięką za uratowanie życia. Zraniłem potężnego odyńca i gdyby nie pomoc Łowczyni, niechybnie wyzionąłbym ducha od jego kłów.

— Wielka jest potęga córki Latony, cudzoziemcze. Wymień teraz swój ród, imię i ziemię, z której przybywasz. Ofiara dziękczynna zostanie złożona jutro o wschodzie słońca.

Odsypawszy w ręce kapłana kruszec, Akontios wrócił nad brzeg potoku.

— Jeżeli jesteś głodny i zdrożony, cudzoziemcze, mój ojciec chętnie udzieli ci gościny pod swoim dachem. Wszyscy pielgrzymi wypoczywają u nas.

Chłopiec pobiegł przodem, płosząc jaszczurki które wy grzewały się na płaskich głazach, i doprowadził przybysza do obszernego domostwa. Przy koniowięziach osły strzygły uszami i parskał zwięzły konik o sterczącej grzywie

— Mamy znakomitych gości. Wczoraj przybył czcigodny Keyks z wyspy Naksos wraz z dziećmi i krewniakami, by wypełnić złożone Łowczyni śluby.

Akontios nigdy nie słyszał o czcigodnym Keyksie z wyspy Naksos, mimo iż wielu jego krewnych i powinowatych żyło na licznych wyspach i w żyznych dolinach wielkiej ziemi i dlatego odmówił wejścia do megaronu, nie chciał krępować swoją osobą obcych ludzi. Nie, wypocznie w cieniu starej figi przy szumie potoku ujętego kamienną cembrowiną. Chętnie przyjmie posiłek i wino, ale nie zasiądzie przy ognisku.

— Twoja wola, synu Kydona — zgodził się brodaty gospodarz. — Ciasno w izbach, to prawda.

Zsunąwszy na czoło szerokoskrzydły kapelusz, Akontios zasnął w szumie potoku, pod cieniem starej figi, spał mocno, bez snów i majaków, tak jak śpi człek zdrożony, a gdy się przebudził, posłyszał tupot kopyt i rżenie.

Zapatrzył się na dziewczynę, która karmiła z rzeszota konika o sterczącej grzywie.

Na wszystkich nieśmiertelnych! Tak pięknej dziewczyny syn Kydona nigdy nie widział, chociaż jego rodzinne Keos słynęło z urodziwych dziewcząt. Policzki smagłe jak skórka brzoskwini całowanej przez słońce, brwi jak skrzydła jaskółki, włosy bujne jak snop jęczmienia, oczy jak morze — mieniące się, błękitne.

Akontios poczuł, że powoli i boleśnie uderza mu serce, zacisnął dłonie, by nikt nie dojrzał ich drżenia. Bardzo pragnął przemówić do nieznajomej, lecz nie był nieokrzesanym prostakiem, wiedział, że nie przystoi przemawiać młodzieńcowi do nieznajomej dziewczyny. Przez skórę konika przebiegały krótkie dreszcze, popołudnie było upalne, muchy i gzy dręczyły uwiązane zwierzęta.

— Kidyppe! — zawołał męski głos od domostwa i dziewczyna odbiegła wraz ze swoim rzeszotem.

— To dla niej czcigodny Keyks przybył do świątyni — gospodarz przykucnął przy zmartwiałym w zapatrzeniu Akontiosie. — Po żniwach wydaje ją z domu, więc oblubienica złożyła Łowczyni dziecięce szatki i zabawki. Czcigodny Keyks chełpi się, że wydaje jedynaczkę za najbogatszego człowieka na Naksos. Zaraz po żniwach, gdy odwieją ziarno, zostanie oddana mężowi.

— Gdzie biegniesz, synu Kydona! — wołał za nim gospodarz. — Zaraz podamy wieczerzę. Zatrzymaj się.

Na stokach gór, wśród spiętrzonych głazów, skaczą kozy spłoszone przez wspinającego się bezdrożami człowieka.

Z hurkotem toczą się w dół kamienie. Pokaleczony, zdyszany Akontios dociera na szczyt. Stąd widzi świątynię Łowczyni ocienioną starymi dębami, wstęgę potoku, rozłożyste domostwo, pod którego dachem kryje się dziewczyna o morskich oczach i policzkach podobnych brzoskwini. Stąd jest bliżej do nieba, bezchmurnego, okrywającego morze i wyspę kosztownym płaszczem z ciemnego błękitu.

— Córko Latony, Łowczyni! — wzywa Akontios tę, która włada wyspą Delos. — Jutro przed wschodem słońca otrzymasz wielki dar ode mnie, Akontiosa Kydonity z wyspy Keos. Nie gniewaj się, że błagam o pomoc wcześniej, niż należy, ale lękam się, że jutro Kidyppe odjedzie i nigdy jej nie ujrzę. Pomóż mi, Artemido, ześlij mi dobrą myśl, spraw, by Kidyppe pokochała mnie, tak jak ja ją pokochałem, ledwie ujrzawszy. Zmiłuj się, Artemido, bowiem bez Kidyppe uschnę niby jęczmień bez wody, niby drzewo, którego korzenie toczy choroba. Wysłuchaj mnie, bogini.

Znad morza przypłynął lekki obłok, stanął nad górami, w przedwieczornej ciszy zakwilił krętogłów kryjący się wśród ciernistych gałęzi.

— Dzięki ci, Łowczyni. Wiedziałem, że nie odmówisz pomocy. Idę za znakiem, który raczyłaś zesłać.

Między skałami wyrósł krzak pigwy, mięsiste, czerwone kwiaty pyszniły się wśród ostrych kolców, stąd wołał krętogłów,

ptak wyroczny.

Akontios rozgarnął sprężyste gałęzie i zobaczył: przyginając pęd swoim ciężarem ku ziemi, zwisał złoty owoc, wielki, pachnący, dojrzały.

Na złocistym rumieńcu Akontios końcem noża nakreślił litery, jedną, drugą i trzecią, całe zdanie. Przysięgam, że zaślubię jeno Akontiosa.

Żadne oko nie dojrzy przysięgi napisanej na owocu, ale ona została już wpisana i nikt jej nie zetrze.

Akontios składa złote jabłko na cembrowinie źródła.

O pierwszym zmierzchu Kidyppe powinna wyjść z dzbanem po źródlaną wodę.

Ukryty za pniem figowca widzi wszystko i słyszy wszystko. Woda dźwięcznie uderza w ściany dzbana, dziewczyna o niewidocznej w wieczornym zmroku twarzy pochyla się nad źródłem. A może to nie jest Kidyppe, tylko jakaś krewniaczka gadatliwego gospodarza? Artemido, spraw, by to była córka Keyksa...

Przez chwilę dziewczyna obraca w palcach złoty owoc, o tej porze roku pigwy nie dojrzewają, ledwo pszczoły krążą nad kwitnącymi gałęziami, czasem wśród cierni odnajdziesz zawiązek, cierpki, zielony, nie większy od paznokcia. Ten owoc jest dojrzały, wonny, jeszcze ciepły od słońca. Dziewczyna podnosi go do ust, a nagły blask światła wydobywa jej twarz z mroku.

— Dzięki ci, Artemido — szepcze Akontios.

Przed wschodem słońca kapłan—ofiarnik w nie przepasanej szacie tłumaczy raz jeszcze Akontiosowi, synowi Kydona, że w jego imieniu zostaną złożone trzy jagnięta bez skazy, taki dar składają bogini najznakomitsi błagalnicy, jeżeli Akontios żąda białego byka i białej jałówki, musi je sam kupić na wybrzeżu, w świątyni nie ma takich zwierząt, jakie on chce ofiarować bogini.

Gdyby wczoraj wyraził swoje życzenie, kto wie, może...

— Wczoraj jeszcze nie wiedziałem, jak wielkie dobrodziejstwa zawdzięczam Łowczyni. Powiedz jej, stary człowieku, że otrzyma od Akontiosa, syna Kydona, wszystko, czego zapragnie. Przywiozę dla jej świątyni egipskie płótno, purpurę z

Byblos, arabskie wonności. Przyślę talent srebra, by uczyniono z niego dzbany, misy i puchary...

Mijały dni i miesiące.

Na wyspie Naksos dojrzał jęczmień, zsypano nowe ziarno do dzbanów, dojrzewały winne grona, rozchylały się poczerniałe strąki bobu. Nadszedł czas zaślubin córki Keyksa, pięknej Kidyppe, z mężem ze znakomitego rodu. W domu narzeczonej zebrały się dziewczęta, zawiodły pieśń weselną:

*Na samym drzewa wierzchołku, na drzewa najwyższej gałęzi,*
*Dojrzało jabłko rumiane, najsłodsze w całym ogrodzie.*
*Ci, którzy jabłka zbierali, tego nie zobaczyli.*
*— Nie tak to było, dziewczęta. Widzieli, lecz nie dosięgli.*

Przystrojona Kidyppe w otoczeniu rówieśniczek, sióstr, krewnych oczekiwała narzeczonego, radośnie biło jej serce w dniu radosnym, już słychać było śpiew młodzieńców, którzy towarzyszyli oblubieńcowi.

I nagle stało się coś niepojętego. Twarz dziewczyny pobladła, Kidyppe zachwiała się, pochwyciły ją drużki, siostry i krewne, zaniosły z płaczem do dziewczęcej izby, wygaszono weselne pochodnie, ścichł śpiew, z ust do ust podawano sobie, że narzeczona jest bliższa śmierci niż życia.

Mijały dni i tygodnie. Kidyppe poczęła wstawać z łoża, zdrowiała, wróciły jej piękność i wesołość. Czcigodny Keyks wyznaczył nowy dzień zaślubin.

Znowu zebrali się goście, zawieszono przed domem kwietne girlandy, zapalono weselne pochodnie.

Gdy Kidyppe drugi raz upadła bez przytomności, czcigodny Keyks, jej ojciec, wzniósł pięści w górę i przysiągł na czarną Hekate i podziemne Erynie, że odnajdzie krzywdziciela córki i wymierzy mu karę. Jako mąż doświadczony i mądry odgadł bez trudu, że rzucono na Kidyppe zaklęcie, związano ją potężnym czarem.

— Wybacz, czcigodny Keyksie, lecz nie zaślubię twojej córki,

chociaż jej wiano jest bogate, a jej piękność urzeka moje oczy. Lękam się wziąć ją w swój dom, by widomy gniew bogów nie zwrócił się przeciwko mnie.

Tak powiedział narzeczony Kidyppe odbierając dary, które złożył przed weselem czcigodnemu Keyksowi. Był kupcem ostrożnym i przezornym, zawsze starał się z daleka omijać każde niebezpieczeństwo.

— Bogowie ukarali pysznego Keyksa, nikt nie zaślubi jego córki.

— Tylko szalony brałby dziewkę przeklętą przez bogów.

— Biedna Kidyppe...

— Nieszczęsny Keyks...

Tak gadali rybacy i żeglarze w porcie, a ich słów słuchał obdarty włóczęga, który przypłynął wąską łodzią nie wiadomo skąd.

Czcigodny Keyks postanowił wysłać Kidyppe do krewnych na Pafos. Tutaj nie mogła zostać, wszyscy wiedzieli, że jest naznaczona czarami.

Nim sprowadzono spowitą zasłonami dziewczynę do łodzi, obdarty włóczęga zbliżył się do czcigodnego Keyksa i rzekł, a wszyscy usłyszeli jego słowa:

— Panie, nie oddalaj córki. Jaja zaślubię.

Czcigodny Keyks pojął w mgnieniu oka, że to ów zuchwały włóczęga jest winien nieszczęścia i hańby, które nawiedziły jego dom, przeto miast odpowiedzi sięgnął po broń, by wziąć słuszną pomstę.

— W imię Artemidy! Wstrzymaj ostrze.

Prawica czcigodnego Keyksa zdrętwiała, zwisła bez czucia, miecz wypadł ze ściśniętych palców.

— To, co się stało, stało się z woli Artemidy, której jest posłuszna każda żywa istota. W cieniu jej świątyni, na wyspie Delos, córka twoja, panie, zjadła złoty owoc, wonną pigwę, którą bogini podobało się naznaczyć przez moje ręce imieniem Akontiosa, syna Kydona. I zaślubi ją jeno on, nie kto inny. Jam jest Akontios, syn Kydona.

Wszyscy, którzy tam byli, ujrzeli, jak Kidyppe uniosła zasłony i uśmiechnęła się do obdartego włóczęgi, który nazwał się

Akontiosem, synem Kydona. Uśmiechnęła się, jakby już od dawna jej serce biło tylko dla niego...

— Ja w każdym razie wychodzę — zapowiada groźnie ojciec. — Nie znoszę hałasu, oni nie potrafią się bawić kulturalnie, krzyczą, tupią. Nie, nie i jeszcze raz nie! W ogóle jestem przeciwny prywatkom. Niedawno czytałem...

— To przestarzałe. Demonizowanie prywatek wyszło ostatnio z mody.

— Jerzy!

— Kiedy rzeczywiście. Dziesięć lat temu winę za „dzisiejszą młodzież" przypisywano prywatkom, obecnie coś jakby zmiana aspektu. Prywatki rehabilitowano.

— Czy ty kpisz, czy o drogę pytasz, Jerzy?

Te wymiany poglądów, dyskusje albo kłótnie sprawiają i ojcu, i Jurkowi dużo satysfakcji. Kiedy Jurek twierdzi, że coś jest białe, ojciec momentalnie nazywa to czarnym, i na odwrót. Nie znaczy wcale, żeby się naprawdę kłócili, tylko każdy z nich stara się zaznaczyć niezależność swego poglądu na świat i jego sprawy. Mama zwykle popiera ojca, przynajmniej oficjalnie, nieoficjalnie — bardzo różni się od taty w swoich sądach. Mnie, jak dotąd, nikt nie pyta o zdanie.

Najważniejsze, że moje urodziny będą. Zaprosiłam dziewczyny, Marka, Roberta, Jacka. Zaprosiłam Wieśka.

— Jurek, mógłbyś zostać w sobotę?

Brat wykrzywia się w sposób nie znamionujący entuzjazmu.

— Nie lubię zabawy w głuchy telefon.

— Nie będziemy się bawili w głuchy telefon. Słowo.

— W chowanego też nie lubię. Pozwól sobie zakomunikować, Magdzioł, że jestem dorosły.

— Ja wiem, ale mógłbyś...

— Może mógłbym — zgadza się Jurek. — Jeszcze się zobaczy. To znaczy, że Jurek będzie na urodzinach. Jak go znam, ten tryb warunkowy jest wiążącą obietnicą.

Gdy rzucam od niechcenia, że mój dorosły brat będzie na urodzinach, gdy niedbale wspominam o taśmach z nagraniami, kiedy mówię Markowi, żeby pamiętał o sobocie, widzę, jak dziewczyny poważnieją. Zazdroszczą, jasne, że zazdroszczą. Żadna z nich nie wpadła na taki pomysł jak ja.

— Mama ci pozwala zapraszać chłopców? — informuje się Joanna.

Błyskawicznie przypominam sobie wymianę zdań sprzed kilku łat, kiedy Jurek...

— Mama uważa, że kolegów należy także zapraszać do domu. Bo jak się ktoś umawia tylko poza domem, to nie jest dobrze.

(W wypadku Jurka oczywiście chodziło o koleżanki, ale to przecież zupełnie to samo).

— Ty się umawiasz z chłopcami, Magda?

— Umawiam się.

Joanna nie spytała, z którymi, a byłam na to przygotowana, miałam odpowiedzieć: „I tak ich nie znasz".

Przez Agnieszkę posłałam kartkę do Wieśka, którego dnia, o której godzinie, normalnie. Zastanawiałam się, jak podpisać. Magdzioł, Madzia, Magdalena Nowak, koleżanka Agnieszki, zgadnij kto, Magda. Zdecydowałam się na Magdalenę Nowak, brzmiało najpoważniej.

— Jeżeli Jerzy zostaje z tymi smarkaczami, możemy się gdzieś wypuścić. Co byś powiedziała na teatr? — spytał ojciec.

Mama ma coś do powiedzenia o teatrze.

— Nie zdążę pójść do fryzjera. Pomyśl lepiej o biletach do kina.

Tymczasem moczy się mak, pożyczyłyśmy tortownicę i mikser. Będzie lemoniada — z kostkami lodu i plasterkami pomarańczy — do picia przez słomkę (słomki też są, kolorowe, z plastyku), herbata, jabłka, banany. Teraz nie ma żadnych wątpliwości, że wszystko się uda.

Tego najważniejszego dnia z trudem dosiedziałam do ostatniej lekcji, już nawet nie przypominałam, że o szesnastej trzydzieści, i tak pamiętali. Ci, których nie zaprosiłam, schli z zawiści. Sama słyszałam, jak Katarzyna objaśniała, że czegoś tam nie może, bo jest ZAPROSZONA DO MAGDY NA

PRYWATKĘ. O to mi właśnie chodziło.

— Madziu, ustaw wszystko na stole. Przygotuj talerzyki, szklanki, łyżeczki. Pamiętaj, że ważna jest estetyka. Przynieś z Jurka pokoju świecznik, ale proszę świec nie zapalać, łatwo o pożar i obrus się może zakapać stearyną. Tak, nawet nieźle stół wygląda. Przydałby się jakiś kwiatek. Podaj serwetki, patrz, tak się układa chryzantemę z serwetek...

Pojawia się ojciec.

— Czy oni to ocenią — przygląda się nakrytemu stołowi. — I w ogóle to Madzia powinna, jeżeli już zachciało jej się takiego balu...

— Madzia zrobiła bardzo dużo — oddaje mi sprawiedliwość mama. — I w ogóle po co szukać dziury w całym? Już skończone. Zaraz wychodzimy. Jurek, opiekuj się gośćmi. Pamiętaj, o czym mówiliśmy. Madziu, zachowujcie się rozsądnie. Państwo Zawadzcy wiedzą o urodzinach, ale jak zaczniecie za bardzo tupać i hałasować, będą mieli pretensję.

Mama, kiedy ma wyjść na dwie godziny z domu, czuje potrzebę ostrzeżenia wszystkich, udzielenia mnóstwa dobrych rad — wtedy dopiero spokojnie przekracza próg.

Rodzice wyszli, Jurek okrąża stół, wcale nie będę zdziwiona, jeśli już teraz rozpocznie degustację tortu. Kocha jeść, ale trochę się tego wstydzi, pod moim spojrzeniem odsuwa się od stołu.

— Magdzioł...

—No?

— Od piątej klasy wykreśliłaś ze swojego słowniczka chłopców. Miałaś tylko koleżanki. — Widocznie pokusa jest silna, Jurek na wszelki wypadek odwraca się tyłem do tortu. — Ojciec się kiedyś nawet spytał, czy szkoły są jeszcze koedukacyjne.

— Jakie?

— Koedukacyjne. Z twoich relacji o zakładzie naukowym wynikało, że oświecane kagankiem wiedzy są wyłącznie dziewczęta. Uspokoiłem rodziciela stwierdzeniem, że ilość młodzianków jest mniej więcej proporcjonalna do ilości dzieweczek...

W każdej chwili mógł zadźwięczeć dzwonek, zaczęłam się denerwować. A tu jeszcze Jurek...

— No i co?

— Jak to się stało, Magdzioł, że nagle zdecydowałaś się dostrzec lekceważone przez siebie istoty? Czy doszłaś do wniosku, że są człekokształtne?

— Nie wiem, o czym mówisz!

— O twojej łaskawej zgodzie na przestąpienie progu sanktuarium przez istoty dotąd pogardzane.

— Mowa—trawa!

— Ciotka Zielińska — uzupełnił i dorzucił zupełnie innym tonem. — O ile mnie wzrok nie myli, ku naszym pieleszom zmierzają dwie twoje przyjaciółki adorowane przez młodzież męską nader nikczemnego wzrostu.

Wyjrzałam, naprawdę szła Kaśka z Beatą, a z nimi Robert.

Dobrze, że będą pierwsi. Już się bałam, że najpierw przyjdzie Agnieszka z Wieśkiem. Mnie Wiesiek nic nie obchodzi, ale nie chciałabym, żeby oni byli pierwsi. Ze względu na Jurka i w ogóle.

Z okazji uroczystego dnia musiałam włożyć sukienkę, mama kategorycznie sprzeciwiła się dżinsom, kiecka była prezentem urodzinowym od rodziców, niebieska, czułam się trochę głupio bez kieszeni, to w ogóle była głupia kiecka. Taka... taka dorosła.

— Magdzioł, bomba! Wyglądasz szałowo.

— Wszystkiego najlepszego, piątek od góry do dołu.

— Pyska, Magdzioł!

— Stara, ale klawo! Jaki tort!

Kiedy tak gadały jedna przez drugą, zachwycały się moją kiecką, tortem i wszystkim, czułam się ogromnie dumna i ważna. Zrobiłam okrągły ruch ręką i oznajmiłam:

— Proszę. Zaraz wszyscy przyjdą.

Nie bardzo wiedziałam, co mam powiedzieć na temat brata, tym bardziej że Jurek stał przy oknie, nie przyjmując do wiadomości wkroczenia Kaśki, Beaty i Roberta do pokoju. Zdecydowałam, że mogę nie mówić nic, on sam także potrafi.

— Ja bym się uczesała — Beata dziwnym ruchem skłębiła włosy nad czołem.

— W łazience jest lustro.

Beata odeszła, staliśmy w milczeniu, Jurek przy oknie, my we troje na środku pokoju.

— Ja... ja mam dla ciebie prezent — zaszeptała przerażonym głosem Katarzyna. — Ja zapomniałam.

Notes z długopisem, w notesie kalendarzyk, już dawno chciałam mieć coś takiego. Dzwonek.

— Sto lat, Magdzioł! — Od Joanny dostałam maskotkę, malutkiego pieska z zamszu.

— Właź, jest już Kaśka, Beata i Robert.

Teraz staliśmy w czwórkę. Beata nie wyłoniła się jeszcze z łazienki. Powinnam właściwie coś powiedzieć, ale oni milczeli w taki sposób, że zaschło mi w gardle i nie byłam w stanie wykrztusić nic do sensu. Żeby wreszcie Jurek odwrócił się od tego okna...

— Właściwie trudno sobie wyobrazić, jak będzie w tym roku z feriami — odzywam się nieco zachrypłym głosem (z emocji i w ogóle). — Śniegu na lekarstwo.

— Może spadnie — wyraża anemicznie nadzieję Robert. On też jest najwyraźniej przerażony — zastawionym stołem, tortem i mną przyobleczoną w prawdziwą sukienkę, a nie w dżinsy albo szkolny fartuch.

— E, nie spadnie.

— Skąd wiesz?

— Bo czuję. Z zimowiska nici.

— Mama mówi, że lepsze były ferie gwiazdkowe — odzywa się Kaśka. — Mama mówi, że ten termin jest nieudany.

— Ferii jeszcze nie było, może twoja mama się przekona do nich.

— Może.

Po wypowiedzeniu tych kwestii milkniemy i zapada krępująca cisza. Wiem, że powinnam coś dalej mówić, ostatecznie to są moje urodziny, ale mam w głowie kosmiczną pustkę, nic, po prostu czuję się tak, jakbym zapomniała w ogóle sztuki mówienia.

Na szczęście znów zadźwięczał dzwonek. Rzucam się do drzwi i otwieram je gwałtownym szarpnięciem. Na progu stoi

Agnieszka, a za nią Wiesiek.

— Sto lat — życzy mi Agnieszka.

Nie wiem, czy Wiesiek czegoś mi życzył, może tak, może nie, dostałam od niego portmonetkę z zamkiem błyskawicznym, śmieszną, w formie średniowiecznej ciżemki.

— Oszczędność jest piękną cechą.

Chyba tak powiedział, a może zupełnie inaczej, dziwne, ale zupełnie nie wiedziałam, chociaż to, że ma kłopot z powieszeniem kurtki, bo urwał mu się wieszak, zauważyłam doskonale.

— Wejdźcie — zapraszam.

Jurek w dalszym ciągu prowadzi obserwację przez okno, Kaśka, Robert i Joanna tkwią bezradnie na środku, w tle — stół z okazałym tortem.

— Jest także Beata — oznajmiam, wskazując w stronę przedpokoju. — Poszła się uczesać.

— Ja bym się też chciała uczesać — palce Agnieszki niepewnie dotykają długich, prostych włosów. — Chyba jestem koszmarnie potargana.

— Nie jesteś.

— Czytałam, że można prasować włosy.

— Gdzie czytałaś?

— Nie wiem. W jakimś piśmie.

— Moja siostra ma elektryczną lokówkę — chwali się Joanna, Joanna zawsze opowiada cuda o swojej siostrze.

Na fakcie, że siostra ma lokówkę, rozmowa utyka. Wiesiek milczy, Robert milczy, mój brat z uporem maniaka wygląda oknem.

Przyjście Marka, Wojtka i Hanki niczego nie zmieniło, zbiliśmy się w przerażone stado na samym środku i wydawało się, że będziemy tak stali do końca świata, w niemiłym milczeniu, przerywanym od czasu do czasu skąpo wtrącanymi słowami.

— Mam obiecane hokeje.

— Gdzie będziesz na nich jeździł?

— Na lodowisku.

— Na hokejach?

—Aha.
Cisza.
— Co robi Beata?
— Czesze się.
— Długo się czesze.
— Długo.
— Z pół godziny.
— Więcej. Cisza.
— Przed feriami będzie jeszcze sprawdzian z fizyki.
— Pewno będzie.
— Żeby chociaż bez zadań.
— Na pewno będzie z zadaniami.
Cisza.

Nagle z łazienki wyszła Beata. Jaka tam Beata! Wyszło coś nieoczekiwanego, zdumiewającego i zupełnie nie przypominającego Beaty. Nawet Jurek odwrócił się od szyby.

— Duża rzecz — podszedł do Beaty i obejrzał ją od góry do dołu. — Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, że to kinderbal kostiumowy. Duuuża rzecz.

Na głowie miała złociste sploty nader kunsztownie splątane, rzęsy długie na pół metra, krwiste serduszko wymalowane na miejscu ust i niesłychanie fioletowe cienie pod oczami. Na szyi Beaty dźwięczały i dzwoniły liczne naszyjniki i korale, było ich tak dużo, że tworzyły rodzaj pancerza, na przegubach obu dłoni mieniły się bransoletki. Stąpała zaś — z pewnym trudem — na najgrubszych podeszwach, jakie zdarzyło mi się widzieć. Ponieważ pantofle były na nią za duże, chwiała się niczym okręt w czas sztormowej pogody.

— Duża rzecz — powtórzył Jurek.

Ale już i Kaśka, i Joanna, i Hanka, i Agnieszka otoczyły Beatę, podziwiały, chwaliły.

— Fantastycznie wyglądasz.
— Klasa.
— Czy to twojej mamy?
— Nie bałaś się zabrać bez pytania?
— Beatka, jak się przylepia rzęsy?
— Czy to jest peruka?

— Masz własną szminkę?
— Mama ci się pozwala malować?
Beata dawała się oglądać i podziwiać, tak, to jest peruka, rzęsy zupełnie łatwo przylepić, szminkę ma własną, kupiła ją za dwadzieścia dwa złote w drogerii, mama nie pozwala, ale Beata i tak się maluje, w niektórych krajach to nawet uczą w szkole, jak trzeba robić usta i oczy, szkoda, że u nas się tego nie przerabia.
— Typowe w tym wieku aspiracje do dorosłości — westchnął mój brat. — Magdzioł, będą wreszcie te urodziny czy nie?
Sam ponakładał nam tortu na talerzyki, napełnił szklanki lemoniadą (kostki lodu jeszcze się nie rozpuściły, napój był tak zimny, że cierpły zęby), słowem, zrobił się zupełnie miłym, starszym bratem.
— Jedzcie, może być dokładka. To jest bardzo duży tort.
I tak moje czternaste urodziny zostały otwarte. Tort pomógł, zaczęły się rozmowy, takie zupełnie zwyczajne, ktoś się roześmiał.
— Mowa, sam byś nie umiał tego zrobić.
— Niby czego?
— No, tych zadań z pierwszej klasy. Podzbiory i tak dalej.
— Dzieciaki można z miejsca uczyć wyższej matematyki.
— Pływać także.
— Widziałem w kronice niemowlaka, który pływał.
— Jakim stylem?
— Pieskiem.
— Nam trener pieskiem nie pozwalał. Strasznie krzyczał.
— Można drugi kawałek?
Nie pytając nikogo o zdanie, Jurek włączył magnetofon. Drgnęłam, to właśnie było w stylu mego brata, zaserwował prastarą taśmę, nagraną w tych zamierzchłych czasach, kiedy nagrywał wszystko. Goście zamilkli i odwrócili się zdziwieni ku tej muzyce, twarz Roberta wyraźnie się wydłużyła, Robert się zna na nagraniach nie gorzej niż Jurek.
— Nie masz czegoś innego? — zapytałam.
— Owszem, ale nie wiem, co by do was pasowało. Beatko, jak ty myślisz? „Taniec siedmiu zasłon" czy „Noc Walpurgii"? Bo z

tobą mam największy kłopot.

Beata niemądrze zamrugała kilometrowymi rzęsami.

W tej samej chwili zauważyłam, że Beata tak manewruje, aby się znaleźć blisko Wieśka, on z kolei odsuwa się przezornie w opiekuńcze pobliże mego brata. Beata pół kroku do przodu, Wiesiek pół kroku do tyłu. Agnieszka jakoś nie spostrzegła tych manewrów.

Beata wyglądała między nami niby wspaniały, barwny ptak między czeredą wróbli, trochę jej pozazdrościłam i szminki na wargach, i dzwoniących bransoletek, i blond peruki. Pomyślałam, że ona wystroiła się tak specjalnie dla Wieśka, i poczułam gniewny dreszcz.

— Dziatwo szkolna, tortu zabrakło — oznajmił Jurek. — Wobec tego po wyczerpaniu rozkoszy gastronomicznych możecie przejść do części artystyczno-rozrywkowej. — Zmienił taśmę, zajęczały gitary, bang, bang, Kaśka, nie ruszając się z miejsca, zaczęła się wyginać w takt podany przez muzykę. — Zapraszam solenizantkę. Magda, ruszamy w pląsy.

Zatańczyliśmy, tamci stali naokoło spustoszałego stołu, obserwując nasze taneczne ewolucje.

— Tak miało być? — zapytał Jurek. —Co?

— To. Tak sobie wyobrażałaś?

— Nic sobie nie wyobrażałam — warknęłam. Ciekawe, skąd Jurek wiedział, że wiązałam jakieś nadzieje ze swoimi urodzinami, gośćmi, tortem, i w ogóle.

— Jasne, że nic sobie nie wyobrażałaś — zgodził się ze mną. —

Czy twoja gwałtowna niechęć do Agnieszki ma jakiś związek z jej cavaliere servente[1]?

Wbrew woli oblałam się buraczkowym rumieńcem.

— Co ci przyszło do głowy?

— Najlepszy rower wyścigowy na osiedlu — spojrzał na mnie spod oka i dokończył zupełnie inaczej: — Oczywiście wygłupiam się, ale fakt faktem, on jest wyjątkowo nieśmiały, taki do tyłu. Po prostu mimoza.

— Coś ty! Wcale nie jest nieśmiały.

— Mimoza — powtórzył z uporem. — Czułek wstydliwy. Za to

1 Cavaliere servente (wł.) — kawaler nadskakujący damie.

tej tam, no, Beacie, nie brakuje tupetu. Widzisz, że zagięła parol na tego nieśmiałego chłopczynę? Zaraz Agnieszka buchnie szlochem, bo już przejrzała zamiary rywalki.

— Gadasz głupstwa.

— Ba, przygotowałem dla was pogadankę o kopalnictwie rud i zapasową prelekcję o płodozmianie, ale niestety sytuacja zmusza mnie do mówienia głupstw.

(A Beata naprawdę tańczyła z Wieśkiem, złotowłosa, dzwoniąca srebrem bransoletek, z cieniem długich czarnych rzęs na policzkach).

— I co ty na to, Magdzioł?

— Na co?

— Na zakusy waszej klasowej uwodzicielki. Masz zamiar podjąć rzuconą rękawicę? A może wesprzesz moralnie swoją zrozpaczoną przyjaciółkę?

(Mówiła coś do Wieśka, z uśmiechem na czerwonych wargach, pokręcił głową, jakby zaprzeczał, dłoń Beaty uniosła się w górę niby duży, biały motyl).

— No, dosyć. Zatańczę teraz z Agnieszką.

Ten pomysł Jurka nie był wcale takim sobie zwyczajnym pomysłem, wystarczyło spojrzeć na bezradne wykrzywienie warg, rozszerzone źrenice, palce mnące rożek obrusa, aby odgadnąć, że Agnieszce trzeba pospieszyć na ratunek.

(A tamci dwoje tańczyli dalej, kołysani śpiewnym rytmem).

Czy Wiesiek poprosi mnie kiedyś, żebym zatelefonowała do Beaty i umówiła go na spotkanie przy murku obok piaskownicy? Na tę myśl poczułam się prawie tak nieszczęśliwa jak Agnieszka, a może jeszcze nieszczęśliwsza.

(Stanęli przy oknie, tyłem do nas, jak przedtem Jurek, rozmawiali, ale nic nie mogłam usłyszeć przez muzykę i głośne rozmowy, a bardzo bym chciała dowiedzieć się, o czym mówili).

Marek o coś zapytał, pokręciłam głową, że nie, ale zupełnie nie zrozumiałam, czego ode mnie chciał. Wszystko rozpłynęło się, rozwiało, rozmyło, zostałam sama w wielkiej, dręczącej pustce, gdzie nie było nic, tylko dwie głowy pochylone ku sobie na tle ciemnej szyby.

Nagle żal mi się zrobiło Agnieszki. Biedny Paproch, co ona

musi przeżywać! Beata jest wstrętna, wstrętna i fałszywa, wystroiła się i... Nie robi się tak, ona nie ma prawa!

Coś zaczęło mnie drapać w gardle, mało brakowało, a rozbeczałabym się na cały głos. Wcale nie chodziło mi o Wieśka, ale to wszystko było głupie i zupełnie inne, niż miało być. Niech oni chociaż odejdą od tego okna. Dlaczego tam stoją, no, dlaczego?

— Magda, czy jest jeszcze coś do picia?

Jest, jest, mama kazała nastawić czajnik, może być herbata, może być także koktajl mleczny, mikser stoi na parapecie, mleko w lodówce, dżem truskawkowy także, tylko że ja nie zrobię koktajlu, nie zagotuję wody na herbatę, nie warto, po co to wszystko?

— Magda, czy ogłuchłaś? Stało się coś?

— Nic się nie stało. Co by się miało stać? — Mój głos brzmi nieswojo, głucho i niepewnie, potem idę do kuchni, przypadam czołem do kafelków nad zlewem, stoję tak bez ruchu i próbuję odpowiedzieć sama sobie na pytanie, czego chcę. Co to się stało? Mam żal do Beaty, chce mi się płakać, nie mogę znieść myśli, że Beata tańczy z Wieśkiem, rozmawia z nim, uśmiecha się do niego? Przecież ja też bym tak mogła, gdybym tylko zechciała. Ja mogę też.

Już jestem w łazience. Rozsmarowuję na policzkach puder w kremie, przyciemniam powieki zielenią, rozjaśniam bielą, maluję usta. Jeszcze tylko nałożę maminy naszyjnik z kryształów i zobaczymy, kto będzie górą. Z lustra patrzy na mnie twarz o zogromniałych oczach i nienaturalnie czerwonych ustach.

— Przekonasz się — przyobiecuję mściwie. — Jeszcze się przekonasz.

Zupełnie nie myślę o tym, co zrobi, co powie mój brat, kiedy ukażę się z tak odmienioną twarzą. A tam, niech się ze mnie wyśmiewa, proszę bardzo, dzisiaj mi wszystko jedno.

W pokoju zgaszono górne światło, zapalono świece, ogromne cienie tańczyły po ścianach. Siedzieli na podłodze i słuchali piosenki, jednej z tych piosenek, które napędzają pod powieki łzy. Chociaż obco brzmiące słowa są niezrozumiałe, ale i tak

wiadomo, że daleki głos śpiewa o czymś dobrze znanym, o czymś, co może spotkać i mnie, i ciebie, i każdego. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy cichutko przycupnęłam za plecami Kaśki.

— Madziu — dziwnie zabrzmiał ten szept, w szkole nie nazywano mnie Madzią. Magdą, Magdziołem, starą, ale nie Madzią. Obejrzałam się ku szepczącemu, to był Wiesiek... — Madziu, wyjdź na korytarz.

Wyszłam za nim.

— Czego chcesz? — rzuciłam nieprzyjaźnie w mrok.

— Mała, nie wydziczaj się. Po co ci to?

— Ty o czym?

— Dobrze wiesz.

On zauważył moją przemianę i chciał, żebym była z powrotem najzwyczajniejszą Magdą. Ucieszyłam się, to dobrze, że zauważył. Więc jednak warto było...

— Beacie bardziej do twarzy, prawda?

— Daj spokój z Beatą!

Wtedy coś powiedziało za mnie:

— Ja tego nie rozumiem. Chodzisz z Agnieszką, a... Nie dokończyłam, bo przerwał mi prawie ze złością:

— Skąd wiesz, że chodzę z Agnieszką?

— Może nie?

— Według ciebie, jak się z kimś rozmawia, to zaraz jest chodzenie?

Przypomniałam sobie zwierzenia Agnieszki. Mogłam mu o tym powiedzieć, dla Agnieszki nie było to wcale żadne zwyczajne rozmawianie, ale nie powiedziałam nic.

— Mała, wytrzyj te mazaje. Głupio wyglądasz.

— Beata za to wygląda ładnie. Jej nie prosisz, żeby sobie wytarła twarz.

— Tym razem tobie odskoczyła szajba. A w ogóle rób, co chcesz. Wolno ci.

Miałam ochotę jeszcze coś mu powiedzieć o Beacie, Agnieszce, Milenie, coś takiego, żeby zrozumiał, co o nim myślę.

1 niech on wreszcie przestanie do mnie mówić: „mała", małe są w przedszkolu. Od dzisiaj mam piętnasty rok i nie życzę

sobie. Zaraz, zaraz. Powiedział do mnie: „Madziu". Madziu? Ale za chwilę nazwał mnie małą...

Tylko już nie mam do kogo mówić, jestem sama w pustej kuchence. Nie, nie sama, bo pojawia się Jurek. Pstryknięcie kontaktu i kuchenkę zalewa białe, obojętne światło.

— Magdzioł, gdzie jest ta herbata? — Spojrzał na mnie i aż zamrugał powiekami. — Coś ty z siebie zrobiła? Operetkowa diwa dla ubogich! Już to zmywaj!

— A dlaczego? Beata...

— Beata jest gość i Beata nie jest moją siostrą. Jeśli ma ochotę wyglądać jak główna atrakcja podrzędnego kabaretu, jej sprawa. Ty nie będziesz robiła z siebie przedstawienia. Jeżeli się nie umyjesz, powiem mamie.

Jest to groźba niezwykła, Jurek nigdy na mnie nie skarży i ja nigdy nie skarżę na Jurka.

— No, trochę tempa! Jak się umyjesz, nalej herbaty. I wypraszam sobie te dramaty wielkich uczuć na kinderbalu. Myślałem, że masz więcej oleju w głowie.

Ze świeżo umytą twarzą wnoszę herbatę i ogromny półmich z chruścikami. Zgodnie z przypuszczeniem mamy — stearyna z płonących świec zakapała obrus.

Znowu robi się głośno i prawie wesoło, tylko Agnieszka, pochmurna jak zimowy wieczór, dziękuje za herbatę i chruściki. Beata śmieje się bardzo głośno i dzwoni bransoletkami.

— Pan ze wszystkimi tańczył, tylko ze mną nie. — Mówi do Jurka „pan", już porzuciła Wieśka, teraz próbuje swoich uwodzicielskich talentów na moim bracie. — Ja się na pana chyba pogniewam.

— Będę niepocieszony.

— Zatańczymy?

Odstawiają szklanki z nie dopitą herbatą i ruszają w pląsy. Beata dobrze tańczy i Jurek także dobrze tańczy. Wszyscy na nich patrzą.

Ja tańczę z Markiem, który chwali tort, herbatę i chruściki.

— Dlaczego zaprosiłaś Wieśka?

— Bo on chodzi z Agnieszką — wyjaśniam niechętnie.

— On jest w pierwszej liceum — konstatuje tak ponurym tonem Marek, jakby fakt, że ktoś jest w pierwszej liceum, był najważniejszym punktem oskarżenia.

— To co z tego?

— Ma przecież swoich kolegów. I koleżanki. Nie musiałaś go zapraszać. Nie pasuje.

— Ja też uważam, że nie pasuje.

— Ale go zaprosiłaś.

— Musiałam, bo on chodzi...

— On się podoba Beacie — rzuca Marek po momencie milczenia.

Jeszcze niedawno myślałabym, że jest to najzwyczajniejsze stwierdzenie, dziś odgaduję tajemnicę Marka, chyba dlatego, że ja też miałam (a może nawet jeszcze mam?) taki sam sekret.

— Zależy ci na Beacie?

— Coś ty! Ja tylko tak, no, rozumiesz. Ona się dzisiaj wydzicza, jak nie wiadomo co.

— Ale fajnie wygląda.

Odwracając głowę Marek odpowiada:

— Jak dla kogo.

Między nami przeciągnięto cieniutkie, niewidzialne nici. Popatrzysz zwyczajnie i nic nie widzisz, po prostu kolega z klasy i koleżanka z klasy, ale jeżeli wpadłeś już na trop, to wiesz, że wcale tak nie jest, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Markowi zależy na Beacie, Agnieszce na Wieśku, Beacie na tym, żeby ją Wszyscy podziwiali, a mnie? Ja sama nie wiem, na czym mi zależy, wszystko się poplątało, ważne i nieważne.

— Czy uważasz, że już uczyniłem zadość twojej prośbie? _ pyta bardzo głośno Jurek, tak głośno, że wszyscy go słyszą, тіщо muzyki i rozmów. — No, to koniec popisów choreograficznych, przynajmniej dla mnie.

Beata poprawia złociste loki, chyba bolą ją nogi w tych niebotycznych pantoflach, bo bez protestu pozwala się usadowić przy stole.

— Pograjmy w dwadzieścia pytań — proponuje Jurek, który najwyraźniej przejął na siebie rolę gospodarza, widząc moją nieprzydatność jako duszy towarzystwa. — Umiecie?

Magnetofon gra dalej, a my bawimy się w dwadzieścia pytań.
— Żywe?
— Nie.
— Jest tutaj?
—Tak.
— Duże?
— Nie.
— Ciężkie?
—Nie.
— Mam to przy sobie?
—Nie.
— Ale ktoś tutaj ma?
—Tak.
— Czy to jest puszyste?
—Tak.
— Jasne?
—Tak.
— Peruka — krzyczymy chórem wraz z odgadującym.

Bo wszyscy, jakby się umówili, wybierają rzeczy, którymi się przyozdobiła Beata. Odgadliśmy wspólnie i sztuczne rzęsy, i bransoletki, i perukę, Beata niby się śmieje, ale jest jej chyba głupio. Dlaczego Wiesiek milczy jak zaklęty? Czy on w ogóle coś powiedział przez cały ten czas? Siedzi w kącie pokoju, daleko od Agnieszki, daleko od Beaty, wygląda samotnie i nieszczęśliwie. Co za głupstwa przychodzą mi do głowy! Czemu niby Wiesiek miałby być nieszczęśliwy i samotny?

—Żywe?
—Tak.
— Człowiek?
—Tak.
— Jest tutaj? .
— Nie.
—Żyje?
—Nie.
— Sportowiec?
— Nie.
— Artysta?

—Nie.
— Polityk?
— Nie.
Pytania i odpowiedzi następują szybko po sobie, tak, nie, tak, nie, tym razem to jest trudne, nie możemy odgadnąć.
— Bohater książki? — ryzykuje Robert.
— Tak.
Nim ustalimy, o którego bohatera chodzi, kończy się limit pytań, a zaczyna się kłótnia, czy wolno wymyślać coś takiego, czego nie można odgadnąć. Wiesiek nie zadał ani jednego pytania, nadal siedzi i milczy jak zaklęty.
Proponując nową zabawę, Jurek przyobiecał, że dołączy gratis ekspertyzę psychologiczną. Każde z nas miało napisać trzy zdania na dowolny temat, zagiąć kartkę i podać następnemu.
No więc piszemy po kolei te trzy zdania, jedni szybko, zdecydowanie, inni z rozwagą. Na dowolny temat... Gdy kartka dochodzi do mnie, piszę o królewnie. O pięknej królewnie, która czekała na młodego księcia w ponurym zamku o stu czterdziestu ciemnych salach. Takie bzdury, bo coś przecież trzeba napisać.
— Teraz spróbuję zgadnąć niektórych autorów — palce Jurka obracały kartki. — Niektórych z was znam, innych nie... No, ale zobaczymy. Uwaga! Zaczynam.
Widać, że jest trochę przejęty tym egzaminem czy sprawdzianem, który zadał sam sobie.
— Na urodzinach Magdy jest bardzo przyjemnie. Tańczymy. Rozmawiamy — przeczytał i popatrzył uważnie w nasze twarze. — Ty albo ty, albo ty — wskazał na Joannę, Kaśkę i Hankę. — Ty! — Zdecydował nagle, bo Hanka spłonęła buraczkowym rumieńcem.
— Nie lubię nagrań zespołów tanecznych. Są nieciekawe i podobne do siebie. Dziwię się osobom, które to nagrywają. — Jurek bez namysłu wskazał na Roberta. — Masz wypisaną w oczach niechęć do tego rodzaju muzyki. Drugi plus dla mnie. A to? — chwileczkę się zastanowił. — Tej nocy padał deszcz i błyskawice rozcinały niebo. Jęczały drzewa pod uderzeniami wiatru. Biegłem... Trzecie zdanie nie dokończone, wbrew

regułom gry — zmiął nagle kartkę. — Nie zgaduję dalej, dosyć.

— Ojej, proszę pana! Tacy jesteśmy ciekawi! Niech pan jeszcze spróbuje! — zajęczeli różnogłosym chórkiem.

— Muszę zachować autorytet i nieomylność wobec dziatwy szkolnej. Wycofuję się po prostu przed kompromitacją.

— Tak nie wolno!

— Nie dorosłem do subtelnych analiz. Na przyszły rok powtórzymy, obiecuję. Wtedy zobaczycie, że dla mnie nie ma tajemnic. Spojrzę raz i będę wiedział wszystko. Abrakadabra! Belial, Lewiatan, Asmodeusz! Bez szklanej kuli i czarnego kota odgadnę wasze najskrytsze myśli.

— Pan myśli, że to się uda? — zapytał Wiesiek, jego głos zabrzmiał dziwnie i głucho, jakby mówił ze ściśniętym gardłem.

— Rzecz jasna, przypuszczasz, że bez trudu ukryjesz tajniki swojej jaźni.

— Tak. Myślę, że tak.

— Czymś się zdradzisz, chociaż będziesz się starał zmistyfikować prowadzącego test.

— Nie mogę mistyfikować, bo sam nie wiem, jaki jestem...

— Nie wiesz?

— Nie wiem.

— Jak będziesz w moim wieku, to coś niecoś już na ten temat będziesz wiedział. Świadomość własnego „ja" jest cechą wyróżniającą dojrzałości. Przy zachowaniu krytycyzmu, rzecz jasna.

— Nie sądzę, żeby to była prawda.

— Wszystko jest względne, jak stwierdził pewien wielki myśliciel. A mógłbyś udowodnić swoją tezę?

— Spróbuję. Jeżeli... Jeżeli ktoś znajdzie się w sytuacji... w sytuacji bardzo trudnej, to przecież on sam nie wie, jak postąpi. — Wiesiek wysunął się ze swojego kąta i stanął naprzeciwko Jurka, był prawie tak wysoki jak mój brat, ale szczuplejszy, głos łamał mu się kiksującymi kogutkami. — Ten ktoś może wiedzieć, jak należy postąpić, ale może się zachować zupełnie inaczej, nawet jeżeli bardzo chce zrobić tak, jak trzeba. Są takie wypadki, podczas wojny i w ogóle...

— No, no, no — mruknął Jurek, przyglądając mu się z

uśmiechem. — Punkt dla ciebie. Coś w tym jest.

— Mnie się zdaje, że to jest dobre, że nikt nie wie do końca, co jest w nim. I w innych ludziach też. Bo jakby wiedział, toby nie wierzył, że mógłby kiedykolwiek...

— Polecieć na Wenus? — przerwał Jurek.

— Chociażby.

— Plan maksimum, który ci się chwali. — Niepostrzeżenie ich głosy spoważniały, rozmawiali tak serio, jakby nie było urodzin, magnetofonu sączącego bez przerwy muzykę, szklanek z nie dopitą herbatą, talerzyków zamazanych resztkami tortu i nas wszystkich. — Nie bierzesz tylko pod uwagę, że możesz być zupełnie pozbawiony cech, które są niezbędne dla... — nie kończąc, Jurek machnął ręką. — Rozumiesz mnie?

Chyba dla Wieśka była bardzo ważna ta rozmowa, odgadywałam to z tonu głosu, ze zbyt szerokich gestów, z pobladłej twarzy. Niczym nie przypominał tego chłopaka, który mi kazał zadzwonić do Mileny, ani tamtego z zabawy, proponującego szklankę oranżady w zamian za złotówkę wydaną niegdyś przeze mnie na telefon. Nawet nie przypuszczałam, że Wiesiek może być taki zupełnie inny.

— Wpadnij kiedyś, to pogadamy — uciął Jurek. — Teraz skończmy te dysputy.

Beata szeroko ziewnęła, od dłuższego czasu nudziła się potężnie, bo nikt nie podziwiał jej blond peruki i dźwięczących bransoletek.

— Potańczmy jeszcze — zaproponowała wstając.

— Ja już muszę wracać — szepnęła Agnieszka.

Chyba bała się, że Beata znowu zagarnie Wieśka, wolała uciekać, niż patrzeć na to raz jeszcze.

— Coś ty, jeszcze wcześnie! Ja mogę być do dziesiątej, a nawet dłużej.

— Ale ja nie mogę.

Jakby słowa Agnieszki były sygnałem, wszyscy zaczęli się kręcić, mówili, że jest bardzo przyjemnie, ale muszą być w domu przed ósmą, a ja ich wcale nie zatrzymywałam, chociaż powinnam była powiedzieć, żeby jeszcze zostali.

Wreszcie poszli sobie: Joaśka, Hanka, Katarzyna, Agnieszka z

Wieśkiem (wyszli razem, tak jak przyszli). Robert, Wojtek, Marek, została tylko Beata, ja, Jurek i mnóstwo brudnych naczyń na stole.

— Wystarczy charakteryzacji — całkiem nieuprzejmie Jurek popchnął Beatę ku łazience. — Przebierz się i zmyj to wszystko. Teraz, słoneczko, możesz przestać udawać dorosłą. Na mnie to nie robi wrażenia. Znam kilka naprawdę dorosłych osób, jeśli ci o to chodzi.

Beata wydęła wargi, chciała protestować, ale rozmyśliła się, lada chwila mogli wrócić moi rodzice, a nikt nie mógł zaręczyć, czy reakcja mojego ojca nie będzie zbyt gwałtowna. Beata nie mieszkała za górami, lecz na trzeciej klatce w tym samym bloku, i mogło się zdarzyć, że mój ojciec uznałby za stosowne odwiedzić rodziców Beaty, żeby im opowiedzieć o elegancji ich córki. Z łazienki dochodziły szelesty, szmery i ciurkanie lejącej się wody.

— Uff... — sapnął Jurek.

— Powiedz czemu?

— Co czemu?

— Czemu było tak dziwnie?

— Między ciuciubabką a „Maskaradą" Lermontowa nie może wyjść nic do sensu. Nawiasem mówiąc, Magdzioł, znasz „Maskaradę"?

Kiwnęłam głową, zdaje się, że widziałam to kiedyś w telewizji, ktoś zamordował żonę, która na balu zatańczyła ze swoim wielbicielem. Może to zresztą było zupełnie inaczej, nie pamiętam.

— Nieładnie przyznawać się do czegoś, o czym nie ma się pojęcia. Nie znasz „Maskarady"!

— No, więc nie znam. Czy nie mógłbyś powiedzieć raz w życiu czegoś po ludzku?

— Mówię po ludzku — zaprotestował. — Jedna urocza maseczka doprowadza się aktualnie do ludzkiego wyglądu. Bo wy wszyscy próbowaliście się poprzebierać.

— Za kogo?

— Chyba za dorosłych, Magdzioł. Albo za krasnoludki plus sierotka Marysia. Albo za trzy małe świnki i złego wilka.

Wyczerpawszy temat, Jurek zajął się wynoszeniem szklanek i talerzyków do kuchni. Z łazienki wychynęła Beata, już najzwyklejsza i codzienna.

— Fajnie było! — poinformowała mnie i dodała: — Widziałaś, jak na mnie patrzył?

—Kto?

— No, ten Wiesiek. Agniecha była wściekła. Wiesz, zapisałam mu swój telefon.

Nagadała jeszcze mnóstwo rzeczy — że Marek nie umie tańczyć, że Kaśka miała brzydką sukienkę, że Hanka narobi plot, bo ona do tego pierwsza, a Robert to smarkacz.

Zgrzyt klucza w zamku.

— Goście już poszli? — martwi się mama. — Czy się udało? Czy było przyjemnie? Nie za bardzo hałasowaliście?

— Świetnie się udało — zapewniam mamę.

— Doskonały film — ojciec wiesza porządnie płaszcz na wieszaku i poprawia kołnierz, żeby się nie pogniótł. — Powinieneś i ty, Jerzy, wybrać się na to. Naprawdę warto.

Beata grzecznie wychwala tort i w ogóle całe urodziny, potem żegnacie i wychodzi.

— Jaka to miła dziewczynka. Dlaczego, Madziu, nie zapraszasz jej częściej?

Co powiedziałaby mama, gdyby wróciła pół godziny wcześniej i zastała zupełnie inną Beatę? Czy podobałyby się mamie te urodziny bez radości, spłoszeni goście, smutna Agnieszka, milczący Wiesiek i ja, nakładająca grubo puder na policzki, oglądająca efekt swoich działań w lustrze nad umywalką, pełna mściwości, wściekła i bliska płaczu?

Z chwalebną dyskrecją Jurek milczy o rzeczach ważnych, chociaż odpowiada sumiennie na wszystkie pytania. Hałasu nie było, tort bardzo wszystkim smakował, chruściki także. No rzeczywiście, podłoga jest zadeptana, ale trudno wymagać od takich starych koni, żeby przynosili ze sobą kapcie. Nikt nie przychodził ze skargą, że było za głośno. A świece pozwolił zapalić, skąd mógł wiedzieć, że obrus zostanie splamiony stearyną?

— Jesteś zadowolona, Madziu? — pyta mama.

— Tak. Bardzo. — Przez moment wierzę w to swoje zadowolenie.

— Pierwsze prawie dorosłe urodziny. — Mama wchodzi do kuchni, by zapalić gaz, ogarnia wzrokiem istne stosy brudnych talerzyków, szklanek, miseczek, ojej, tyle do zmywania. — Cieszę się, że bawiliście się kulturalnie i nie za głośno.

Przypasuję fartuch i pomagam w zmywaniu, mama głośno opowiada mi film, a głośno dlatego, że bez przerwy płynie woda i grzechoczą naczynia. Ojciec bierze udział w wypowiedziach mamy, nie ruszając się z pokoju!

— Nie można iść na żaden polski film, żeby nie zobaczyć tego aktora — ojciec dolewa krople piołunu do zachwytów mamy.

— Jest doskonały. — Nie wiadomo, czy mama mówi to do mnie, czy do nieobecnego ojca. — Rzeczywiście jest doskonały.

— Inni mogli być jeszcze lepsi. Na moment zapada cisza.

— Komedię bym chętnie obejrzał — odzywa się ojciec ze swojego pokoju.

— Trzeba było kupić bilety na komedię.

— Kupić, kupić! Łatwo powiedzieć, trudno zrobić. O tym filmie przynajmniej wiedziałem, że dobry.

— Bardzo dobry.

— To dlaczego masz pretensję, że nie kupiłem biletów na komedię? Zawsze masz jakieś pretensje.

Ojciec w ten sposób wyraża niezadowolenie, że musiał opuścić dom z powodu moich urodzin, po prostu szuka okazji, żeby oznajmić nam wszystkim, iż w gruncie rzeczy pójście do kina było z jego strony wielką ofiarą, której nikt nie może ocenić w dostatecznym stopniu. I mama też o tym wie, ale wcale się nie przejmuje humorami ojca.

— Jak były ubrane twoje koleżanki? — pyta.

— Normalnie.

Przebiegam myślą urodzinowe stroje, jakieś sukienki, bluzki, Hanka była w dżinsach, Robert w koszuli w kratkę, nic ciekawego. Wszystkich zaćmiła Beata. Beatę pamiętam doskonale, mogłabym ją narysować nawet z zamkniętymi oczami.

— A twoja sukienka? Podobała się?

— Tak. Jest bardzo ładna.

— Jak byłam młoda, nie miałam wizytowej sukienki — odzywa się nieoczekiwanie mama. — Pierwszą sprawiłam sobie dopiero wtedy, kiedy Jurek był na świecie. Wiesz, Madziu, o czym marzyłam? O bluzce z białego nylonu, z czarną aksamitką przy kołnierzyku. Do tego czarna spódnica. Ale gdy już mogłam sobie coś takiego sprawić, nylonowe bluzki wyszły z mody.

—Czy oni w ogóle potrafią docenić, że mają wszystko? — ojciec znowu uważa za stosowne wziąć udział w naszej rozmowie.

Mama ignoruje tę uwagę.

— Moja pierwsza wizytowa sukienka była granatowa, prawdę mówiąc, bardzo brzydka. Suknia worek. Ale takie się wtedy nosiło. Byłam z niej bardzo dumna.

— Mamo, malowałaś się?

— W twoim wieku nie. Później tak. W ogóle nie przepadam za malowaniem. Jestem najwidoczniej staromodna.

— Zmiana osobowości — tym razem Jurek pojawia się przy zlewozmywaku, by skomentować wypowiedź mamy. — Należy dodać, że jest to najłatwiejsza zmiana osobowości ze wszystkich możliwych.

— Dlaczego zmiana? — dziwi się mama.

— Bo można tanim kosztem stać się kimś innym. Oczywiście, mowa tu o odczuciach subiektywnych.

— Nie nudziłeś się, synku? — mama zmienia temat, sprowadzając rozmowę na bardziej konkretny grunt.

— Skąd? Interesujące pole obserwacji.

— Jurku, czy mógłbyś odpowiadać zwyczajnie?

— Mam na myśli możliwość obserwacji dobranego grona istot typu „już nie korniszon, jeszcze nie ogórek".

— Jerzy, kiedy ciebie słucham, wcale nie jestem pewny, czy rzeczywiście wydano ci dowód osobisty — grzmi zza drzwi ojciec. —Proszę odpowiadać konkretnie na zadane pytania.

Zaczyna się jedna z tych nieśmiertelnych rozmów o dojrzałości i niedojrzałości i trwa jeszcze wtedy, kiedy moszczę się do snu.

— Teoria, teoria, Jerzy! Myśmy w twoim wieku byli już

zupełnie samodzielni. Ja sam zarabiałem na swoje utrzymanie. Nikt mi nie wybierał kierunku studiów, nie było mowy o żadnym kieszonkowym, o wiele poważniej niż ty podchodziłem do życia i jego problemów.

— No, dobrze. Gdybym teraz zaczął pracować...

— Co za bzdury, Jerzy! Twoim obowiązkiem jest nauka. Po co miałbyś pracować? Czego ci brak?

— Mam na myśli pewnego rodzaju sprawdzian.

— Z tobą nie można rozmawiać poważnie!

Pod przymkniętymi powiekami jawi się smutna twarz Agnieszki, potem Agnieszka niknie i widzę szybą ciemną jak zimowy wieczór, a na tle tej szyby pochylone ku sobie głowy, długowłose, jedna zwyczajna, a druga płonąca złocistymi lokami. I jest także twarz. Naprawdę wygląda tak, jakby Beata chciała coś zmienić albo ukryć. A co chciałam ukryć ja sama, kiedy trzęsącymi rękami nakładałam te wszystkie pudry i szminki? To nieprawda, że chcę coś ukryć. Może najzwyczajniej pozazdrościłam Beacie? Chciałam, żeby gapili się na mnie w niemym podziwie. Kto? No, wszyscy! I Wiesiek też. Tak, Wiesiek także!

Z tą myślą zasypiam, a za ścianą toczy się dalej niesłychanie zasadnicza rozmowa na temat, czy dzisiejsza młodzież jest tylko dzisiejszą młodzieżą, czy może istnieją szanse, że coś jednak z niej wyrośnie...

Nie rozstawały się, razem tropiły bystronogie jelenie, które wychodziły z cienia górskich lasów na zalane słońcem łąki, by skubać wonne zioła; razem stawiały czoła ociężałym niedźwiedziom zaszytym w nieprzebytym gąszczu kosodrzewu, szły bez trwogi po tropach górskiego lwa o skąpej grzywie i płowej sierści; razem kąpały się w bystrych potokach, przełamywały placki i owcze sery, razem układały się na nocny spoczynek pod opiekuńczym skalnym nawisem.

Gdy pochylały się nad przezroczystym nurtem strumienia,

w toń padały wysmukłe cienie dziewcząt łow- czyń, gałęzie zielonych wierzb kłoniły się pochwalnie, a ptaki śpiewem rozgłaszały chwałę piękności Artemidy i jej towarzyszek. Wśród najpiękniejszych nimf wybranych z tysięcy córka czcigodnej Latony nie miała sobie równej, wielbiły ją szumiące liście i śpiew strumieni, ptaki, które witały rano słońce, i wiatr, który czesał trawy na górskich łąkach.

— Artemida mnie pokocha — mówił Alfejos. Opowiadano,- *że* jego ojcem był bóg rzeczny, a matką mirtowa nimfa. Był piękny, młody i odważny, więc trochę wierzono w jego boskie pochodzenie; a trochę nie, bo był młodzieńcem, który jak wszyscy jadał placki natarte czosnkiem, pił kwaśne wino i przed świtem zagłębiał się w ciemny las na stokach gór, żeby z zasadzki czatować na zwierzynę.

Ani młodzieńcze łowczynie, ani najpiękniejsza z nich Artemida nie wiedziały, o czym rozprawia Alfejos na progu swojej chaty skleconej ze skalnych odłamków, ocienionej szarą oliwką. Nie mogły tego wiedzieć, gdyż były prawdziwymi córkami bóstw, które nie interesują się słowami śmiertelnych, chyba że wyroki losu każą spojrzeć ze szczytów skał ku chatom przycupniętym w dolinie.

— Artemido, co zrobisz, jeżeli ktoś zwróci do ciebie słowa miłości?

— Każę mu iść precz.

— A jeśli nie usłucha?

— Poszczuję go psami.

— Naprawdę tak zrobisz, Artemido?

— Tak.

Owe psy Artemidy, sławne gończe z Lakonii, białe z czerwonymi uszami, idą po tropie niestrudzenie dniem i nocą, ich głos niesie się nad czubami pachnących żywicą pinii najeżonych kostropatymi szyszkami. Nie ujdzie im żadne zwierzę, nie stawi im czoła najdzielniejszy nawet człowiek. Straszna jest groźba Zeusowej córki. Ale żaden wiatr nie zaniósł tych słów Alfejosowi.

W swojej kamiennej chacie obmyśla on plan. Nie darmo jest myśliwym, który potrafi przechytrzyć rudego lisa i

podejść płochliwe gęsi na rzecznym rozlewisku. Jeżeli spełni swój zamiar, jeżeli przemówi do łowczyni, Artemida go wysłucha. Wtedy zaprowadzi ją wysoko w góry, gdzie ukrywa się śnieżnobiała łania o złotych rogach, pojmie łanię gołymi rękami, złoży u stóp córki Latony. A gdy Artemida ujrzy jego siłę, odwagę i zimną krew, odda mu sercé.

— One schodzą co rano na brzeg rzeki. — Koniec kija kreśli na piasku zawiły wzór, stary człowiek opowiada powoli. — Kąpią się tam, gdzie potok spływający z gór łączy się z głównym nurtem. Gdy wzejdzie słońce, umykają okryte ostatnimi zasłonami mgły.

— Widziałeś je?

— Nie. Słyszałem ich śmiech. Wiele razy słyszałem ich śmiech.

Potem stary człowiek unosi wpółzgasłe źrenice.

— Dlaczego pytasz o nie, Alfejosie?

— Z ciekawości, bo różnie o tym powiadają.

— Bacz, by cię twoja ciekawość nie zawiodła zbyt daleko. To są boginie, a ty jesteś człowiekiem, chociaż niektórzy bają, że zrodziłeś się z mirtowej nimfy i boga rzeki. Ale tak mówią o wszystkich dzieciach, które odnaleziono porzucone.

— Czemu mniemasz, starcze, że nie jestem krewnym bogów? Liczni powiadają, że moje męstwo, wytrwałość, siła świadczą o tym, iż zrodzili mnie nieśmiertelni.

— Musisz mieć jakichś rodziców, Alfejosie, więc czemuż nie mieliby nimi być bóg rzeki i mirtowa nimfa, jeżeli tak się podobało starej Ilekale, twojej opiekunce, która odnalazła cię w zaroślach mirtowych, nie opodal brzegu. W każdym razie zbytnio nie zawierzaj mniemaniu, żeś krewnym nieśmiertelnych, taka jest moja rada, dobra rada, Alfejosie.

W godzinie przedrannej Alfejos ukrył się wśród wierzbowych zarośli nad górskim potokiem, przyklęknął między sprężystymi łozami, osłonił się liśćmi, niskie pasma mgły przechodziły nad wodą, toń dymiła ku szaremu niebu, ledwie podmalowanemu na wschodzie barwą skrzydeł

dzikiego gołębia. Wielka cisza stała nad rzeką, tylko gdzieś na górskim stoku poszczekiwał zaniepokojony koziołek cichym, chrapliwym szczekaniem.

I nagle cisza zamąciła się, pękła. Mnąc rośne zioła bosymi stopami, zbiegły ku wodzie, srebrny śmiech obudził śpiący we mgle nurt, rzeka zaszumiała, uderzyła falą o kamienie, rozprysnęła się drobnymi iskrami.

To musiała być ona, łowczyni Artemida, córka Latony, smukła jak sosna wykołysana wiatrami wysoko w górach, przewyższająca wzrostem towarzyszki, o włosach srebrnych jak sierp miesiąca na nowiu, ruchach ostrożnej łani. Serce Alfejosa uderzyło mocniej. Zaiste, prawdę śpiewają ptaki i prawdę szumią gałęzie kłoniące się pod wiatrem — nie ma piękniejszej od Artemidy.

Gdy tak z ukrycia ją podziwiał, nie wiedział wcale, że patrzy na Kallisto, córkę Likaona, że Kallisto wziął za córkę Zeusa.

A nimfy pryskały na siebie wodą, brodziły na pły- ciźnie, przystojnie uginając rąbka chitonów, lub nabierając przezroczystej zimności w stulone dłonie, obmywały powieki obrzmiałe od głębokiego snu. Niebo rozjaśniało się, zaśpiewał pierwszy ptak, nad górami lekkie chmury spłonęły rumianą pożogą.

— Teraz — postanowił Alfejos.

Wiedział już, do kogo winien zwrócić swoje słowa, ale wiedział także, iż nie wolno mu się ukazać wtedy, gdy nimfy obmywają się w rzece, i nie wolno ich ścigać. Jeżeli ma zostać wysłuchany łaskawie, musi się ukazać ich oczom w tej jednej krótkiej chwili, gdy odwrócą się od wodnej toni, lecz nie zaczną jeszcze biec przez łąkę.

Ta, z której nie spuszczał wzroku, zwinęła wilgotne włosy na karku i poprawiła fałdy chitonu, inhe nimfy ze śmiechem pryskały na nią wodą, a potem wybiegły na brzeg i, chwyciwszy się za ręce, zawiodły szalone koło. Ona stała w środku — bez ruchu, poważna i wyprostowana.

— Już — nakazał sam sobie Alfejos i jak ryś wyskoczył ze swojej kryjówki.

Krzyknęły jednym wysokim, przerażonym krzykiem i rozpierzchły się na wszystkie strony. Alfejos zabiegł drogę srebrnowłosej.

— Przynoszę ważną wieść, Łowczyni! — wołał. — Przysięgam, że nie pożałujesz, jeżeli mnie wysłuchasz.

Tak samo nagle, jak pierzchnęły, teraz zatrzymały się i otoczyły myśliwego szerokim kołem, jak się otacza szarego niedźwiedzia albo płowego lwa, nim za- świszcze pierwsza strzała.

— Z kim chcesz mówić? — zapytała jedna z nich, głos miała ostry, rozkazujący, a jednocześnie podobny do śpiewu ptaka. — Kim jesteś?

— Jestem Alfejos i chcę mówić z Artemidą.

— Mów — zażądał ten sam dziwny głos.

Odszukał w otaczającym go kręgu srebrnowłosą, ugiął kolana.

— Chcę ci, Artemido, ofiarować niezwykły dar, zło- torogą łanię. Znam jej kryjówkę. Rozkaż tylko, a pojmę cudowne dziwo, jakiego nie ma nawet twój ojciec, gromowładny Zeus. Wystarczy jedno twoje słowo.

— Czemu chcesz złożyć tak niezwykły dar Artemidzie?

— Wyjawię, jeżeli bez gniewu wysłuchasz tego, co rzeknę.

— Nikt się na ciebie nie gniewa, Alfejosie. Powiedz.

— Kocham cię, Artemido.

Ze wszystkich stron zadźwięczało śmiechem, chmury nad szczytami rozwarły się i słońce wytoczyło się na widnokrąg, rozkrzyczały, rozćwierkały się ptaki, zabu- czały żuki, zabrzęczały pszczoły, mgła przypadła do ziemi i rozsypała się rosą na źdźbłach kruchych traw.

— Artemida jest ci wdzięczna za twoje uczucie, ale czy naprawdę miłujesz ją tak bardzo, jak nam powiadasz? Czy miłujesz Artemidę, Alfejosie?

— Tak.

Łowczyni o dziwnym głosie wystąpiła z koliska i stanęła między Alfejosem a srebrnowłosą.

— Więc pozwól, Alfejosie, że wyprowadzę cię z błędu. Tamta to Kailisto, córka Likacna, a ja jestem Artemida,

Zeusowa córka. Czy i teraz twierdzisz, że miłujesz Artemidę?

Pod myśliwym ugięły się nogi, ale mimo to odpowiedział pewnie i głośno:

— Miłuję Artemidę.

— Szybko zmieniasz przedmiot swoich uczuć, Alfe- jnsie. Wybacz, ale nie znam imienia twojej matki i twojego ojca…

— Moim ojcem jest bóg rzeki Alfejos, po którym wziąłem imię, a matką mirtowa nimfa.

Artemida postąpiła krok do przodu i Alfejos ujrzał ją wyraźnie, jakby rozwiała się jakaś niewidzialna mgła. Była niższa od Kallisto, jej włosy nie były srebrne, miały raczej niepozorną barwę dojrzewających orzechów, nos odrobinę zadarty o ruchliwych skrzydełkach nozdrzy, wesołe dołeczki na policzkach — mogłaby być najzwyczajniejszą dziewczyną ze wsi w dolinie, nosić na ramieniu wielki dzban z wodą lub prząść wełnę, opierając się plecami o pień oliwki.

— Przysięgłam kiedyś, że tego, kto ośmieli się mówić mi o swojej miłości, poszczuję psami, lecz sama nie wiem, jak mam z tobą postąpić, Alfejosie. Przecież nie obraziłeś mnie, bowiem właściwie wpadła ci w oko Kallisto i to jej ofiarowałeś złotorogą łanię. Jeżeli ona zechce, zagwiżdżę na psy. Chcesz tego, Kallisto?.

— Artemido, darujmy mu.

— Możesz odejść spokojnie, Alfejosie.

Jak mógł nie zauważyć tego od razu! Ona promieniała światłem, spowijał ją złocisty obłok, była piękna, po stokroć piękniejsza niż Kallisto, każdy jej ruch był samym wdziękiem, jakby wszystkie leśne zwierzęta, którymi władała, ofiarowały jej zwinność, a wszystkie leśne kwiaty dały woń i barwę jej oczom, policzkom, włosom, czołu.

— A jednak nie pomyliłem się. Miłuję Artemidę.

Jej śmiech zwielokrotniony zabrzmiał szeroko i wrócił echem od górskiego stoku. Nie, nie była wcale piękna i nie była młoda, widział wyraźnie jej dłonie spracowane, o zgrubiałej skórze i z sinawymi żyłami, małe zmarszczki w kącikach oczu, gorzkie fałdy przy ustach.

— Jesteś kłamcą, Alfejosie. Domyślam się nawet, dlaczego wybrałeś właśnie mnie, nie widząc i nie znając. Powtórz raz jeszcze, że miłujesz Artemidę. Że mnie miłujesz.

Ciężko było zwrócić słowa miłości do kobiety o przygarbionych ramionach, ale Alfejos powtórzył je, ponie-: waż był uparty z natury.

— Jesteś kłamcą! — Zmarszczyła czoło, tupnęła stopą w dziecinnym gniewie, znowu stała się młoda i promieniejąca złocistym blaskiem. — Zrobimy próbę, Alfejosie. Wy, ludzie, twierdzicie, że zakochany odnajdzie ukochaną nawet wtedy, gdy przemieniona w ziarnko piasku legnie między miriadami takich samych ziarnek na dnie oceanu. Zakryj oczy, Alfejosie. Jeżeli mnie rozpoznasz, podążę za tobą w góry tropić złotorogą łanię.

— Rozpoznam cię, jeżeli nie będziesz zmieniała nieustannie swojej postaci, Artemido.

— Twierdzisz, że jesteś synem boga rzeki Alfejos i mirtowej nimfy, więc moje przemiany nie powinny ci przeszkadzać. Podejrzewam jednak, że jesteś człowiekiem, i nie będę zmieniała postaci. Odwróć się i czekaj.

W gałązkach wierzbiny zatrzepotał mały ptak, promienie słońca spijały rosę z liści.

— A teraz patrz! — rozkazano.

Siedziały równym szeregiem, jedna obok drugiej, podkuliwszy pod siebie stopy. Rozpuściły włosy na ramiona i uniosły ku Alfejosowi głowy. Wzdrygnął się przerażony — zamiast dziewczęcych twarzy patrzyły na niego nieruchome maski z wilgotnej gliny, słońce nadawało ich włosom jednakowe, złociste lśnienie.

Przeszedł powoli przed milczącym szeregiem, podumał i zawrócił. Córka Latony miała słuszność, nie kochał jej wcale, wolałby wybrać Kallisto, ale był uparty. Jeżeli złoży dar córce Likaona, ludzie nie zdziwią się wcale, jeśli złoży go Artemidzie, będą cmokali, kręcili głowami i wspominali jego imię po wiek wieków. Tylko jak rozpoznać Zeusową córkę pod skorupą szybko zasychającej gliny?

Przeszedł jeszcze raz i jeszcze raz, aż wreszcie wydało mu

się, że rozpoznał. Może słońce bardziej złociście rozjaśniało włosy tej dziewczyny? A może mocniej uderzyło jego własne serce, gdy ją mijał?

— Ty jesteś Artemida.

Bez słowa zerwała się i pochyliła nad tonią, nabrała wody w stulone dłonie (pociekła przez palce brudnymi strużkami) i uniosła ku niemu twarz. Twarz Kallisto.

— Czy nadal, Alfejosie, ośmielasz się twierdzić, że przywiodła cię tutaj miłość do Artemidy?

(Nienawidził tego głosu, po prostu nienawidził, wyśmiewała się z niego, czuł to.)

— Dziwnie straciłeś ochotę do rozmowy ze mną, Alfejosie, i to jestem ci gotowa wybaczyć, ale nie wybaczę czegoś innego. Nie wolno żartować z miłości, ani bogom, ani ludziom. Nikomu. A ty, Alfejosie, zażartowałeś. Muszę cię ukarać.

Gdy Artemida uniosła szczupłą dłoń, lekki dotąd wiatr nasilił się, jęknęły konary pinii, Alfejos poczuł, jak niewidzialna siła unosi go w górę i niesie w szalonym pędzie, w wichrowym świście, wysoko, nad czubami najwyższych drzew, nad grzbietami szczytów. Z góry, z dołu, zewsząd ścigał go dziewczęcy śmiech, drwiący i okrutny.

W chatach przycupniętych w dolinie ludzie różnie mówili o zniknięciu Alfejosa. Jedni opowiadali, że padł ofiarą wilczego stada, inni, że znalazł śmierć na dnie przepaści, byli i tacy, którzy wiedzieli na pewno, że Alfejosa przywołał do swego boku ojciec, bóg rzeki. Młodzieniec wychodzi na brzeg, gdy księżyc jest w pełni, i ściga jelenie, przeszywając powietrze niezawodnymi strzałami. Jeszcze inni widywali cień Alfejosa w mirtowych zaroślach, może to matka zapragnęła mieć syna przy sobie?

Jedno było pewne, Alfejos przepadł, jakby rozstąpiła się pod nim ziemia.

— A ja powiadam, że zaślubił Artemidę — staruszka Hekale kiwała poważnie głową. — Gdy tylko go znalazłam, wiedziałam, że to nie jest zwykłe dziecko.

— Zarozumiały i uparty — mruknął starzec siedzący na progu i kreślący zawiłe wzory na piasku końcem długiego kija. — Bardzo zarozumiały. Czemu mniemasz, Hekale, że Artemida mogła go pokochać?

— Musiałaby nie mieć oczu.

— Ona spojrzy raz i wie, co człowiek nosi w sercu...

— On był odważny i piękny.

— ...dlatego myślę, że może nie ukarała go zbyt surowo — ciągnął stary człowiek, nie słysząc słów Hekale. — On chciał dokonać czegoś takiego, żeby o nim opowiadano w zimowe wieczory przy ognisku. I był tak nierozsądny i uparty, że pewnie próbował zrobić to, co zamierzył.

Na dalekiej wyspie Ortygii żyje pewien człowiek, ma domostwo z odłamków kamienia, wąską łódź, wiosła i własne sieci. Jest małomówny, przybył któregoś dnia z daleka, nie wiadomo skąd, i został na zawsze.

Jedno jest tylko dziwne w tym człowieku — gdy słyszy śmiech dziewcząt, wdiska głowę w ramiona i biegnie na oślep przed siebie. Pada, rozbija się o skały, ucieka, jakby chciał prześcignąć wiatr, byle dalej od tego śmiechu.

Rybacy z Ortygii szepczą między sobą, że cudzoziemiec jest pomieszany na umyśle, ale współczują mu — biedny człowiek, który musi uciekać przed dziewczęcym śmiechem...

W szkole klasówka za klasówką, kartkówka za kartkówką, wiadomo, półrocze. W obliczu nieustannego sprawdzania zasobów własnego umysłu pewne sprawy najwyraźniej straciły znaczenie, nawet Agnieszka przestała mi się zwierzać, bo jak się zwierzać, kiedy każdą wolną minutę należy wykorzystać na jeszcze jedno zerknięcie do podręcznika albo na przygotowanie niezawodnego systemu ratunkowego spisanego na długiej karteczce złożonej w maleńką harmonijkę.

— Jaki miałaś wynik trzeciego zadania?

— Magda, na litość boską, „rozkaże” pisze się przez „ż” czy

przez ,,rz”?

— Robert miał przysłać ściągawkę i nie przysłał.

— Ojej, żeby tylko nie z gramatyki!

— Żeby tylko nie z rosyjskiego!

— Nie z wiersza!

Jakoś nie tracę głowy w czasie tego szkolnego trzęsienia ziemi, piszę sprawdziany, rozwiązuję zadania, nie mam obłędu w oczach i odpowiadam mniej więcej do sensu na wszystko, o co mnie pytają.

Po owych urodzinach (znanych powszechnie jako „prywatka u Magdy”) zaczęto się do mnie w klasie odnosić z większym szacunkiem. Nie miałam żadnych wątpliwości, że przyczyniły się do tego entuzjastyczne sprawozdania moich koleżanek, a szczególnie Beaty.

— Dziewczynki,' nie macie pojęcia, jakiego Magda ma przystojnego brata! Studenta. Prawie cały czas z nim tańczyłam. Taśmy też fantazja. I byli chłopcy z liceum.

— Z liceum? — upewniali się słuchacze, nie wierząc własnym uszom.

— Jednemu chłopakowi z liceum zapisałam swój numer telefonu. Będzie do mnie dzwonił.

W tych sprawozdaniach Beaty moje urodziny wyglądają niezmiernie atrakcyjnie, półgłośne wtrącenia Kaśki i Joanny dodają jeszcze większego blasku. Nie macie pojęcia, co Beata z siebie zrobiła, wyglądała, jak nie wiadomo co, ja tobym- się wstydziła, tort pycha, mogłabym zjeść z dziesięć kawałków. Koktajl także był.

Właściwie zależało mi, żeby opowiadano w ten sposób o mojej prywatce, żeby zazdroszczono i podziwiano. Tylko nic nie mogłam poradzić na to, że gdzieś w środku ssało mnie niejasne uczucie, jakbym próbowała kogoś oszukiwać albo coś w tym rodzaju.

Mijają dni i wspomnienie taśm, tortu i kreacji balowej Beaty blaknie, traci poprzedni blask, czasami trochę się nawet dziwię swoim żalom do Agnieszki, swojemu myśleniu o Wieśku i gniewowi na Beatę. Są ważniejsze sprawy na świecie.

W tych dniach Agnieszka — z palcami poplamionymi długopisem (długopisy Agnieszki, nie wiadomo czemu, zawsze plamią), przytłoczona nadmiarem wchłanianej wiedzy — nie jest tamtą niepojętą Agnieszką, która zdradziecko porzuciła mnie na zabawie, by zwierzyć się później, że potrafiłaby wyskoczyć oknem na spotkanie. Agnieszka staje się z powrotem Agnieszką, Agnie- chą, czyli Paprochem, moją przyjaciółką, Wiesiek przepadł, rozwiał się, wcale go nie ma, wszystko jest w porządku.

Odzyskawszy spokój, oddaję się najzwyklejszym sprawom, wsuwam wieczorem podręcznik pod poduszkę, by trudniejsze problemy przeniknęły do mnie w głębokim śnie (nie bardzo w to wierzę, ale ostatecznie tak robią wszyscy), w drodze do szkoły starannie liczę płyty chodnika, parzyste — dobra wróżba, nieparzyste — zła, sekret polega na tym, żeby stawiać stopę na co drugiej płycie i nie pomylić się ani razu. Jest zbiórka harcerska, mówimy o wyjeździe na zimowisko i planowanej zbiórce makulatury, śpiewamy, ale ja nie jadę na to zimowisko, ojciec ciągle uważa, że jestem małym dzieckiem, które może wyjeżdżać wyłącznie pod opieką rodziców.

— Pozwoliłbyś Madzi, jej chyba na tym zależy. Dziewczynka ma piętnasty rok, czas już na trochę samodzielności — przekonuje mama.

Teoretycznie powinnam już spać, więc rozmawiają głośno, nieświadomi, że ja słyszę.

— Jeździ na kolonie, to wystarczy — ucina ojciec.

— Na takim obozie młodzież ma więcej samodzielności. A Madzia jest rozsądna.

— Chyba żartujesz! Istne fiu-bździu w głowie, a ty twierdzisz, że rozsądna. Tyle się czyta o wypadkach w górach. Skąd ja mogę wiedzieć, gdzie poniesie smarkatą? Pod opieką nauczyciela mam przynajmniej pewność...

— Instruktorami są najczęściej nauczyciele.

— Co jej się stanie, jak posiedzi dwa tygodnie w domu? Czy ja jej bronię chodzić na lodowisko, do kina, do koleżanek? Ma aż za dużo atrakcji.

— Jurek jeździł. Był już na obozie wędrownym, kiedy skończył czternaście lat.

— Jerzy mógł jeździć — fakt, że ojciec używa dostojnej formy imienia Jurka, ma swoje znaczenie. — Do Jerzego mam pełne zaufanie. Zawsze można było na nim polegać.

Oficjalnie zdanie ojca o Jurku nie jest takie pozytywne, ale w tym wypadku rozsądek Jurka jest przeciwstawiony mojemu nierozsądkowi. A najdziwniejsze, że ojciec drży o mnie dużo bardziej niż mama, chociaż ona też na każdym kroku podkreśla, że jestem niemądra, niepoważna i w ogóle zupełnie nie taka, jak powinnam. Ma trochę racji, kiedyś myślałam, że nie ma, teraz nie jestem już tego taka pewna.

Z powodu sesji Jurek robi się grymaśny jak najbardziej grymaśna królewna z bajki, istna Grymasella, nikomu nie wolno wchodzić do pokoju, gdzie zgłębia tajniki wiedzy, magnetofon gra nie tylko cały dzień, ale i nocami, w charakterze pomocy naukowej Jurek domaga się świeżo zaparzonej czarnej kawy i codziennej torebki ekstra krówek. Jest to jego pierwsza sesja w życiu i wszyscy odnoszą się do niego z wyrozumiałością i pełnym zrozumieniem.

W cieniu Jurkowej sesji moje uczenie jest prawie nieważne. Tylko mama wieczorem zadaje sakramentalne pytanie, jak mi poszło, odpowiadam, że dobrze, i na tym wyczerpujemy kwestię, zresztą mama ma w biurze reorganizację, a ojciec nowego szefa i to są główne tematy rodzinnych rozmów przy kolacji, mama opowiada o swoim, a ojciec o swoim, co w sumie robi takie wrażenie, jakby się wzajemnie zupełnie nie słyszeli.

— Wyobraź sobie, postanowili przesunąć panią Zofię do kosztorysowania. Pracownika z takim doświadczeniem...

— On jest zupełnie nie zorientowany w naszej specyfice. Nie można przecież mechanicznie przenosić...

— Biedaczka taka zdenerwowana...

— To, co było może i dobre w tamtym przedsiębiorstwie, u nas nie zdaje egzaminu. Na naradzie zwróciłem uwagę...

Nie mogę powiedzieć z czystym sumieniem, żebym zbyt dokładnie wiedziała, na czym polega praca mamy i ojca.

Znam oczywiście nazwy zakładów, potrafię określić zawód rodziców, ale niekoniecznie się orientuję, co kryje się za określeniami: „księgowa” i „planista-ekonomista”. Czasem miewam niegroźne wyrzuty sumienia z tego powodu, ale potem zapominam. Może gdyby byli aktorami, lekarzami, dziennikarzami albo kimś sławnym, chciałabym wiedzieć więcej o ich pracy. Zresztą to nie jest najważniejsze.

Najważniejsze są ferie, zupełnie nowe, rewelacyjne ferie na przełomie stycznia i lutego, w czasie kiedy .biała czapa śniegu powinna kryć ziemię, a rzeki, stawy i jeziora dźwięczeć twardym lodem pod łyżwami. Wprawdzie nie ma ani szczypty śniegu i ani kawałeczka lodu, ale nie jest wykluczone, że pierwszego dnia ferii za oknerri roztoczy się mroźna biel. Tymczasem pada z uporem maniaka, siąpi, leje, mży, ciurka, trawniki przed blokami rozmakają w grząskie topiele, biały pies nieustannie biegający po osiedlu przestał być biały, przemienił się w zabłocone, oklejone błotem straszydło.

Przed feriami _musi być wywiadówka i rzeczywiście jest. Na wywiadówkę jak zawsze idzie mama.

— No i co z Madzią?

— W porządku. Czwarte miejsce w klasie. Stosunek do obowiązków szkolnych i zachowanie wzorowe. Żadnych poważniejszych zastrzeżeń.

— Hm — ojciec zastanawia się. — Masz na coś ochotę, Madziu? Jestem zdania, że należy ci się...

To także jest stały zwyczaj w naszym domu. Jeżeli stopnie są dobre, dostajemy nagrodę. Może być książka, kij hokejowy, rajstopy we wzorek, koszulka z Myszką Miki, torba z lotniczą nalepką. Wystarczy wymienić tę rzecz, którą chcesz mieć, żeby ją dostać. Ale ja wcale nie wiem, o co mogłabym poprosić... Jest wprawdzie coś, czego bardzo chcę, chociaż do tego swojego chcenia nie przyznaję się nawet przed sobą, ale jest to coś, czego nie mogę dostać w nagrodę za dobre stopnie.

— No, śmiało, Madziu...

— Ja powiem później — wycofuję się do swojego pokoju.

Co mnie znowu napadło? Jeszcze wczoraj byłam zdania, że nieobecność Wieśka jest czymś ze wszech miar cieszącym. Nie ma go i świetnie, nie myślałam o nim wcale. Ale wystarczyło tego jednego pytania, czego chcę, żebym nieoczekiwanie zrozumiała, jak bardzo chcę go zobaczyć.

Mam takie dziwne wrażenie, że albo on nie powiedział mi czegoś ważnego, albo ja nie powiedziałam mu czegoś ważnego. Wszystkie nasze rozmowy były nie dokończone, czegoś w nich brakowało.

„Czy ci nie wszystko jedno?" — pytam siebie, chociaż wiem doskonale, że wcale nie jest mi wszystko jedno.

Nie mogę prosić ojca, żeby mi zorganizował spotkanie z Wieśkiem, nikogo nie mogę o to prosić, ale mogę dopomóc losowi. Podczas ferii jest dużo wolnego czasu, spróbuję pozgadywać, gdzie mogłabym go spotkać. Może w kinie? Może w czytelni? Może w osiedlowym domu kultury? W klubie?

— On wyjechał.

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, o kim mówi Agnieszka.

— Kto wyjechał?

— On.

Z bliżej nie wyjaśnionych powodów czuję głuchą urazę, nie powinien wyjeżdżać wtedy, kiedy chcę z nim porozmawiać. Jak wróci, może nie będę już wcale chciała.

— Odniósł mi książkę — wyjaśnia Agnieszka. — Mówił, że jedzie na obóz do Bierutowic. Obiecał, że przyśle kartkę.

Agnieszka uśmiecha się do tej kartki, której jeszcze nie ma, ale którą Wiesiek na pewno przyśle.

— Nic więcej nie mówił? — pytam.

— Mówił, dosyć długo rozmawialiśmy.

— O czym?

(Jeżeli nie ma Wieśka, spróbuję chociaż od Agnieszki dowiedzieć się czegoś bardziej wymiernego niż moje domysły.)

— O różnych rzeczach. Jego pies, Kajtek, uciekł i przez dwa dni go nie było, ale sam wrócił, tylko strasznie pogryziony.

W lutym w ich bloku będą wymieniać rury. I jeszcze się pytał, dlaczego nigdzie nie jadę.

— I nic więcej?

(Wydaje mi się, że wśród nieważnych słów mogło zostać wypowiedziane to najważniejsze, które chciałam poznać.)

— Nie, chyba nic więcej. Nie pamiętam.

— Na pewno nie?

Agnieszka podnosi na mnie udręczone spojrzenie i odpowiada cicho:

— No, mówił.

— Co? — pytam bez tchu.

— Moja rzecz.

Po tym niechętnym, a nawet wrogim wyznaniu Agnieszka odwraca się ode mnie. słyszę bezradne chlip- nięcie, jedno i drugie.

— Agniecha! Paproch! — jestem przy niej, obejmuję jej plecy, pocieszam. — Agniecha, nie płacz. Nie warto przez niego płakać. — Skądś wiem, że Agnieszka płacze przez Wieśka, i czuję się winna temu płaczowi, bo przecież ja zaczęłam to głupie i niepotrzebne śledztwo.

— Ty tego nie rozumiesz — chlipie Agnieszka.

Z bezładnego, przerywanego łzami tekstu dowiaduję się, że Wiesiek zapowiedział: nie będzie dalszych spotkań, bo wszyscy mówią, że oni; on i Agnieszka, chodzą ze sobą, a to nie jest prawda, o czym Agnieszka wie bardzo dobrze. Rozmawiali o różnych rzeczach, tańczyli na zabawie, byli na prywatce u Magdy (u Magdy, czyli u mnie!), ale to nie było żadne chodzenie i żadnego prawdziwego chodzenia nie będzie.

— On jeszcze mówił, że mu przykro, bo ja jestem smutna, ale nic na to nie może poradzić, a jakbym chciała, żeby mi pomógł w lekcjach, to zawsze pomoże. I prosił, żebym nie płakała, bo to nie ma sensu i niczego nie zmieni, a on nie miał pojęcia, że ja myślałam, że to prawdziwe chodzenie, i bardzo mnie przeprasza - kończy relację Agnieszka i dodaje: — Wszystko przez Beatę.

Możliwe, że przez Beatę. Po co zaprosiłam tę obrzydliwą

zołzę do siebie?

— W oczy jej powiem, że jest fałszywa! — gorączkuje się Agnieszka. — Ona myśli, że jej wszystko wolno, lata za chłopakami, a w szkole trójki od góry do dołu. Spytaj Hankę, to ci opowie o tej twojej Beacie takie rzeczy, że się zdziwisz...

Nie bardzo rozumiem, dlaczego Beata ma być akurat moja, ale nie protestuję.

— Ona się przyczepiła do Wieśka, jak tylko przyszliśmy, bo ona chce, żeby każdy chłopiec z nią chodził.

Mówi jeszcze o Beacie dużo złych rzeczy, a ja nie przerywam, jakaś racja w tym jest, chociaż Agnieszka oskarża Beatę o czyny nieprawdopodobne, brzmiące jak zgrzytanie paznokciem po szkle. Podobno Beata wyciąga swojej matce z torebki pieniądze, podobno chodzi do kawiarni „Różyczka" i przesiaduje tam w towarzystwie podejrzanych typów, podobno pali papierosy, podobno, podobno, podobno... Od tych rewelacji kręci mi się w głowie.

— Może to nieprawda — szepczę.

— Ale ty jesteś dziecinna — karci mnie Agnieszka, której na szczęście łzy już obeschły. — Nic nie widzisz.

Może to i lepiej, że nie widzę. Zaraz, zaraz, coś takiego powiedział Wiesiek, kiedy rozmawiał z moim bratem. *Ze* dobrze jest nie wiedzieć wszystkiego do końca o sobie i o innych, bo wtedy można wierzyć, że i ty sam, i inni jesteście lepsi, niż się wydaje, zdolni do wielkich czynów i niezawodni w godzinie próby. Przynajmniej tak to wtedy zrozumiałam. A teraz okazuje się, że myślę podobnie jak Wiesiek. Jestem zaskoczona swoim odkryciem, chociaż właściwie nie ma nic osobliwego w tym, że doszłam do takiego samego wniosku jak ktoś inny. Jeżeli dodaję dwa do dwóch i wychodzi mi cztery, nie mam prawa się dziwić, że komuś innemu z działania: dwa dodać dwa — także wyszło cztery. Inna sprawa, gdyby mu wyszło siedem albo na przykład dwieście osiemdziesiąt osiem.

— Czemu nic nie mówisz, Magda?

— Myślę — odpowiadam uczciwie.
— O czym myślisz?
— O niczym ważnym wykręcam się.
Jeszcze niedawno Agnieszka nie mogłaby przyjąć takiej odpowiedzi za dobrą monetę. Albo by wiedziała, o czym myślę, albo by się zaraz domyśliła, że nie powiedziałam prawdy. A teraz mogę skłamać i Agnieszka nie wie wcale, czy skłamałam, czy nie.
Nie są to udane ferie, chociaż obejrzałam wszystkie poranne programy w telewizji, obiegłam kina z filmami bo, przeczytałam dwie książki, jedną fajną, drugą taką sobie, nagadałam się z Agnieszką (głównym tematem była Beata). Przez cały czas uparcie i monotonnie padał deszcz, wbrew tezie, że przełom stycznia i lutego cechują rześkie mrozy i obfite opady śniegu.
Do końca ferii zostały jeszcze dwa dni. W zadesz- czony poranek, gdy umilkł telewizor, otworzyły się drzwi pokoju Jurka i padło pytanie:
— Masz czas?
Kiedy odpowiedziałam twierdząco, brat zadysponował:
— Trochę treningu umysłowego. Zagrasz w szachy.
Granie w szachy jest ostatnią rzeczą na świecie, która by mnie pasjonowała. Nie rozumiem sprzeczek ojca i Jurka nad rozłożoną szachownicą — gdyby cofnąć ruch koniem, a zaatakować pionem spod królowej, gdyby wieża nie stanęła tu, tylko tam, gdyby ofiarować gońca... Tak to mniej więcej brzmi, o ile dobrze zapamiętałam. Propozycja, żebym ni z tego, ni z owego stała się mistrzem szachownicy, była równie zaskakująca jak na przykład propozycja wspólnej wspinaczki na szczyt Mount Everest czy wspólnego skomponowania utworu na harfę i organy elektronowe.
— Ja mam zagrać?
— Ty. Nikogo innego nie ma, a ja muszę zrobić coś inteligentnego, bo zacznę wyć albo przemienię się w Pestalozziego i zacznę cię wychowywać.
— W kogo się przemienisz?
— Taki tam szwajcarski pedagog, nieważne. Wolisz grać

białymi czy czarnymi?

Nad rozłożonym kwadratem o białych i czarnych polach Jurek krótko wyłożył mi reguły gry.

— Chodzi o to, żeby zabić króla. Koń skacze tak, czarny goniec skosem po czarnych, biały po białych. Wieża w linii prostej, królowa bije tak jak wieża i tak jak goniec. Już wszystko wiesz, zaczynamy, bo szkoda czasu.

Więc graliśmy w te szachy, to znaczy Jurek grał zapowiadając, że da mi mata w piętnastu posunięciach,- w dwunastu, w dziesięciu i spełniał swoje obietnice przedterminowo. Widocznie nie mam zadatków na Roberta Fischera czy na kogoś podobnego.

— Magdzioł. na litość boską, zacznij chociaż trochę myśleć. Nie odsłaniaj króla. Czym masz zamiar go bronić?

— Nie bij piona, bo stracisz wieżę.

— Magda, z tobą nie można grać.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi, Jurek, raz jeszcze wyraziwszy dezaprobatę dla mojej gry, poszedł otworzyć, a ja zostałam nad szachownicą z rozstawionymi figurami.

— Jest, jest — odpowiedział Jurek na nie dosłyszane przeze mnie pytanie, potem z nadzieją: — W szachy grasz?

— Gram — odpowiedział głos Wieśka. — Ale słabo.

— Słabiej niż Magda grać nie można — uspokoił Jurek. — Zagramy sobie ze dwa razy, jeżeli możesz.

Głucho, nierówno biło mi serce, kiedy Wiesiek rzucił w moją stronę „cześć". Nie spodziewałam się, że go zobaczę przed końcem ferii, wcale nie myślałam, że mógłby przyjść do naszego domu, przyjść do mnie. I chyba z tego powodu moje serce tak waliło, aż się bałam, że oni mogą także usłyszeć ten stuk.

— Udały się ferie?

Zauważyłam, że nie powiedział „mała" i nie wymienił mojego imienia.

— Udały się. Jak było na obozie?

— Dobrze. Tylko ze śniegiem krucho.

Wymieniliśmy jeszcze kilka zdań, uważając, żeby brzmiały

jak najbardziej nijako. To były dopiero prawdziwe zdania bezosobowe, o wiele prawdziwsze niż te, o których wspominała nasza polonistka. My oboje starannie unikaliśmy imion własnych i zaimków: twoje, ciebie, tobie i tak dalej.

Po szachownicy przesuwały się piony, gońce, wieże i konie, Wiesiek grał zupełnie inaczej niż ja, ujmował szachową figurę w palce, lustrował pole i potem dopiero, z rozwagą, wybierał dla niej nową pozycję, ja to robiłam bez namysłu, szast, prast, i gotowe.

— Wcale nieźle kombinujesz — powiedział Jurek. To była prawdziwa pochwała.

— E, nie bardzo. Mam wujka, który twierdzi, że gram jak niedźwiedź przyuczony przez utalentowanego tresera.

Rozgrywka ciągnęła się w nieskończoność, grali tak, jakby od wygranej albo przegranej zależały losy wszechświata. Siedziałam i wpatrywałam się bez zrozumienia w toczącą się na szachownicy batalię. W głowie miałam zamęt, chaos i galopujące myśli.

— Musisz być niezły z matematyki.

— Średni, ale szybko chwytam.

— Nie twierdzę, że jesteś nowym Einsteinem, ale jakaś smykałka logiczna jest. Chodzisz do klasy Magdy?

Na to pytanie Wiesiek pobladł (mój brat nie miał nawet pojęcia, jak ciężko go obraził) i odpowiedział sztywnym, drewnianym głosem:

— Chodzę do liceum.

— Popatrz, a ja myślałem, że jesteś jeszcze w podstawówce. Zdaje się, że popełniłem gafę, możesz mnie wyzwać na pojedynek, jeżeli czujesz się obrażony. Pojedynkuję się wyłącznie na parasole, i to w dodatku czarne, z plastykową rączką, innych nie uznaję.

Skończyła się taśma sącząca muzykę, więc poszłam ją zmienić. Dopiero tam, w drugim pokoju, zapytałam samą siebie, dlaczego przyszedł. To niemożliwe, aby wiedział, że o nim myślałam. Zupełnie niemożliwe.

O Boże, jak ja będę z nim rozmawiała, kiedy zostaniemy

sami! A może chce tylko pożyczyć książkę albo poprosić, żebym wywołała Beatę. Beata już wróciła z Bukowiny. Nie, nie pójdę, ze względu na Agnieszkę i... Niech on sam do niej idzie. I w ogóle niech sobie idzie, bo ja nie umiem mu powiedzieć nic do sensu, chociaż bardzo tego chcę. Wszystko, co mogłabym wydusić z siebie, wydaje mi się śmieszne i niemądre. Nie wrócę do nich, zostanę tutaj, może Wiesiek po prostu odejdzie.

— Magda, jesteś jeszcze czy już byłaś łaskawa się zdematerializować? — woła Jurek.

— Jestem.

— To pięknie.

Dwa głosy, wysoki i niski, wymieniają między sobą słowo „honey" (brzmi jak „hani, hani"), wiem, to znaczy coś takiego jak polskie „kochanie". Hani, hani... Żeby śpiewali o czymś innym,może udałoby mi się spokojnie zastanowić.

— Masz jakieś plany po ukończeniu edukacji na poziomie szkoły średniej?

— Myślę o biologii. Chciałbym brać udział w olimpiadzie.

— Ale nie jesteś pewien na sto procent?

— Na sto nie jestem. — Teraz ciszej: — W zeszłym roku marzyłem, żeby zostać kolarzem, szosowcem.

— Tyz piknie. Zapisałeś się do klubu?

— Nie, ale chciałem się zapisać.

— Dobrymi chęciami brukują piekło. Wydaje się, że piekło musi być obszarem o najsolidniejszej powierzchni dróg bitych we wszechświecie.

— Szach królowi.

— Biję. Szach królowi. Co teraz powiesz?

— Że przegrałem drugi raz.

Zagrzechotały zsypywane do pudełka szachy. ,

— Magdzioł, opuść moją pustelnię. Wracam do pogłębiania wiedzy.

Nie było rady, musiałam wyjść.

— Jest jakaś sprawa? — zapytałam w taki sam bezosobowy sposób jak poprzednio, zresztą zapytałam w marszu, aby zaznaczyć, że nie mam czasu i mogę ewentualnie zamienić z

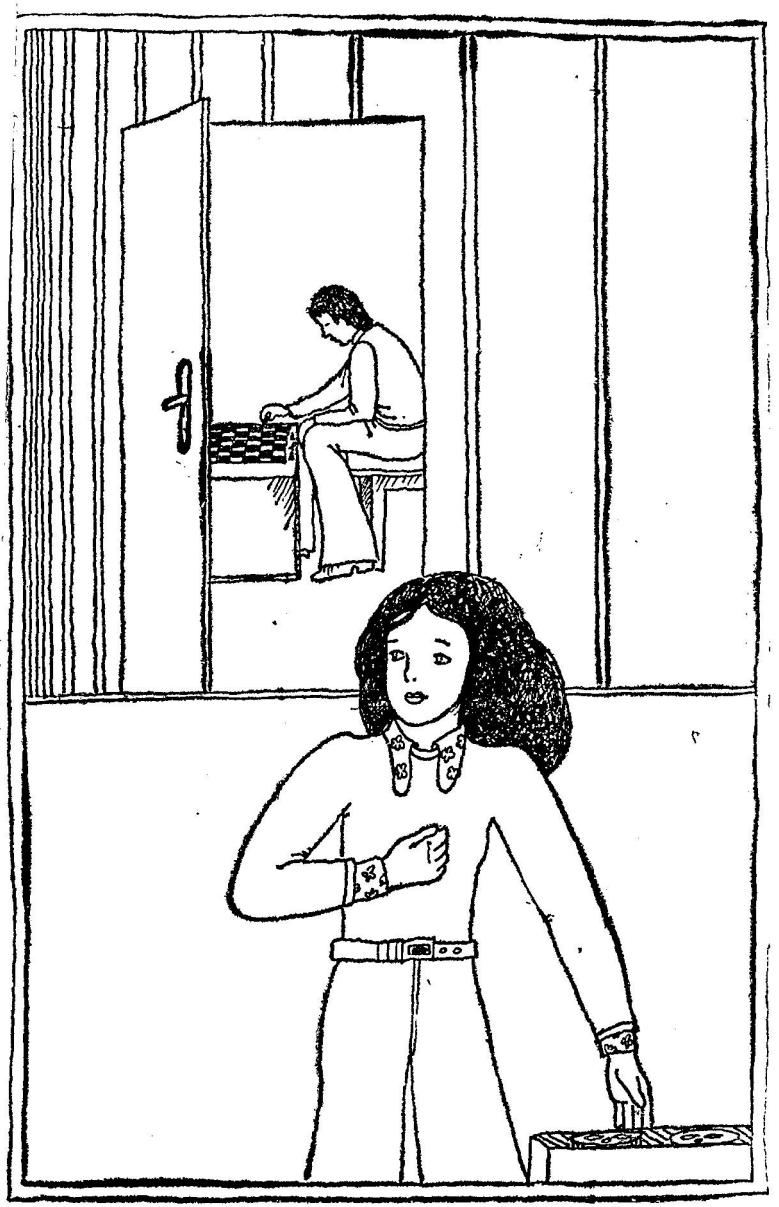

Wieśkiem tylko kilka zdań w przedpokoju, pod drzwiami.

Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób znaleźliśmy się w kuchence, zdaje się, że weszłam tam i niepotrzebnie zapaliłam gaz, a może odkręciłam wodę. W każdym razie staliśmy wklinowani między zlewozmywak i wąziutki blat opuszczonego stołu.

— Czego? — Nie było to zbyt uprzejme, ale tak właśnie brzmiało pytanie, które zadałam.

— Niczego. Wyglądasz, mała, jak ośmiornica w bojowej formie.

— Wszystko jedno, jak wyglądam. Nie jestem mała,

— W porządku, nie jesteś.

Sięgnął po łyżeczkę i zaczął przesypywać miałkie kryształki w cukierniczce. Nabierał, wysypywał, nabierał, wysypywał, po prostu idiotyzm.

— Mógłbyś wpaść do Agnieszki, jak wróciłeś — odezwałam się wrogo.

— Mógłbym, ale nie wpadnę.

— To mógłbyś zatelefonować do Beaty.

— Mógłbym.

— No, to zatelefonuj. Pożyczę ci złotówkę.

— Dziękuję, tym razem mam.

— To się pośpiesz.

— Nie pośpieszę się.

Kopiasta porcja cukru na łyżeczkę, białe drobiny obsypują się bokami, teraz przechylenie, wysypanie nabranego ładunku na mały kurhanek, następna porcja na łyżeczkę, i tak dalej, i tak dalej...

— Zostaw cukier w spokoju.

Spojrzał nierozumiejącymi oczami na trzymaną w palcach łyżeczkę i delikatnie, bez stuku, położył ją na samym środku stołu.

— Mała, czemu mnie nie lubisz?

— Za co miałabym cię lubić? — odpowiedziałam tak gładko i pospiesznie, jakbym nie tylko znała z góry to pytanie, ale i swoją odpowiedź.

— Bo tak — wytłumaczył niejasno.

— Za Agnieszkę mam cię lubić? Za to, co jej powiedziałeś! Za Beatę? Za tamten telefon? Za wygłupianie?

Nawet nie czułam żadnego skrępowania, wszystko, co mówiłam, wypowiadało się niejako poza mną, bez żadnego wysiłku, jak dobrze wyuczona rola.

— Ja się nie wygłupiałem.

— Aha, akurat wierzę.

— Nie wygłupiałem się — powtórzył z uporem. — Raz się tylko wygłupiłem, wtedy, z telefonem.

— Akurat!

— Możesz nie wierzyć, ale to prawda.

Wziął łyżeczkę i zaczął nią postukiwać w blat stołu, to było jeszcze bardziej denerwujące niż przesypywanie cukru, puk, puk, puk, i znowu: puk, puk, puk.

— Dlaczego zgodziłaś się zatelefonować? No, wtedy...

— Przepadam za akcjami społecznie użytecznymi, a tamtego dnia jeszcze żadnej nie zaliczyłam.

— Chciałem ci oddać złotówkę, naprawdę, tylko się nie złożyło.

— Z natury mam gest. Odżałowałam poniesiony wydatek.

— Ojej, spróbuj zrozumieć. Wcale nie chodzi o złotówkę. Ja nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

— I nie musisz.

— Właśnie, że muszę.

Puk, puk, puk, kiedyś dzięcioł tak równo i monotonnie pukał w pień drzewa, pod którym usiadłam, z góry obsypywały się drobiny rudej kory.

— Przestań pukać.

— Dobrze.

— Chcesz, pójdziemy do Agnieszki. Ona się ucieszy.

— To nie moja wina, że...

Nie dokończył, pochylił nisko głowę, jakby nagle na podłodze zobaczył coś niezmiernie interesującego.

— Dlaczego zawszy mówisz do mnie bez sensu? — wybuchnęłam.

To właśnie było pytanie, które nosiłam w sobie przez te wszystkie dni, ale kiedy je wykrzyczałam, nie było wcale

żadnym pytaniem, tylko samą złością.

— Bo nie umiem... — znowu nie dokończył.

Wydawało mi się przez moment, że coś wreszcie rozumiem, ale było to rozumienie tak krótkie, jak drgnięcie powiek.

— Bo jakby się tak głupio nie zaczęło — podniósł głowę i spojrzał nie tyle na mnie, ile na lodówkę — to...

— Co się zaczęło?

— Ja ci właśnie tłumaczę.

— A ja nic nie rozumiem.

— No, to już pójdę — cofnął się tyłem ku drzwiom.

— Przepraszam...

— Przepraszaj Agnieszkę, mnie nie musisz.

Zakończywszy tym mściwym akcentem rozmowę,

zamknęłam za Wieśkiem drzwi i, prostując się niczym żołnierz na defiladzie, pomaszerowałam do swojego pokoju. Byłam mimo wszystko zadowolona z tej rozmowy, znowu spokojna i wyzbyta owej niemądrej chęci widzenia Wieśka i porozmawiania z Wieśkiem. Jurek ma rację, Wiesiek jest taki do tyłu, i to jest cały sekret.

— Magdzioł, pośredniczysz między zakochaną parą?

— Uhum — wyjaśniłam bratu.

— Śmieszna chłopaczyna.

— Kto?

— No, on. W szachy gra rzeczywiście niezgorzej. Mogłabyś z nim potrenować na wypadek, gdybym potrzebował rezerwowego partnera.

Urwaliśmy, Jurek wrócił do magnetofonu i skryptów, a ja zamknęłam drzwi na znak, że także zabieram się do poważnych działań, które wymagają skupienia.

Ale zamiast zabrać się do czegoś sensownego (łata na łokciu swetra, przeczytanie rozdziału z podręcznika historii, porządki w szufladzie, gdzie podług określenia mamy brakowało tylko dziada z babą, napisanie listu do cioci, która na moje urodziny przysłała, nie wiadomo czemu, bitą kaczkę, w starannie osznurowanym pudle), zamiast zabrać się do którejś z tych ważnych i od dawna oczekujących mnie

prac, skuliłam się przy oknie.

Jeżeli istnieją dobre wróżki, to jedna z tych dobrych wróżek wysłuchała mojej niemej prośby i zesłała Wieśka, żebym mogła...

Tak, tak, już wiem. Kiedy go widzę — albo go nie lubię, albo jestem na niego za, albo on mnie nic nie obchodzi. Kiedy go nie widzę — zaczynam zupełnie niepostrzeżenie zastanawiać się nad tym, co chciał powiedzieć, wyobrażam sobie Bóg wie co i chciałabym się znowu z nim spotkać. Jak już go spotkam, to się dowiaduję, że znowu jestem na niego zła. Nie może być tak dalej. Zgoda, pewnie nie jestem specjalnie mądra, ale z drugiej strony >— nigdy dotąd nie zachowywałam się tak dziwnie. Jedne osoby lubiłam bardzo, lubiłam je za wszystko, nawet za to, że pisały jak kura pazurem albo żuły balonową gumę wypuszczając ogromne bąble między wargami. Innych nie lubiłam i nie zamierzałam polubić, mimo że miały niewątpliwe zalety. To wszystko zaczęło się od tamtej zabawy, przestałam siebie, rozumieć, skomplikowało się moje lubienie i nie- lubienie... O, chociażby z Agnieszką, niby ją lubię, ale to nie jest już to samo lubienie, co dawniej.

Gdybym wiedziała, jak można określić siebie. Czy ja jestem taka dziwna, czy sprawa jest przeciętna, zna ją każdy i każdy na swój sposób coś takiego przeżywa?

A co ja właściwie przeżywam nadzwyczajnego? Nic, zupełnie nic. Może — zgodnie z wielokrotnie powtarzanym twierdzeniem ojca — rzeczywiście mam za dużo czasu i zajmuję się rozdzielaniem włosa na czworo? Na szczęście, tylko jeszcze dziś i jutro, potem zacznie się szkoła, koniec roku też nie za górami, nie będę miała czasu na takie różne. Dobrze, że nie będę miała czasu.

Najnieoczekiwaniej gdzieś, w zakamarkach pamięci, odzywa się głos Agnieszki: „pytał, jak masz na imię", „miałam was zapoznać"... Czy to znaczy, że...

— Madziu, masz jakieś zmartwienie?

Mam, ale nie mogę o tym rozmawiać z mamą. Jak to się stało, że nie zrozumiałam od razu? Jak się stało, że dopiero

teraz coś mi zaczyna świtać...

Czerwony mak, prośba o przebaczenie, czy zrozumiałabym lepiej, gdyby wręczył mi doniczkę z filodendronem lub palmą, typu kokosowa? Jabłko, właśnie takie olbrzymie i rumiane, przecież on sam wybrał je dla mnie, specjalne jabłko, nie pierwsze lepsze z brzegu.

I to, że milczał. I to, że przyszedł. I to, że chciał powiedzieć... Ja już wiem! Już wszystko wiem.

— Madziu, co się z tobą dzieje? Trzeci raz wycierasz ten sam talerz! Madziu, czy ty w ogóle słyszysz, że ja do ciebie mówię?

Z bezradnie opuszczonymi rękami mama patrzy na mnie, usiłując zrozumieć, co mnie tak odmieniło.

— Zauważyłam, że ostatnio rzadziej widujesz się z koleżankami. Odnoszę wrażenie, że twoja przyjaźń z Agnieszką należy do przeszłości. Jesteś zamknięta w sobie, milcząca, wyglądasz tak, jakbyś się czymś martwiła.

— Madziu, czy do ciebie dotarło?

— Magdzioł, budzę cię w kolorze różowym.

— Dziewczyno, czemu smarujesz śledzia miodem?

— Madziu, dlaczego nie odpowiadasz ojcu?

— Trzeba ją chyba zaprowadzić do lekarza, to nie jest normalne takie zachowanie.

Głosy, głosy, głosy.

A ja żyję w świecie, którego nie ma, wersalka kryta zielonym rypsem zamienia się, kiedy na nią patrzę, w łąkę, firanki w mgłę, reklama przed sklepem nabiałowym w najprawdziwszą gwiazdę, doniczka z kaktusem w bukiet orchidei, chodzę po tym wymyślonym świecie i jestem szczęśliwa. Mnie także można lubić, można o mnie myśleć, można do mnie tęsknić, mogę być dla kogoś najważniejszą, tak jest naprawdę, ja się tego domyślam.

Nawet na moment nie przychodzi mi do głowy, że powinnam się teraz spotkać z Wieśkiem, pochłania mnie to całkiem nowe uczucie szczęścia. W głębokiej tajemnicy przed wszystkimi studiuję swoją twarz w lustrze. Mam dosyć ładne oczy, trochę szare, trochę zielone, ciemne brwi,

policzki o nieco wystających kościach, gładkie i jeszcze odrobinę opalone. Może ja wcale nie jestem taka brzydka, jak przypuszczałam? Nie mogę być brzydka, jeżeli się komuś podobam.

Z tym wszystkim — poruszam się wśród znanych przedmiotów, nawet coś mówię, coś jem. Ale mam cały czas takie uczucie, jakby mnie wcale nie było albo jakbym właściwie była gdzie indziej, niewiele z tego, co się rozgrywa obok, przyjmuję do wiadomości.

— Księżniczka wampir, czyli zahipnotyzowana makolągwa. Magda, mogłabyś się wreszcie obudzić?! Śpisz na stojąco.

Słowa Jurka przechodzą mimo mnie, nie reaguję, nie odpowiadam, bo po co?

— Zaraz sprawdzę, kiedy występuje mutyzm[2]. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy odnaleźć poprzednią elokwencję, nim ustalę naukowe fakty.

Może Jurek rzeczywiście sprawdza, kiedy występuje mutyzm, a może wcale nie sprawdza, tymczasem mijają dwa dni przeżyte w różowej mgle i trzeba wracać do szkoły. Wolałabym pobyć jeszcze w cudownym świecie wyczarowanym nagle nie wiadomo skąd, oswoić się z nowymi uczuciami, ale szkoła jest szkołą i nie istnieją żadne realne przesłanki, by można było ją zlekceważyć.

— Dlaczego nie przychodziłaś?

— Byłam przeziębiona — wyjaśniam Agnieszce moją nieobecność w ciągu ostatnich dwóch dni. Czuję wobec niej obcość, skrępowanie i coś podobnego do wstydu. Ale nie tylko, bo mam równocześnie wielką potrzebę zwierzeń, chciałabym się podzielić z nią tym, co czuję i myślę.

Przepływa obok nas Beata ustrojona w sweterek zahaftowany kwiatami, opalona-i zwycięsko uśmiechnięta,

— Poznałam jednego chłopca z Rybnika — wyciąga zdjęcie. — Fantastycznie jeździł na nartach. Z drugiej technikum mechanicznego.

Pod oknem Marek wciska głowę w ramiona, jak on musi

2 Mutyzm — zaburzenie nerwowe objawiające się częściowym lub całkowitym zanikiem mowy.

nienawidzić chłopców z liceum, chłopców, z technikum, chłopców, którzy jeżdżą fantastycznie na nartach, chłopców, którzy mają wyścigowe rowery. Musi ich nienawidzić, tak jak ja nienawidzę Beaty. Nie: „nie lubię", lecz „nienawidzę", strasznie duże słowo, ale prawdziwe.

— Stara, chyba kij połknęłaś. — Beata chowa zdjęcie, dziwiąc się mojemu brakowi zainteresowania. — Jak cię bolą zęby, idź do dentysty. Strasznie się wykrzywiasz.

— Nic mnie nie boli — odpowiadam z takim gniewem, że przerażona Beata cofa się. — A ty nie wsadzaj nosa w moje sprawy.

— Dobrze jej powiedziałaś! — cieszy się Agnieszka, przekonana, że staram się pomścić jej krzywdę. Gdyby wiedziała, dlaczego nie mogę znieść widoku Beaty...

— Patrz — wygrzebała pocztówkę ze świerkami i schroniskiem. — Wiesiek mi przysłał.

Odwracam kartkę. *Pozdrowienia z zimowiska,* tylko tyle, nic więcej.

Nim jeszcze zadźwięczał dzwonek, Agnieszka oświadcza, że umówiła się na jutro z Wojtkiem, jeszcze nie wie, czy pójdą do kina, czy do Muzeum Wojska (Wojtek chodzi do Muzeum Wojska dwa razy w tygodniu i rysuje broń, mundury, ordery — takie hobby). Ale nawet w tej nowej sytuacji nie darowuje ani Beacie, ani Wieśkowi, jej nie zależy na Wojtku, no, może trochę, odrobinę, jeszcze nie wie, czy będzie z nim chodziła. Wiesiek jest podły, ale mogłaby się z nim pogodzić, gdyby ją przeprosił. Za to z Beatą nie pogodzi się przenigdy, za nic na świecie; gdyby jej nawet sama dyrektorka kazała, też się nie pogodzi.

Mimo tego gniewu na Beatę wydaje się, że ubiegające dni uspokoiły Agnieszkę, już jest prawie pogodzona z losem, już przygotowała sobie koło ratunkowe, Wojtka, już wspomnienie Wieśka zbladło, zamazało się.

I na to wszystko — żeby się zakochać, przeżyć dramat, odkochać — potrzeba jej było zaledwie sześciu tygodni, może nawet niepełnych, ja przecież nie wiem, którego dnia oni się poznali, Wiesiek i Agnieszka.

A ja?

Czas między zabawą a dniem dzisiejszym wydaje mi się nieogarniony jak morze, ale to jest te same pięć czy sześć tygodni i przez nie ja także zdążyłam się prawie zakochać, odkochać, obrazić na wszystkich, znienawidzić Beatę, zmienić przyjaźń dla Agnieszki w coś trudnego do określenia, znów przekształcić obojętność w tęsknotę (tak, w tęsknotę, to jest to), by wreszcie czuć, co czuję teraz.

Jestem odmieniona jakby za sprawą czarów, tak bywa tylko w bajkach, jedno dotknięcie czarodziejskiej różdżki i spada skóra szpetnej ropuchy, jedno zaklęcie — i wszystko staje się inne.

— Madziu, ty znowu nic nie zjadłaś.

— Wypraszam sobie grymasy przy stole — gniewa się ojciec. — Co się ostatnio dzieje z tą dziewczyną?

— Nic nie zjadła — powtarza mama.

Potem w kuchni kładzie mi rękę na ramieniu.

— Madziu...

Twarz mamy jest blisko, niewielka, blada, kosmyk włosów na czole.

— Bądź rozsądna. Madziu. Ojciec jest przemęczony, staraj się go nie wyprowadzać z równowagi.

Prośba o rozsądek ma jakiś taki akcent, rozumiem, że nie chodzi wcale o zupę, której nie zjadłam, ani o podziabany widelcem, nie tknięty kotlet.

— Ja pracuję, Madziu, nie mam czasu. Może powinnam więcej być z tobą, rozmawiać — mama bezradnie rozkłada ręce. — Może ci teraz jestem specjalnie potrzebna, może mogłabym ci niejedno wytłumaczyć. Czy chciałabyś mi coś powiedzieć?

Potrząsam głową.

— To taki dziwny wiek, Madziu — mama odwraca się ode mnie i pochyla nad zlewem — to taki wiek. Wszystko przeżywa się bardzo silnie i tak pospiesznie, że nie można nawet pomyśleć nad tym, co to jest. Ty jesteś rozsądna, Madziu. Uszy do góry. Czy to szczęśliwe, czy nieszczęśliwe, miłe czy bolesne — dasz sobie radę. A teraz powycieraj

naczynia.

Mama nie żąda odpowiedzi ani wyjaśnień, dzięki jej za to, nawet z nią nie potrafiłabym mówić o tym, co jest we mnie.

Kiedy zostaję sama, nagle zaczynam płakać, bez szlochu, łzy toczą się same po policzkach. Nie płaczę ze smutku, płaczę nie wiadomo czemu. Ocieram twarz mokrą ścierką, płaczę nie płacząc, smucę się bez smutku, i jest dobrze...

Na brzegu morza, na białych, wygładzonych uderzeniami fal głazach umierają fioletowe jeżowce, brązowe gronorosty, czerwone rozgwiazdy — pod prostymi strzałami słońca. Morze drzemie bez ruchu, gładkie, błękitne, nieogarnione.

Ludzie i zwierzęta śpią w tej godzinie dusznego skwaru, gdy słońce stoi najwyżej na wierzchołku nieba, po pniach sosen spływa ruda żywica, mały krab wędruje ubitym, przybrzeżnym żwirem, szukając czegoś własnego.

Spi także Tetyda. Zielone włosy spływają ku nieruchomej tafli morza, szczupła dłoń zwisa poza brzeg skały, bose stopy dotykają błękitnej fali, bowiem Tetyda nigdy nie odrywa się całkiem od toni, która ją zrodziła.

Niech sobie zarozumiała Amfitryta, małżonka Posejdona, zażywa przejażdżek w muszli ciągnionej przez delfiny, niech się otacza orszakiem okeanid i nereid, niech każe dąć w muszle trytonom, Tetyda zawsze samotnie przemierza rozległe morze, posłuszne fale niosą ją ku cichym zatokom, w podwodne pieczary, w ryczącą kipiel sztormowego przyboju. Jej własnością są wszystkie perły zatajone w muszlach, wszystkie krzewy korali, ryby wielkie i małe, swawolne delfiny i za-/ rośla puszystych gąbek. Tetyda przysiada czasem na rzeźbionym dziobie zatopionego statku, przesiewa przez palce klejnoty z dawno zmurszałych szkatuł, wokół falują liliowe anemonie i pełzają purpurowe rozgwiazdy, a rój drobnych'rybek tańczy nie kończący się taniec.

Tetyda lubi samotność, nikt nie wie, o czym rozmyśla, gdy

pozwala się kołysać falom, nikt nie wie, o czym nuci bez słów, nikt nie wie, czemu śmieje się cichutko, gdy wilgotny Notos rozbija fale mieniącą się tęczą.

Któregoś dnia — może to było o świcie, może o zmroku, a może w pełnym słonecznym blasku — młody Pe- leus zobaczył Tetydę. Łódź o trójkątnym żaglu cichutko niosła go wzdłuż wybrzeża, gdy gładka toń zmąciła się i wychynął z niej dziewczęcy kształt, morskie oczy spojrzały na młodzieńca, Tetyda krzyknęła gniewnie, krzyk powtórzyły czerwonodziobe mewy, jak spłoszona ryba rzuciła się w wodną otchłań, tylko szerokie kręgi zmąconego morza świadczyły, że nie była przywidzeniem.

Od tej chwili Peleus stracił spokój, uciekły od niego sen i śmiech. Na próżno czatował na białych skałach nieruchomy jak milczące głazy, na darmo kładł się w łodzi i dawał nieść wiatrowi, bezskutecznie zamykał gęstą siecią wejścia do spokojnych zatoczek. Tetyda zniknęła, rybacy przecząco kręcili głowami. — Nie odwiedza naszych brzegów, książę. Powiadasz, że widziałeś ją z bliska. Niechybnie ją obraziłeś, a rozmyślając o niej, obrażasz ją po stokroć więcej.

— Synu Ajakosa, źle wybrałeś sobie ukochaną. Wiedz, że patrzyłeś w oczy Tetydy, która odrzuciła zaloty samego Zeusa i wzgardziła ziemiotrzęścą Posejdonem.

— Jeśli jej nie odnajdę, umrę.

— A więc umrzesz, synu Ajakosa, gdyż prędzej człowiek chwyci w garść powiew wiatru, łatwiej ściągnie na ziemię ognisty rydwan Heliosa, niż zdobędzie serce Tetydy.

To były mądre przestrogi, lecz Peleus nie słuchał ich wcale, każdego ranka zrywał się na nogi, z myślą, że dzisiaj ujrzy choćby z daleka zielonowłosą córkę morza.

— Cień z ciebie tylko został — zwinąwszy pasmo brody stary Chejron, przyjaciel nieśmiertelnych i śmiertelnych, obejrzał z troską młodego księcia. — Nie wyglądasz na szczęśliwego, chłopcze. Jak znam was, ludzi, pewnie się zakochałeś.

— Odgadłeś, Chejronie.

— W kim się zakochałeś, Peleusie?

— Ona nazywa się Tetyda.

— Tetyda, Tetyda? Słyszałem wiele o niej. Jej przybraną matką jest sama Hera, bo ona nie ma rodziców, zrodziła się z morza i morze ją wykołysało niby najczulsza piastunka. Ma serce zimne jak najgłębsza otchłań wód, serce, które nie zabiło nigdy dla nikogo. Zapomnij o niej, Peleusie, a im prędzej zapomnisz, tym lepiej dla ciebie.

— Nie zapomnę. Ty, Chejronie, który znasz wszystkie tajemnice nieba i ziemi, powiedz, czy istnieje sposób, żeby uczynić Tetydę skłonną do wysłuchania moich słów?

— Hm, nigdy nie słyszałem o takim sposobie. Wszelako, jeśli nie boisz się postradać życia, spróbuj ją zaskoczyć niespodziewanie, nie pozwól jej uciec, może ci zezwoli przemówić. Ale bezpieczniej, chłopcze, byłoby zejść za letejskie wody lub skoczyć w krater wulkanu. — Tu Chejron spojrzał w twarz syna Ajakosa i dokończył: — Zresztą nie usłuchasz żadnej rady, nawet najmądrzejszej, widzę to aż za dobrze.

Znowu Peleus wędrował bez końca po skałach, czatował przy pieczarach, do których wdziera się morze, lecz tylko wiatr wyśmiewał się z niego i tylko woda szemrała gniewnie, kiedy spychał na nią wąską łódź.

Może nigdy nie odnalazłby Tetydy, gdyby nie jego krewna, nereida Psamate, która przybrawszy na siebie foczy kształt wynurzyła wąską głowę przy burcie jego łodzi.

— Czego lub kogo szukasz tak wytrwale dniem i nocą, w morzu i na brzegu? Co zgubiłeś, Peleusie, mój krewniaku?

— Zgubiłem serce, Psamate.

— Zabrała ci je Galatea, Skylla czy Kyrene? Okea- nida czy nereida? Znam je wszystkie, nazwij ją, proszę, a sprawię, że wnet ujrzysz swoją umiłowaną.

— Oddałem serce Tetydzie.

Rozpękła się focza skóra i Psamate ukazała się w zwykłym kształcie.

— To bardzo poważna sprawa, Peleusie — chwyciła burtę jego łodzi, a w tej samej chwili spokojne morze wzdęło się garbami fal. — Ostrzegam cię, krewniaku.

— Psamate, pomóż mi.

— Ostrzegam cię. Gdy teraz odpłynę, rozpęta się burza. Jeżeli zginiesz, trudno, sam tego chciałeś. Jeżeli nie zginiesz, fale poniosą cię w ciasny przesmyk, między dwie skały, do zatoki o nieruchomej wodzie. Tam ujrzysz Tetydę.

Znowu przybrała foczy kształt

— Ale jeszcze jest czas, Peleusie. Wiosłuj, co sił, do brzegu, ratuj się i porzuć złudzenia. Tetyda nie zezwoli, byś pozostał między żywymi, gdy z umysłu zakłócisz jej spoczynek. Lub powiedz, żebym nie odpływała, wtedy wiatr ucichnie, morze się wygładzi, a ty bezpiecznie powrócisz do swego domu.

Peleus bez słowa odrzucił wiosła daleko na grzbiety fal. Nad Psamate zamknęła się toń, z góry uderzył potężnym tchnieniem wicher, ryknęły wody.

Oślepiony słonymi bryzgami, wczepiony w burtę, ogłuszony wichrem i gniewnym morzem Peleus raz wzlatywał ku niebu na grzbietach grzywaczy, raz zapadał się w głąb wodnej otchłani. Suchy trzask, łódź trafiła na podwodną skałę, nieprzytomnym, bezwładnym morze cisnęło o głazy, porwało z powrotem, by rzucić raz jeszcze, w swych podwodnych norach ostro- zębe mureny wysunęły płaskie łby, węsząc bliską ucztę.

Lecz morze poskąpiło żeru wężokształtnym drapieżcom, w szumie i jęku, pianach i bryzgach poniosło daleko ciało o rozrzuconych bezsilnie ramionach, miłosiernie zakryło ciemnymi falami, łagodnie przeniosło przez wąski przesmyk i złożyło na brzegu zatoczki o nieruchomej wodzie, pod obsypanym białymi kwiatami krzakiem mirtu.

Nie dalej niż na wyciągnięcie ręki spoczywała uśpiona Tetyda, a spała tak mocno, że ryk burzy za przybrzeżnymi skałami nie mącił wcale jej snów.

Gdy Peleus rozlepił powieki opuchnięte od morskiej soli, zobaczył ją obok siebie. Zagryzając wargi, obolały i pokaleczony, uniósł się i chwycił śpiącą za ramiona.

Nim zdążył wypowiedzieć choć jedno słowo, poczuł, że przez palce przeciekła mu struga lśniącej wody, Tetyda zniknęła, ale on dalej krzepko zaciskał dłonie na nie

istniejącej. Czerwony płomień osmalił mu włosy i pozostawił krwawy ślad swego dotknięcia, ale Peleus nie rozluźnił chwytu, płomień dopalił się i w rękach , młodzieńca zwinął się giętki wąż.

Próżno wił się, próżno kąsał. Syn Ajakosa trzymał mocno, wąż z syczeniem wyprężył się, Peleus ujrzał przed sobą zmarszczoną ze wściekłości paszczę lwa. Wczepił palce w bujną grzywę i nie puszczał.

Gdy lew rozwiał się, oplotły Peleusa macki potwornej ośmiornicy, dzierżyli się we wzajemnym uścisku, królewski syn i potwór z czarnej głębiny, aż wreszcie macki ośmiornicy zwiotczały, bluznęła ku prześladowcy cuchnącą, ciemną cieczą i znowu poranione, pokąsane, poparzone dłonie Peleusa trzymały za gładkie ramiona zielonowłosą dziewczynę.

— Kim jesteś?

— Jestem Peleus, syn Ajakosa i Endeis.

— Czego żądasz, Peleusie?

— Byś zezwoliła patrzeć na siebie, Tetydo, byś zezwoliła mówić do siebie, bym cię widział i słyszał twój głos.

— Jesteś zuchwały, Peleusie, ale twoja prośba została wysłuchana przychylnie. Opowiedz mi coś o sobie...

Władca bogów, Zeus, rozgarnął płaszcz chmur i ze szczytu Olimpu wejrzał na ziemię.

— Spójrz, Hero, bowiem nie dowierzam świadectwu własnego wzroku. Czy to Tetyda rozmawia tak łaskawie ze zwykłym śmiertelnikiem?

— Tak, to ona.

— Na egidę! Rozmawia ze śmiertelnikiem, ona, która odrzuciła oświadczyny Posejdona, władcy mórz.

— Odrzuciła także twoje oświadczyny, Zeusie.

— Być może, nie pamiętam. To, co widzę, nie mieści się w głowie. Chyba że to nowa sprawka Afrodyty.

— Nie pomagałam w żaden sposób synowi Ajako- sa — usprawiedliwiała się najpiękniejsza z bogiń. — W ostatnich czasach często bywam w Tracji, nad brzegami Hellespontu, i trudno mi doglądać tego, co się dzieje na piaszczystym

brzegu Ftyi.

— W takim razie nic nie rozumiem — rozgniewał się władca bogów. — Wygląda na to, że ci dwoje, tam, pod krzakiem mirtu, zaraz się pocałują. Lecz na sturękiego Biareusa, zanim to zrobią, cisnę w nich piorunem!

— Nie czyń tego! — zawołały jednym głosem pięk- nooka Hera i zrodzona z piany morskiej Afrodyta.

— A to czemu?

— Bo Tetyda już pokochała syna Ajakosa.

— Ależ to tylko człowiek!

— I cóż z tego, jeśli ona go kocha? Nie rzucaj gromu, Zeusie, bo wszyscy śmiertelni i nieśmiertelni powiedzą, że uczyniłeś to z zazdrości i urażonej pychy.

— Ona głaszcze jego włosy!

— Rozkaż chmurom, by zasłoniły 'ziemię, nie przystoi patrzeć na zakochanych, niech zostaną sami pod krzakiem kwitnącego mirtu, nad nieruchomą wodą, za wałem białych skał. Przypomnij sobie własną młodość, Zeusie, i zbądź gniewu, byśmy snadź nie sądziły, że nie możesz znieść szczęśliwego współzawodnika w Peleusie, synu Ajakosa, twoim wnuku.

Chmury zamknęły się nieprzejrzystą opończą, władca bogów pomedytował i wreszcie wyrzekł te słowa:

— Artemida nie chce słyszeć o miłości, Hestia nie chce słyszeć o miłości, Atena nie chce słyszeć o miłości, Tetyda nie chciała słyszeć o miłości, więc dobrze się stało, że chociaż ona jedna kogoś pokochała. Wyprawimy im wspaniałe wesele, na które już teraz zapraszam wszystkich bogów w imieniu nowożeńców, Te- tydy, córki morza, i Peleusa, syna Ajakosa. To ostatecznie zupełnie stosowne małżeństwo, Peieus jest moim wnukiem. W swoim czasie na wyspie Ojnone zaślubiłem jego babkę, Ajginę. Zrodzony z tego związku Ajakos nie pragnął być bogiem, wolał pozostać człowiekiem, mój wnuk jest także tylko człowiekiem, ale nie zmienia to faktu, że jestem ich ojcem i dziadkiem. Pochwalam wybór Tetydy.

W cichej zatoczce Peieus skończył opowieść o swojej miłości

i tęsknocie.

— Czemu milczysz, Peleusie?

— Wiem, że teraz odejdziesz i nie ujrzę cię już nigdy, lecz nie mam w sercu żalu, mówiłaś ze mną łaskawie, patrzyłem w twoje oczy, nawet gdybym miał umrzeć z tęsknoty, umrę szczęśliwy powtarzając, póki sił starczy, twoje imię, Tetydo.

— Nigdzie nie odejdę, Peleusie. Prowadź mnie do domu swego ojca, na złe i dobre, na dolę i niedolę. Zostanę przy tobie. Nim niebo oddzieliło się od ziemi, nim wody wlały się w swoje łożyska, nim skały zakwitły zielenią, nim zrodziły się szybkie jelenie i grzywiaste lwy, ja już czekałam na ciebie. Czy myślisz, że mogłabym tobą wzgardzić, Peleusie, gdy wreszcie się pojawiłeś?

Znałam tylko chłodny dotyk wód, zapach słonej fali, śliskie ciała ryb, teraz czuję słoneczny blask, woń kwiatów, miękkość trawy, ciepło ziemi. Tyś mi to ofiarował, Peleusie, ty odmieniłeś świat i mnie samą; czy sądzisz, że mogłabym cię utracić i stać się z powrotem dawną Tetydą? Gdyby w tej chwili stanęli przed nami wszyscy nieśmiertelni i kazali mi wybierać: ty lub władza nad niebem, ziemią, wodą i światem umarłych, wybrałabym ciebie.

Tetyda i Peieus żyli szczęśliwie przez długie lata, wychowali synów, a kiedy szron pobielił włosy starego króla, gdy jego ramiona pochyliły się do ziemi, gdy w jego komnacie pojawił się bezszelestny Tanatos, wysłannik podziemi, Tetyda rzuciła się w morze z wysokiej skały. Liczni — nieświadomi, kim jest ich królowa — opłakiwali jej śmierć. Zostawiła po sobie dobrą pamięć, przez długie jeszcze lata pokazywano wełnę, którą sprzędła, szaty przez nią haftowane, drzewa szczepione jej ręką.

Nie mogła umrzeć z żalu, bo była nieśmiertelna i musiała pozostać nieśmiertelna aż do skończenia czasów, ale fale morza, śliskie ryby, wiotkie wodorosty, wesołe delfiny, wiatr wiedziały dobrze, co teraz nuci Tetyda, gdy księżyc zlewa srebrne światło na wody. To była prosta pieśń, jedno tylko słowo powtarzane ciszej i głośniej, z zachwytem, miłością i bólem.

Największym moim zmartwieniem, łyżką piołunu w beczce miodu była perspektywa spotkania się z Wieśkiem. To trudno wytłumaczyć, bo przecież teraz, szczególnie teraz powinnam chcieć się z nim widzieć, ale bałam się jego widoku, głosu, wszystkiego. Jeżeli go spotkam, na pewno jakoś się zdradzę, może się zacznę jąkać, może się zaczerwienię, a może po prostu rzucę się do panicznej ucieczki, w każdym razie na pewno zachowam się głupio i niepoważnie, nie dowierzałam sobie, nie chciałam być śmieszna.

Bo mogłam być śmieszna. Myślę sobie Bóg wie co, a w rzeczywistości jestem dla Wieśka tylko koleżanką Agnieszki, z którą przestał chodzić, i taką jedną, która kiedyś zatelefonowała do Mileny.

Rozmyślałam o tym wszystkim bez końca. W drodze do szkoły, w drodze ze szkoły; kiedy odrabiałam lekcje i kiedy ich nie odrabiałam; kiedy byłam sama i wtedy, gdy otaczał mnie hałas dużej przerwy.

— Cześć.

Zatrzymałam się jak wryta przed Wieśkiem.

— Cześć — powtórzył, stanęliśmy naprzeciwko siebie, on ze swoją torbą z podręcznikami i ja ze swoją.

— Grasz jeszcze w szachy?

— Nie.

— Jak ci w ogóle leci?

— W porządku.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać?

Kiedy to powiedział, przestraszyłam się, że zaraz odejdzie.

— Nie, dlaczego? — spytałam nieco schrypniętym głosem. — Dlaczego miałabym nie chcieć?

— Bo ty jesteś taka... — marszcząc się szukał przez moment określenia, widocznie nie odnalazł, bo machnął ze zniechęceniem ręką. — Sama wiesz, jaka jesteś.

— Coś ty! — oburzyłam się.

— Poczekaj — przerwał mi w pół słowa. — Wtedy kiedy cię prosiłem, żebyś zatelefonowała, to wyglądałaś tak, jakbyś chciała mnie zamordować, ale się zgodziłaś. Albo na zabawie, widziałem, że prawie płakałaś i nie wyszłaś. Ja wiem, że ty mnie nie lubisz, a zaprosiłaś mnie na urodziny. To jest brak logiki, mała. — Nie oburzyłam się na małą, niech mnie tak nazywa, skoro chce. — Zupełny brak logiki, nic dziwnego, że nie idzie ci w szachach, szachy są dla myślących logicznie.

— To po co ze mną rozmawiasz?

— Nie wiem.

W jego głosie było prawdziwe zdziwienie, może rzeczywiście nie wiedział, może po prostu nigdy nie zadał sobie pytania, czemu rozmawia z Magdaleną Nowak, czyli ze mną.

— Nikt ci nie każe! — To rzuciłam wbrew sobie, było mi nawet przykro, że tak mówię.

— Nikt mi nie każe — zgodził się i nagle wyciągnął do mnie rękę. — Pogódźmy się, mała. Nie musimy przecież być ze sobą na noże.

— Ja się z tobą nie gniewałam, więc nie potrzebuję się godzić.

— Pójdziesz ze mną kupić łańcuch do roweru?

Mogłam pójść, prawię zawsze po lekcjach chodziłam do którejś z dziewczyn albo zostawałam w szkolę, gazetka, dekoracja klasy, przygotowanie pomocy dla pracowni polonistycznej, zbiórka, dyżur w szatni.

— Po co akurat łańcuch?

Cudowny, wymyślony świat, w którym żyłam przez kilka dni, rozwiewał się niczym dym, fiut, przepadło, nie ma już nic. Więc taki jest koniec moich marzeń — towarzyszenie Wieśkowi w kupowaniu łańcucha. Boże, jaka ja byłam głupia!

— Na wiosnę nie będzie, trzeba kupić teraz.

— Aha. To idź sam.

Wcale nie było mi łatwo powiedzieć, żeby poszedł sam, ale jakoś się udało.

— Wiedziałem, że nie będziesz chciała. Z tobą tak zawsze. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żebyś się na coś zgodziła bez

grymasów. Brawo, mała.

— Z czego się tak cieszysz?

— Z tego, że jesteś taka.

I dodał szybko, jakby wreszcie przypomniał sobie, co chciał powiedzieć:

— Taka jak jeż. Koląca.

Odwrócił się i odszedł. Przez moment stałam bez ruchu, potem pobiegłam, przecięłam mu drogę.

— Idę z tobą po ten łańcuch.

W sklepie sportowym nie dostaliśmy łańcucha, sprzedawca oznajmił, że może będą w marcu, a może na początku kwietnia, trzeba się dowiadywać. Za to w tym sklepie było dużo innych rzeczy: rakiety tenisowe, oszczepy, dyski, trampki, sprężyny do rozciągania, kolorowe dresy, tandemy, koszulki, swetry. I cały stos sanek, i zwał łyżew, których nikt nie kupił, bo po co komu sanki czy łyżwy w bezmroźną i bezśnieżną zimę?

Od chwili kiedy zdecydowałam się pójść z Wieśkiem, nie czułam się już tak skrępowana jak poprzednio. Rozmawialiśmy o szkole,, nauczycielach, kto jest sprawiedliwy, kto surowy, kto się łatwo denerwuje, kogo lubimy, a kogo nie. Wiesiek skończył naszą szkołę, prawie wszystkich znał, rozgadałam się, jakby to nie był on, tylko na przykład Hanka albo Joanna.

— Lubisz rurki?

Lubiłam rurki, najbardziej takie chrupiące, jeszcze ciepłe, takie właśnie, jak te, które nam podała panienka w białym fartuchu.

— Wiesz, mała, że od dziesiątków lat trwa spór, czy żyjemy w okresie już bliższym następnego zlodowacenia, czy jeszcze w początkowym okresie obecnego ocieplenia klimatu. Może czytałaś, że naokoło ziemi zbiera się obecnie gruba pokrywa dwutlenku węgla, która wprawdzie pochłania znaczną część promieniowania słonecznego, ale z kolei nie dopuszcza do ucieczki ciepła z atmosfery ziemskiej — zagestykulował w moją stronę nie dojedzoną rurką. — A czy wiesz, że wielkie miasta mają temperaturę średnią dużo wyższą niż tereny

rolnicze?.

— Możliwe.

— Nie możliwe, tylko pewne, ja o tym czytałem. Tezę o powtórnym zlodowaceniu postawił Ludwik Agassiz, który propagował teorię Wegenera, tego od Gondwany.

— Od czego?

— No, od Lemurii. Twierdził, że Ameryka Południowa, Afryka, Madagaskar i Australia były kiedyś jednym lądem. Nazwał ten ląd Gondwaną, ale gdzieś widziałem nazwę Lemuria.

— Czekaj, powiedz mi coś o Atlantydzie.

— Mogę i o Atlantydzie. Niedawno uczeni francuscy odkryli w pobliżu wysepki Santoryn, w głębinach morza, ogromne złoża ławy i wygasły krater olbrzymiego wulkanu. Tu mogła być Atlantyda.

— To niedobrze, że ją odkryli. Gdzie jest wyspa Santoryn?

— Niedaleko Krety. Jak masz wielki atlas, to znajdziesz.

— Nie mam.

— Wpadnij, pokażę-.

A ja odpowiedziałam:

— Dobra, kiedyś wpadnę.

Trochę dziwnie wracaliśmy do domu z tego sportowego sklepu,, mama w takich wypadkach zwykła mówić: „Wstąpił do piekieł, po drodze mu było". Ale my nie zauważyliśmy (tak naprawdę, to ja udawałam, że nie zauważyłam), iż nakładamy co najmniej trzykrotnie drogi. Zabłądziliśmy w jakieś uliczki, gdzie nie byłam nigdy, małe domki za siatkami, szczekające psy, bezlistne, owocowe drzewa o pobielonych pniach. Taki kawałek wsi, o kilka kroków od głównej ulicy.

— Myślałam, że to ja odkryję Atlantydę, jak będę dorosła — spojrzałam ukradkiem na Wieśka, był poważny. — Zbieram wycinki z pism, jeśli jest coś o Atlantydzie. Może tamten wulkan nie jest Atlantydą?

— Może nie jest.

— Chciałabym, żeby nie był.

— Mała, dla nas jeszcze dużo zostanie. Widziałaś film

„Wspomnienia z przyszłości”? Czytałaś książkę „Na tropach nieznanych zwierząt”? Jest nagroda dla tego, kto pierwszy przepłynie Amazonkę, od źródeł aż do ujścia. I podróże w kosmos. I w ogóle sto tysięcy rzeczy, o których nikt jeszcze nie wie. Wcale nie musisz odkrywać Atlantydy.

— Pewno bym i tak jej nie odkryła. Mój brat mówi, że musiałabym skończyć archeologię i...

— Masz klawego brata. Co z tą archeologią?

— No, nic. Na badania za granicę jeżdżą tylko najlepsi. Może wcale nie będę najlepsza.

— Agnieszka mówiła, że ci dobrze idzie. — Wymienił imię Agnieszki zupełnie zwyczajnie.

— Nie jestem najlepsza w klasie.

— Ale archeologiem możesz być najlepszym na świecie. — Powiedział to tak, że na chwilę uwierzyłam, że mogę. — Einstein był kiepskim uczniem, Żeromski nie zdał matury, Sienkiewicz miał kłopoty w szkole. To nic nie znaczy.

— A co znaczy?

— Jak się robi, co się lubi, to musi wychodzić dobrze. Gdybyś naprawdę lubiła tę archeologię...

— Jeszcze nie lubię, pewno będę studiowała coś zupełnie innego. A w ogóle to nie dostanę się do liceum.

— Gadką! Jak mogłabyś się nie dostać?

— Niektórzy się nie dostają.

Z chmur, które pełzły cały czas nad nami, zaczął mżyć drobny, bardzo zimny deszcz.

— Jeżeli powiesz jeszcze coś w tym guście, ja się urywam — zagroził. — Nie umiem, nie mogę, nie chcę, nie dostanę .się, i tak w koło, Macieju. Nudna jesteś, mała.

— No, to jestem. Inne dziewczyny są ciekawsze, możesz rozmawiać z nimi.

Zagrodził mi drogę. Deszcz po próbnych, nieśmiałych kapnięciach rozpadał się na serio, grube krople spływały mi po czole i policzkach.

— Madziu... — zaczął, urwał, już kiedyś nazwał mnie Madzią, pamiętam. — Magda, nie bądź tuman.

— Ja...

— Magda, ja ciebie lubię, chociaż właściwie nie wiem za co. Byłaś taka śmieszna, kiedy telefonowałaś... Nieważne. Lubię cię, i już.

Odstąpiłam krok w tył i nie tyle powiedziałam, ile wykrztusiłam:

— Czy chcesz ze mną chodzić?

— Nie — odrzucił bez namysłu, — Nie chcę z tobą chodzić. Wcale nie.

No, mam za swoje, nareszcie dowiedziałam się wszystkiego do końca i już lepiej nie można się było dowiedzieć.

— Poczekaj, Magda. Ja ci wytłumaczę — teraz zwracał się do mnie tak głośno i wyraźnie, jakbym miała przytępiony słuch. — Kiedy poznam jakąś dziewczynę, ona od razu chce, żebym z nią chodził, i mówi wszystkim, że jestem jej chłopakiem. Żebym ją przedtem nie wiem jak lubił, to mi wszystko przechodzi... — Nabrał tchu i ciągnął dalej: — Już w ósmej tak było i w tym roku też. Mógłbym nie zaczynać z dziewczynami, ale mi się zawsze wydaje, że będzie inaczej, a później się okazuje, że wcale nie, i znowu jest głupio.

W głowie uparcie wirowała mi jedna myśl: Wiesiek uważa, że jestem taka sama jak Milena, Agnieszka, Beata, i tylko po to, aby mi o tym powiedzieć, wyciągnął mnie po ten idiotyczny łańcuch, jakby mi nie mógł powiedzieć tego gdziekolwiek — przed szkołą, na schodach, pod osiedlowymi suchotniczymi drzewkami.

— Możesz mi nie tłumaczyć — przerywam. — Ja wiem.

— Wiesz?

— Wiem. Wiem, jaki jesteś. Agnieszka mi opowiadała. Zaczynasz z każdą, a potem mówisz, że nie. Mnie nie musisz, bo ja z tobą nie chodziłam i wcale bym nie chciała. W ogóle nie chcę cię znać!

— Magda!

— Ja wiem — powtarzam z uporem. Te słowa są jedynymi słowami, jakie pamiętam ze wszystkich słów na świecie.

— Dlaczego nie chcesz zrozumieć? — to była prawie skarga.

W skośnym deszczu powoli toczył się wóz zaprzężony w siwego konia, ciężka grzywa zwisała na mokrą, wilgotno

lśniącą szyję. Na wozie trzęsły się blaszane bańki, woźnica spojrzał na nas niewidzącym wzrokiem.

Było źle, ciężko i smutno, uleciał nastrój spokoju i radości, z którym szłam przez te boczne uliczki pełne domków przycupniętych za koślawymi siatkami.

— ...a jakbyś się zgodziła, to mógłbym cię nauczyć grać w szachy — dobiegł mnie jego głos. Był, stał przede mną cały w deszczu, kapiący, śmieszny, przemoczony do suchej nitki. — I moglibyśmy...

Głos się oddalił, ucichł. Włosy zmoczone deszczem wydawały się prawie czarne, oczy bardzo duże w bladej twarzy, szczupłe policzki, dlaczego ja, patrząc na niego, nie słyszę słów, nie czuję deszczu, mogłabym tak staq nawet do wieczora, tylko żeby on nie odchodził. Ale nie powinnam, nie mogę, nie wolno mi się zdradzić...

— Słuchaj, mała, dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć? Ja myślałem, że ty... Ty się interesujesz różnymi sprawami, Agniecha mi opowiadała i przecież... — nie dokończył co „przecież", machnął ręką. — Wyglądasz jak zmokła kura. Biegnijmy, Magda, bo się całkiem rozpuścisz.

Z dłonią w jego dłoni biegłam posłusznie do rogu, później pustym Chodnikiem, minął nas samochód rozchlapujący błotnistą packę.

Zadyszana, z sercem w gardle zatrzymałam się wre- _ szcie, ale Wiesiek nie pozwolił mi odpoczywać.

— Biegnij, inaczej pewny katar. Ruszaj się, mała, ruszaj się!

Zdarzało mi się biegać nie raz i nie dwa, ale zawsze mogłam przestać, gdy oddech zaczynał się rwać, a krew napływała do twarzy. Tym razem nie chciałam się zatrzymać, biegłam.tak, jakby od tego biegu zależały najważniejsze sprawy na świecie, jakby zatrzymanie się miało spowodować coś, czego nigdy nie będę mogła odżałować.

Chwilami miałam nawet wrażenie, że tkwię w miejscu, że wcale się nie poruszam, dziwne to było, bo przecież wiedziałam doskonale, że biegnę, z najwyższym wysiłkiem, alę biegnę.

Wiesiek biegł za mną, rozchlapując bure kałuże, które

rozlały się po chodniku, mętne i nieustannie cięte siateczką padających kropel.

— Magda, stój!

Na pewno już miał dosyć tego szalonego biegu między siatkami ogrodzeń, w bryzgach błotnistej wody i skośnym deszczu, ja też miałam dosyć, marzyłam, żeby się zatrzymać. Gdyby on zgubił się gdzieś w wilgotnej szarości, gdybym nie słyszała za plecami jego kroków, wtedy mogłabym stanąć, ale dopóki biegł za mną, ja musiałam także biec i nie wolno mi było stanąć

— Magda...

Prosił mnie, żebym się zatrzymała, ta prośba dodała mi sił, przyspieszyłam kroku, chociaż jeszcze przed chwilą wydawało się to zupełnie niemożliwe.

Kroki za moimi plecami umilkły, wtedy dopiero zwolniłam i przypadłam do jakiejś furtki. Oddychałam ciężko, świszcząco, długimi, pojedynczymi wdechami. Wygrałam. Uciekłam od Wieśka.

Ktoś — mijający mnie pod osłoną rozłożystego parasola — zatrzymał się.

— Stało się coś? — dobiegło mnie pytanie.

— Nic się nie stało.

— Dziwnie wyglądasz — wyraził swoją opinię właściciel parasola i odszedł w deszcz, zostawiając mnie ociekającą wodą, z czołem opartym o skrzynkę na listy.

Nieważne, jak wyglądałam: dziwnie, pięknie, normalnie, odrażająco czy posępnie, i deszcz był nieważny, i bryzgi błota na płaszczu, i pantofle pełne wody. Ważna była .jedynie moja klęska i ważne było moje zwycięstwo. Zgoda, pomyliłam się jak ostatnia idiotka,, mało brakowało, a byłabym z powodzeniem wystąpiła w roli zakochanej gęsi, i na dodatek wygadałam się z moją tajemnicą, chociaż wiem, że nigdy nie trzeba rozpowiadać o swoich marzeniach. Marzenie to marzenie, coś, co myśli się tylko dla siebie, o sobie, w sobie. Nie, nie, ja wcale nie marzyłam o tym, żeby się zakochać i żeby ktoś się we mnie zakochał, bo dlaczego miałabym o tym marzyć? I ja mu uciekłam. Umyślnie uciekłam. Niech wie, że

chcę być jak najdalej od niego, że wcale mi nie zależy, że byłam głupia, bo zgodziłam się pójść do tego sklepu. Co to mnie właściwie obchodzi? Niech sam sobie szuka łańcucha, niech jeździ po osiedlu na tym swoim rowerze z kolorowymi nalepkami, z prawdziwym bido- nem, wymyślnym bagażnikiem, z plątaniną kabli, nie wiadomo od czego, przy kierownicy, proszę bardzo, niech jeździ, niech się na niego z balkonu gapią Milena, Beata, Agnieszka i sto innych dziewczyn, których nie znam. Ja od niego uciekłam, ponieważ chciałam uciec. Na pewno nie będę się gapiła z okna, kiedy będzie przejeżdżał pod naszym blokiem. Nie, nie i jeszcze raz nie, teraz chyba zrozumiał, że nie potrzebuję jego towarzystwa, nie chcę słyszeć tego, co mówi. Dobrze, że się zgubił w deszczu, tego właśnie chciałam.

Myśląc tak, odwracam się i patrzę w perspektywę liedługiej uliczki, pustej, smaganej zimnym deszczem, jezlistne drzewa wysuwają zza siatek mokre gałęzie, Drzy konarze stroszy się czarne ptaszydło, wrona. Dlatego nigdzie nie widać Wieśka? Już powinien mnie logonić. On wie, musi wiedzieć, że na niego czekam, bo ja rzeczywiście na niego czekam, chociaż staram się vmówić w siebie, że tak wcale nie jest.

Zaczynam iść w kierunku, z którego przybiegłam, idę powoli, nie spieszę się wcale, rozglądam po fasadach identycznych domków, chyba robię wrażenie kogoś, kto stara się odnaleźć numer domu, do którego go zaproszono. Zza jakiejś siatki wściekle ujada pies, bie- gnie równolegle do chodnika i drży cały od mokrej wilgoci i ze złości na nieznajomego włóczęgę, który zmusił go do opuszczenia ciepłej budy.

Już nie ma psa i jego ujadania, zostały daleko. Wieśka także nie ma. Jeżeli skieruję się w prawo, wyjdę na ludną ulicę, wsiądę w autobus, wrócę do domu, mama się już na pewno niepokoi, nigdy nie urządzałam sobie takich długich spacerów bez opowiedzenia się. Zapada zmierzch, pewno jest po czwartej, może jeszcze później albo może i nie, w takie dni noc już od południa stoi za progiem, tylko czeka, żeby okryć miasto mrokiem. W oknach tu i ówdzie zapalają się światła.

Dlaczego go nie ma?

Przecież biegłam, bo sam tego chciał, a potem czekałam na niego. I teraz idę, żeby go odszukać, to niemożliwe, żeby się rozwiał w deszczu, żeby go nie było, pewnie się gdzieś schował, to do niego podobne, widzi mnie cały czas, podśmiewa się, że tak go szukam. Na myśl o podśmiewaniu robi mi się gorąco, ale niech tam, niech się podśmiewa, byleby się znalazł.

— Wiesiek!

Wołam parę razy. I nic, tylko w jednym z domków uchyla się okno i nieżyczliwy głos skrzeczy:

— Też wychowanie! Wrzaski na ulicy wyprawiać.

Czy to możliwe, żeby mu się coś stało przez te kilka

minut, gdy wypoczywałam oparta o furtkę? Może wypadek... Magda, opanuj się, jaki wypadek, tu nic nie jeździ, zupełna pustka! No, to może złamał nogę? Kretynizm, pogotowie nie zdążyłoby przez tak krótki czas go zabrać, zresztą bym coś słyszała, syrenę, krzyk, czy ja wiem, co jeszcze? Wersja z zamaskowanym bandytą wciągającym Wieśka do jednego z domków — zmusza mnie do niewyraźnego uśmiechu. Wiesz, oślico, gdzie jest Wiesiek? Tak, wiesz to bardzo dobrze. Z pewnością zdjął już z siebie przemoczone ubranie, wyciera włosy ręcznikiem i myśli sobie, że ty też dawno jesteś w domu. Zresztą wszystko jedno, co sobie myśli. Weź się w garść, czego szukasz na pustej uliczce, co chcesz* wypatrzyć w gęstniejącym zmroku i nieustannie, wytrwale lejącym deszczu? Czy ci wreszcie nie wszystko jedno, co się stało z Wieśkiem?

Nie jest mi wszystko jedno. Wlokę się do miejsca, gdzie rozmawialiśmy. Na chodniku leży coś stłamszo- nego, wdeptanego w błoto. Rękawiczka, rękawiczka Wieśka.

Podnoszę ją.

Z tą rękawiczką wlokę się z powrotem. Już nikogo nie wypatruję, nikogo nie wołam. Wszystko na mnie jest zupełnie mokre, takie mokre, jakbym zażywała kąpieli w pełnym stroju, przy każdym kroku w moich pantoflach odzywa się mlaszczące chlupnięcie. Może usiąść i wylać z

nidi wodę... E tam, nie warto, jakoś i tak dojdę.

— Aaa, witam Ofelię w domowych pieleszach — rozpromienia się na mój widok Jurek i wola w głąb mieszkania: — Mamo, przestań się zamartwiać, nasza topielica jest w bardzo dobrej formie. Kidnapingu nie było.

To zapewnienie nie uspokaja mamy, która zaczyna nade mną łamać ręce, murowane zapalenie płuc i tak dalej, powinnam w moim wieku już mieć choć trochę więcej rozumu, gdzie ja właściwie byłam, tyle czasu, obiad zupełnie zimny i czy ja sobie wyobrażam, że wszyscy w domu nie mają nic lepszego do roboty, tylko czekać, aż łaskawie zechcę wrócić?

— Nie dawaj jej obiadu — grzmi ojciec sprzed telewizora. — Niech nie je, skoro jej na tym nie zależy. Dom to nie hotel, proszę sobie zapamiętać raz na zawsze.

— W której krynicy byłaś łaskawa się utopić, Ofelio?

Mama woła, że nie znosi tego rodzaju żartów, Jurek przeprasza, ale jego skrucha jest najwidoczniej mocno nietrwała, bo zaraz dorzuca:

— Zamiast wieńca z polnego kwiecia romantyczne dziewczę piastuje rękawiczkę swojego rycerza. „Sowa była córką piekarza..."

— Jaką rękawiczkę?

— Synu, co ty pleciesz?

Nawet ojciec opuszcza miejsce przed telewizorem, żeby obejrzeć, co ja właściwie przyniosłam do domu. Nie wiadomo czemu, zabłocona rękawiczka nastraja mamę dramatycznie, a ojca minorowo.

— Madziu, dlaczego ty zbierasz takie rzeczy? I jak ty w ogóle wyglądasz? Dlaczego się jeszcze nie przebrałaś? Czy wreszcie powiesz nam, gdzie byłaś? Na pewno nie obejdzie się bez choroby, a dobrze, jeżeli się skończy na zwyczajnym przeziębieniu.

— Obserwuję tę dziewczynę od dłuższego czasu i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nigdy nie zetknąłem sią z niczym podobnym. Dlaczego ona stoi jak słup? Czy ona nie potrafi mówić? Co to właściwie jest?

(To ostatnie pytanie dotyczy łacha, zapapranego błotem, zmiętego i zupełnie niepodobnego do rękawiczki, trzeba mieć oko Jurka, żeby odgadnąć w czymś takim pierwotny kształt i przeznaczenie.)

— Ktoś ją zgubił — wyjaśniam blado, na tym sprawa się kończy. I to jest prawda: ktoś ją zgubił, a ja ją znalazłam.

— Przed naszym blokiem? — uściśla mama i zaraz radzi, żebym powiesiła kartkę, a tymczasem mam się jak najprędzej przebrać i zjeść jednak ten obiad.

Epizod z rękawiczką powoduje, że nie muszę tłumaczyć, gdzie byłam tyle czasu i co robiłam na deszczu. Po obiedzie mam wziąć na wszelki wypadek aspirynę, albo lepiej dwie aspiryny, i popić herbatą z sokiem malinowym. Sok malinowy, zdaniem mamy, jest uniwersalnym lekiem na wszelkie możliwe choroby.

W domu, gdzie o szyby monotonnie uderza niezmordowany deszcz, wszystko staje się jakieś mniejsze, łatwiejsze do zrozumienia, prawie przyjazne. Wreszcie nie stało się nic strasznego, wielka rzecz, że Wiesiek nie chce ze mną chodzić, też miałabym się czym martwić! W ogóle ja się wszystkim za łatwo przejmuję, tak się zdenerwowałam, że odszedł, zaraz sobie wyobrażałam niestworzone historie, coś złego, wypadek i tak dalej. Po co ja tak biegłam, jakbym chciała wygrać bieg maratoński? Zdaje się, że najlepszy maratończyk nazywał się Bikila Abebe, był z Etiopii. Zaraz zapytam.

— Mistrz maratonu — odkrzykuje Jurek, w tle jęczą gitary i jakiś nosowy głos w nieokreślonym języku wypłakuje swoje skargi. — Z gwardii byłego cesarza Hajle Sellasje. Czemu nagle zainteresowałaś się sportem, Magdzioł, i to ze szczególnym uwzględnieniem długich dystansów?

— Tak sobie. Bez uzasadnienia.

Ale Jurek czuje się w obowiązku dostarczyć mi natychmiast porcji solidnej wiedzy. Dowiaduję się więc, ile wynosi dystans z Maratonu do Aten, zostaję uświadomiona, że goniec z pola bitwy biegł w pancerzu, nagolennikach i hełmie, a niewykluczone, że także z tarczą i włócznią. Jurek objaśnia, że maratończycy bardzo często mdleją na mecie, a

w ogóle największe szanse mają sportowcy z tych krajów, w których podstawowym środkiem lokomocji pozostały ludzkie nogi. Dowiaduję się mnóstwa niewątpliwie ważnych rzeczy o maratonie jako takim, a ponadto o różnego rodzaju biegach.

— W starożytnej Grecji nikt nie biegał maratonu, tylko biegi krótkie i średnie. — Jurek, jak zawsze, nie przepuszcza okazji, żeby mi dokuczyć. — Ale ty, Mag- dzioł, biegasz jak hipopotam, widziałem. Szewińska z ciebie nie będzie.

— Wystarczy jeden wszechstronny talent w rodzinie.

— Oczywiście — ty! '

— Oczywiście ty — odpowiadam.

Mama musi nas uspokajać: czy koniecznie trzeba zaraz podnosić głos i wrzeszczeć, aż tynk leci z sufitu?

Skulona pod ciepłą kołdrą płaczę bezgłośnie. Dlaczego płaczę, przecież już wszystko było dobrze, ustaliłam, że nie mam czym się martwić, nic się takiego nie stało, a jednak nie potrafię powstrzymać łez, które płyną i płyną, jakby .nie miały nigdy przestać. Czemu ja jestem taka głupia? O co mi właściwie chodzi? Czego chcę?

Zbliżałam swoją twarz do lustra, patrzyłam, patrzyłam — to jestem ja, Magda, w której można się zakochać, potem byłam wesoła, wszystko wydawało się cudowne, i to trwało aż do dzisiejszego dnia, bo dzisiaj dowiedziałam się, że naprawdę jest zupełnie inaczej, niż sądziłam. W książce napisaliby coś w tym guście, że opłakuję stracone złudzenia, może mieliby rację, a może nie mieliby jej wcale, ja sama nie pojmuję, dlaczego mi tak nieznośnie ciężko na sercu. Jeżeli się kogoś kocha, nie powinno być smutno, miłość nie jest smutna, smutno jest tylko wtedy, kiedy miłość się kończy. A czy może się skończyć coś, czego wcale nie było?

Gwałtownie siadam na tapczanie. Więc jednak to jest to? Mimo że zupełnie inne niż w filmach i w powieściach, niedobre, męczące? A więc to jest to„ o czym śpiewają piosenki, o czym szeptała mi Agnieszka (a ja nie rozumiałam, nie rozumiałam ani słowa), to, czym pogardzałam, i to, przed czym starałam się uciec?

— Madziu — w półmroku pokoju zjawia się mama.

— Madziu, chciałabym, żebyś powiedziała, gdzie byłaś. Nie pytałam przy tacie, ojciec jest ostatnio przemęczony i łatwo się denerwuje, ale przede mną chyba nie masz tajemnic, a przynajmniej tego rodzaju tajemnic.

Dobrze, że jest ciemno i że mama wchodząc nie zapaliła światła, nie zobaczy mojej twarzy, oczu, spojrzenia, które mogłoby zdradzić wszystko.

— Chodziłam sobie.

— Sama chodziłaś, Madziu? Po takim deszczu?

— Tak, sama.

Staram się potwierdzić z całym przekonaniem. Aby mama uwierzyła, że sama przechadzałam się pod skośnymi strugami wody.

— Wiesz, Madziu, była tutaj Agnieszka. Z dużym rozżaleniem opowiadała, że wybrałaś się gdzieś z tym chłopcem, który ma wyścigowy rower. Mam wrażenie, że Agnieszce zależy na nim.

Podle, podstępnie postąpiła Agnieszka. Niby nic, nie ma jeszcze Magdy, jaka szkoda. A tak naprawdę, tylko czekała na okazję, żeby na mnie naskarżyć.

— Nie mam oczywiście pretensji, że spacerujesz z chłopcem, trochę mnie po prostu dziwi, że uważasz ten fakt za coś, co należy ukrywać. I jeszcze jedno, Madziu. W taką pogodą, jak dzisiejsza, na pewno dużo lepiej rozmawiałoby ci się z kolegą w mieszkaniu. Właściwie tylko tyle miałam ci do powiedzenia — palce mamy dotykają ostrożnie mojego czoła. — Na szczęście nie masz gorączki, miejmy nadzieję, że się skończy na katarze.

Nie, mamo, nie na katarze. Chciałabym ci opowiedzieć to, o czym myślę, to, co się zdarzyło, i nawet to, czego nie było, ale nie powiem nic.

— Madziu, to nie jest zabawa w głuchy telefon. Nie wystarczy, że wysłuchałaś mnie. Czekam na odpowiedź.

— Byłam z Wieśkiem w sportowym sklepie po'części do roweru.

— Strasznie długo to trwało.

— Rozmawialiśmy — wyjaśniam z początku niechętnie,

potem z coraz większym zapałem. — O różnychli rzeczach. Kim by się chciało zostać i w ogóle. — Nagle czuję nieodpartą potrzebę zwierzeń. — Ja mu uciekłam.

Mama przysiada na brzegu tapczanu.

— Uciekłaś? — pyta zdziwionym głosem.

— Uciekłam.

— Dlaczego?

— Bo szybciej biegłam niż on.

— On cię gonił?

— Nie. To znaczy biegł za mną, ale mnie nie gonił.

I ja z nim wygrałam.

— Ślicznie, jednak jest w tobie materiał na nową Szewińską. —Cichy śmiech i jeszcze: — Gdyby nie po takim deszczu i gdyby nie ten zimny obiad, mogłabym zupełnie szczerze ci pogratulować.

Ja także się śmieję razem z mamą. Kiedy wypowiedziałam głośno całą (albo prawie całą) prawdę, wydało mi się to wszystko właściwie strasznie śmieszne.

Mniej śmieszne jest tylko to, że wróciłam, szukałam, wołałam. To rzeczywiście wcale nie jest zabawne i nie nadaje się do opowiadania.

— Spij, Madziu. Dobranoc.

Teraz mama jest w kuchni, grzechoczą naczynia, płynie woda. Rano, kiedy wstaniemy, kuchenka będzie lśniła czystością, mama nie położy się spać, nim ostatnia rzecz nie zostanie zmyta, wytarta i ustawiona na miejscu. Ja mam swój pokoik, Jurek ma swój pokoik, rodzice śpią w tym największym, gdzie jadamy, gdzie stoi telewizor i gdzie bez przerwy ktoś siedzi. Kiedyś mama powiedziała żartem, że ma tylko jedno prawdziwe marzenie: pobyć sama przez pół godziny we własnym pokoju. Aha, i to jeszcze, żeby w tym pokoju móc zamknąć drzwi na klucz.

Po cichutku wysuwam się z pościeli i przytykam nos do szyby. Rozmazane deszczem lśnią martwe światła wysokich latarni, trawniki wydają się prawie czarne, czarne są cienie drzewek wyolbrzymionych przez nocne światła. To tamten blok. Taki sam jak nasz, dziesięć pięter, równiutkie pudełka

balkonów, rzędy oświetlonych okien, które niedługo zaczną przygasać. Czy to może być tamto okno? Taki zwyczajny, jasny prostokąt? Czy może inne — promieniujące łagodnym, różowym blaskiem, albo jeszcze inne — przyciągające uwagę niezwykłym odcieniem fioletu sączącym się zza firanek? A może to jest któreś z ciemnych okien, moje okno jest też ciemne, jeżeli ktoś w nie teraz patrzy, jest pewny, że śpię. Tylko że nikt nie patrzy w moje ciemne okno.

Szkoda, nie wiem, gdzie szukać tego okna, mogłabym zasnąć, gdybym umiała je odnaleźć, a tak muszę stać i zgadywać, to, tamto, inne...

Cichnie plusk wody, mama półgłosem rozmawia z ojcem, szuranie, rozstawiają na noc wersalkę. Chrobot klucza, wraca Jurek.

— Ciszej, Madzia już śpi.

Nikt nie wie, że stoję przy oknie, bokiem przytulona do parapetu, jakbym się chciała ukryć.

— Straszliwa bzdura — streszcza Jurek obejrzany film. — Po pierwsze, tendencyjny dobór faktów, po drugie, interpretacja materiału co najmniej wątpliwa, a do tego przekazywana tonem prawdy objawionej.

— Nie zaprzeczysz chyba, Jerzy, że pewne fakty są jednak zastanawiające. — Głos ojca dobiega z łazienki, w tle szumi prysznic. — Mam na myśli pewne odkrycia w Ameryce Południowej, rzeźby, rysunki, legendy...

— Jeżeli rzecz nie polega na nieporozumieniu...

— Na jakim nieporozumieniu?

— Trudno nam interpretować fakty cywilizacyjne i kulturowe nie przystające do naszej normy. I wtedy sięgamy po metafizykę, gości z kosmosu i takie różne.

Skrzypnięcie drzwi.

— W telewizji była dyskusja...

— Była.

— Wybitne autorytety wyraziły opinię, że wiele niewytłumaczalnych faktów może być dostatecznie wyjaśnionych, jeżeli się przyjmie za pewnik ekspansję kultur pozaziemskich na nasz glob w zamierzchłych czasach.

— Uhum, ekspansję...
— Jerzy, z tobą nie można rozmawiać poważnie!
— Kiedy mnie się wydaje...
— Obudzicie Madzię. Czy nie można do jutra odłożyć tej dyskusji o gościach'z kosmosu?

Po tej interwencji głosy cichną, z suchym trzaskiem ktoś przekręca kontakt, w przedpokoju zapada ciemność, a ja dalej stoję i patrzę w cudze okna, które gasną jedne po drugich, bo jutro jest zwyczajny dzień, szkoła, praca i tak dalej, rano we wszystkich mieszkaniach rozjęczą się jak codziennie budziki.

Wreszcie wracam pod kołdrę i leżę patrząc w ciemność, tej nocy nie zasnę, dopóki nie wymyślę tego najważniejszego, najpotrzebniejszego, tylko nie mam pojęcia, co to jest, to, co chciałabym wymyślić w noc bez snu...

Oparta plecami o pień laurowego drzewa Atalanta wypoczywała, wyciągnąwszy przed siebie długie, smukłe nogi obute w sandały. Z tego miejsca widać było brzeg morza, bliżej najeżony białymi skałami, dalej przechodzący w łagodny łuk piaszczystej plaży, tu rzeka wlewała w błękitność morza swój chłodny, zielonkawy nurt karmiony śniegami spod górskich szczytów i wiosenną ulewą. Z biegiem rzeki zstępowały ku morzu zastępy szeleszczącej trzciny i lękliwe krzaki wierzb, których liście nie blakły nigdy od pożogi letniego słońca.

— Już jest w domu twego ojca — dziewczyna wyszeptała wieść zdyszanym głosem, chciała być pierwszą, która oznajmi Atalancie, córce Jazosa i Klimene, że przybył nowy zalotnik.

Przez twarz Atalanty przebiegł krótki grymas, nie otwierając powiek, spytała:
— Czyj to syn?
— Ojneusa i Altei. Pochodzi z Kalidonu.

Atalanta o nic już nie spytała i dziewczyna nie wiedziała, czy ma zostać i opowiedzieć wszystko, co jej było wiadome o nowo przybyłym, czy odejść i zostawić Atalantę pieszczocie południowego słońca.

Zdecydowała, że jednak poczeka, może Atalanta zechce o coś zapytać. Gdyby to ona sama była na miejscu księżniczki, nie odpoczywałaby tak spokojnie. Nawet jeżeli i ten zalotnik ma podzielić los pozostałych, zwyczajna ciekawość powinna podpowiedzieć pytanie, jaki on jest, młody czy stary, szpetny czy piękny, ciemny czy jasny, dbały o ubiór czy byle jak osłaniający nagość przetartą chlajną. Dlatego dziewczyna przykucnęła w skąpej plamie cienia i milcząc czekała, ale pytanie nie padało, Atalanta zacisnęła drobne wargi i, uniósłszy ku słońcu twarz, milczała.

— Ma na imię Melanion — zaryzykowała dziewczyna nie mogąc wytrzymać tej ciszy.

Palce Atalanty zaczęły błądzić po omacku po ziemi, aż znalazły gałązkę, ścisnęły ją, przełamały, odrzuciły precz.

— Przyjechał konno — głosiła dalej swoje wieści dziewczyna. — Jego sługa mówi, że ich wóz rozbił się w wąwozie.

Atalanta powinna by zapytać, w którym wąwozie i jakie były okoliczności rozbicia wozu (coś takiego nie zdarza się codziennie), lecz znowu nie zapytała o nic i dziewczyna brnęła dalej:

— Ten sługa jest bardzo miłym chłopcem. Pochodzi z wolnych ludzi, ma na imię Myrtilos. Podarował mi muszlę, to nie jest zwykła muszla, zobacz sama, Ata- lanto, szumi w niej morze, wewnątrz zaś jest różowa jak najwcześniejszy blask jutrzenki. Wyłowiono ją z bardzo dalekich wód.

Powieki Atalanty drgnęły, ale pozostały zamknięte.

— Ja sobie już pójdę — obraziła się dziewczyna.

— Idź.

— Jakbyś chciała, Atalanto, mogłabym ci powiedzieć coś więcej o Melanionie.

— Nie chcę, żebyś mi mówiła o Melanionie ani o kimkolwiek innym.

— Twoja wola — unosząc różową wewnątrz muszlę, dziewczyna odeszła.

Dziwna jest Atalanta, w całej Arkadii nie ma drugiej panny, która z równą obojętnością przyjęłaby wieść o nowym zalotniku. Odważny jest ten Melanion, już od wielu miesięcy nikt nowy nie ściągnął na dwór Jazosa, wieści o losie poprzednich zalotników rozeszły się szybko i daleko, tak jak nad szczytami gór rozchodzi się ryk grzmotu; już wszyscy wiedzą, że własnym życiem płaci się za chęć poślubienia księżniczki Atalanty. I żeby jeszcze król Jazos obmyślił ten bieg, lecz bieg wymyśliła właśnie Atalanta, a stary król bardzo był temu przeciwny.

W białym piasku — zniesionym na wybrzeże przez rzekę — rysuje się długą kresę, przy niej stają Atalanta i jej zalotnik, zwykle młodzieniec żartuje, rzuca miłe słówka, biedny, sądzi, że zdobędzie serce księżniczki, przypuszcza, że to staroświecki król Jazos nalegał na te zawody, aby wszystko odbyło się zgodnie ze zwyczajem pradziadów. Nie wierzy także, że jeśli przegra, naprawdę zostanie ukarany śmiercią. Niemożliwe, żeby było tak, jak ludzie sobie gadają. Potem zaczyna się bieg i już zaraz wiadomo, że i tego młodzieńca zaprowadzą do świątyni z malowanego drzewa stojącej na wzgórzu. Bogowie dali Atalancie nogi górskiej kozicy, żaden człowiek nie dorówna jej w biegu.

Na początku nikt nie wierzył, że dziewczyna może prześcignąć młodzieńca, więc zjeżdżali licznie, ze służbą, orszakami, w paradnych szatach, z psami, z bogatymi darami. Później ściągali pojedynczo, teraz już wcale nie królewscy synowie, tylko poszukiwacze przygód, ludzie niepewnego pochodzenia, ci, którzy nie znali nawet imienia własnego ojca i własnej matki, nie posiadający nic poza giętym łukiem, nożem, płaszczem i parą sandałów. A jeszcze później na dworze Jazosa zapanowała cisza, żaden obcy nie zasiadał przy ognisku, na poczesnym miejscu przeznaczonym dla gości.

— Nie zamieniłabym się z księżniczką — westchnęła dziewczyna przytulając do policzka muszlę wewnątrz różową.

— Wolę być sobą. Ona nawet nie wie, że Me- lanion jest najpiękniejszym młodzieńcem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. To smutne, że musi zginąć. Dobrze chociaż, że Myrtilosowi nie przyszło do głowy ubiegać się o rękę Atalanty, nie zniosłabym, aby i on musiał umrzeć.

Tak myślała dziewczyna służebna idąc ku domowi, ale nikt nie wiedział, co myślała Atalanta odpoczywająca na słonecznym zboczu, pod laurem o gorzkich, twardych liściach.

Stary król Jazos pogładził białą brodę.

— Staniesz, Melanionie, do zawodów z moją córką?

— Inaczej nie śmiałbym mącić spokoju tego domu, czcigodny Jazosie.

— Córka moja, Melanionie, jest nader dziwacznej i kapryśnej natury. Nie powinienem cię przed nią ostrzegać, lecz jeszcze jest czas, nie przyniesie ci ujmy, jeżeli opuścisz nasze progi.

— Słowa twoje, o królu, nie są dla mnie zaskoczeniem, słyszałem wiele przestróg od ludzi godnych szacunku, mimo to postanowiłem zmierzyć się z Atalanta. Człowiek żyje tylko raz i trzeba, by wsławił się niepospolitym czynem, jeżeli może się nim wsławić.

— Jak sobie życzysz, Melanionie, jak sobie życzysz. Pomnij jednak, że cię ostrzegałem, i przebacz już teraz wszystko, co się stanie.

Gdy Atalanta wieczorem wracała do megaronu, Me- lanion wziął ją za jedną z dziewek służebnych. Mniemał na podstawie zasłyszanych opowieści, że księżniczka jest groźną z wejrzenia olbrzymką, podobną córkom gigantów. Ta szczupła, milcząca dziewczyna nie przypominała w niczym stworzonego w wyobraźni wizerunku.

— Myślę, że nie odmówisz gościowi napoju i jadła, dziewczyno. Jestem Melanion, zjechałem tutaj, by zmierzyć swą chyżość z chyżością twojej p&ni. Należy mi się godny posiłek, jeżeli mam pokonać szybkonogą księżniczkę. — Zajrzał w twarz Atalanty oświetloną ruchliwym refleksem ognia. — Powiedz mi swoje imię. Na Zeusa, szkoda, wielka

szkoda, że nie ty jesteś córką Jazosa! Dla ciebie bez namysłu pozwoliłbym sobie zmieść głowę z karku. Jak się nazywasz pięknooka?

— Wołają mnie Melanto — skłamała.

— Melanto i Melanion, nawet nasze imiona skłaniają się ku sobie niczym drzewa rosnące na pochyłym stoku. Klnę się na swój ród, że chętnie zaniechałbym księżniczki, gdybyś zgodziła się wsiąść na mego konia.

— Nie wsiądę na twego konia, Melanionie. I wydaje się, że twoja mowa jest zuchwała i nieprzystojna, szczególnie pod dachem ojca dziewczyny, o którą zamierzasz się starać.

— Jutro o tej porze przypuszczalnie przekroczę ciemny Styks, więc pozwól, bym dzisiejszego wieczora mógł się jeszcze uśmiechać. Przynieś mi jadło i wino, Melanto, i zostań przy mnie, gdy będę się posilał.

— Boję się — skłamała Atalanta. —. Moja pani jest bardzo sroga i z pewnością nie spodobałoby jej się, że zasiadam przy królewskim gościli, jakbym mu była równa. Zresztą zapomnisz o mnie, gościu, gdy ujrzysz moją panią.

— Nigdy nie aapomnę o tobie, dziewczyno. Poznam cię nawet wtedy, gdy zjawisz mi się w postaci pomarszczonej staruszki albo w ptasim kształcie...

To dziwne, ale owe zuchwałe słowa Melaniona nie obraziły księżniczki, w swej sypialnej izbie przycisnęła dłonią szybko bijące serce, po raz pierwszy w swym szesnastoletnim życiu pożałowała młodzieńca, który miał stanąć z nią do zawodów. Zasypiając myślała o Melanionie, widziała go, wędrując ciemnymi ścieżkami snów.

Różanopalca Eos rozsunęła na nieboskłonie mieniące się chusty, fale lizały jeszcze piasek, mokry, szorstki, ubity niczym wygodny gościniec. Wzdychając frasobliwie król Jazos sprawował poranną ofiarę. Tak jak poświęcił teraz solą i mąką czoło ofiarnego baranka, niedługo poświęci czoło zalotnika swojej córki, księcia Melaniona.

-— Moglibyśmy jeszcze stąd odejść — przekonywał młodego księcia Myrtilos. — Ostatecznie lepiej jest mieć głowę na karku i zasłużyć na imię tchórza niż nie mieć głowy na karku

i być opiewanym w pieśniach.

— Masz słuszność, Myrtilosie.

— Więc powiedz, że nie stajesz do biegu.

— Nie mogę tego zrobić. W tym domu jest służebna. Wyda ci się to dziwne, ale wolałbym umrzeć niżeli narazić się w jej oczach na hańbę.

— Służebna? Pozwól sobie powiedzieć, książę, iż twoje słowa przypominają dziurawy bukłak., z którego wszystko wyciekło, słuszności nawet za strzępek owczej wełny. Co cię może obchodzić służebna, jeżeli stajesz do zawodów, by zdobyć rękę królewskiej córki lub umrzeć?

— Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale tak właśnie jest. Teraz odejdź już ode mnie, Myrtilosie.

Wbrew zwyczajom — Atalanta narzuciła na siebie szeroki płat płótna, okryła się cała, od czubka głowy do wąskich stóp, nieprzeniknioną zasłoną.

— Nie przystoi, Atalanto, byś skąpiła temu biednemu Melanionowi widoku swojej twarzy — oburzyła się Klimene. — Wiesz, że oboje z ojcem jesteśmy przeciwni tym zawodom i składaniu ofiar z zalotników, ale ponieważ ty utrzymujesz, że we śnie pojawili ci się nieśmiertelni i nakazali, byś czyniła tak, jak czynisz, szanujemy wolę bogów. Chociaż — powtórzę to raz jeszcze — gdyby mnie zaszczycili bogowie tym rozkazem, udałabym nierozgarniętą i nie dosłyszącą; w takim wypadku, jak przypuszczam, byłabym całkowicie usprawiedliwiona. Ale tę zasłonę uważam za strój zupełnie nie na miejscu. Wiem, że mnie nie posłuchasz, zawsze byłaś samowolna, Atalanto, i do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego bogowie...

Czcigodna Klimene chętnie mówiłaby jeszcze dalej, lecz już odezwał się z wybrzeża dźwięk rożka, znak, że zalotnik stanął na mecie. Powiewając skrajem białego płótna, Atalanta sarnimi susami zbiegła stromą ścieżką i stanęła u boku Melaniona.

— Co to znowu za przebranie, córko? —* zgorszył się król Jazos, który bardzo lubił, żeby wszystko, jeżeli już musi się odbyć, odbyło się tak, jak przystoi. — Jeżeli nie zdejmiesz w

tej chwili swojej płachty, będę zmuszony odwołać zawody albo ogłoszę zwycięstwo Melaniona, syna Ojneusa.

— Nie zdejmę.

— A to czemu?

— Dzisiejszej nocy znowu miałam sen. Sam bóg Hermes wydał mi polecenie, żebym okryła się cała bielonym płótnem.

— No, jeśli sam Hermes... — z wyraźnym wahaniem Jazos pogładził brodę. — Jeżeli był to sam Hermes, oczywiście nie mogę ci niczego zabronić. Przygotujcie się do biegu, gościu i moja córko. Start na głos rożka, meta przy skale o kształcie końskiego łba. Wszystko jasne?

— Tak — odpowiedziały dwa zgodne głosy.

— Zaczynamy.

Melanion drgnął, kiedy usłyszał głos dziewczyny okrytej białą płachtą, rozpoznał ten głos, to musiała być ona, młoda służebna, ta sama, którą widział w tańczącym blasku ogniska, poważna, ciemnobrewa, trochę zasmucona, a trochę uśmiechnięta. Niech się dzieje, co chce, jeżeli księżniczka jest tą dziewczyną, to...

— Goń! — wykrzyknął król Jazos razem z pierwszymi tonami rogu.

Ruszyli. Końce zasłony niczym skrzydła powiały za Atalantą, już pierwszymi susami odsadziła się od Melaniona, rzekłbyś, że jej wąskie, bose stopy nie tykają wcale piasku, nie szybciej biegnie sarna ścigana przez wilczą sforę, nie chyżej spłoszona kozica przesadza skalne upłazy, nikt nie dogoni Atalanty i nie* dogoni jej także Melanion, syn Ojneusa, nieszczęsny zalotnik.

— Ostrzegałem go — westchnął król Jazos, patrząc w ślad za biegnącymi. — Biedny młodzieniec, ale sam tego chciał.

Za chwilę Atalantę i Melaniona zakryły skały, nieźle biega syn Ojneusa, zupełnie nieźle, lecz i tak na pewno za okamgnienie zebrani ujrzą białą zasłonę Atalanty przy głazie w kształcie końskiego łba.

Uderzając skrzydłami o toń, mewy uganiają się za rybim drobiazgiem, słońce nagrzewa ziemię wychłodzoną od zimnego dotknięcia księżyca. Co się stało, że przy dalekiej

skale nie widać Atalanty?

— Skręciła nogę? — Właściwie herold sam nie wie, czy cieszyć się z niezwykłego obrotu rzeczy, czy martwić. Lęka się, że niewczesną radością lub niemądrym smutkiem rozgniewa swego pana, króla Jazosa. — Tylko czemu nie widać na mecie także i księcia Melaniona?

Za osłoną skał. dzieje się coś niezwykłego. Melanion trzyma róg płótna i śmieje się głośno.

— Zaraz cię poznałem. Nie zwiodłaś mnie wcale.

— Zawołałeś za mną: „Melanto".

— Zawołałem, a ty zatrzymałaś się. Zawołałem „Me- lanto-Atalanto", jeżeli mam być dokładny.

— Wolałabym, żebyś mnie zwyciężył, Melanionie.

— Nie potrafię cię pokonać, Melanto-Atalanto. Jesteś szybsza od wiatru.

— Nawet jeżeli udam, że kuleję?

— Jeżeli udasz, pokonam cię z pewnością, ale nie zgadzam się na to. Biegnij do skały o kształcie końskiego łba, Melanto-Atalanto. — Palce Melaniona rozpięły naszyjnik, wyciągnął, ku dziewczynie plecionkę ze złotych liści i turkusowych kwiatów. — Weź to na pamiątkę po mnie i wiedz, że nie będę miał do ciebie żalu.

— Dajesz mi naprawdę swój naszyjnik? — brwi Atalanty zbiegły się w jedną linię, gdy obracała w dłoniach złoty klejnot. — Teraz słuchaj, co ja powiem. Jeżeli nie pobiegniesz pierwszy do skały, usiądę tutaj i będę siedziała tak długo, aż przyjdą wszyscy i dowiedzą się, że pozwoliłam ci się wyprzedzić.

— Nie możesz tego zrobić.

— Mogę i zrobię, jeżeli nie pobiegniesz.

— A ty?

— Nic się nie martw, Melanionie. Wymyślę coś, co będzie brzmiało zupełnie wiarygodnie i co nie zaćmi ani twojej, ani mojej sławy.

Osłaniając oczy daszkami ze stulonych palców, zgromadzeni wpatrywali się w daleki pas białego piasku prowadzący ku skale o kształcie końskiego łba.

— Nic nie rozumiem.
— Chyba nie skoczyli razem do morza?
— Mogli ich porw'ac bogowie. Takie rzeczy już nieraz się zdarzały.
— Chyba należy udać się w tamą stronę i zbadać, co jest przyczyną tej niezwykłej, zaiste, zwłoki.
Już mieli ruszyć całą gromadą, tam gdzie zniknęli Atalanta i Melanion, gdy nagle ujrzeli samotnego biegacza, który dopadł do mety i stanął.
— Wzrok mi już nieco nie dopisuje, ale przysiągłbym, że to Melanion.
— Melanion! Z całą pewnością on!
— Zdumiewające! Gdzie jest moja córka?
— Co się stało z księżniczką?
— Czemu nie widać Atalanty?
— Zwyciężył Melanion!
— Chwała Melanionowi!
— Dzięki bogom, że ktoś wreszcie wygrał, chociaż nic z tego nie rozumiem. Gdzie jest moja córka? Obawiam się, że trzeba będzie jednak unieważnić ten bieg, jeśli skręciła nogę. Mimo wszystko zawody są zawodami i trzeba je traktować poważnie, w zgodzie z przepisami.
Lecz król Jazos może już przestać się martwić o los swej córki, bo oto i Atalanta pojawia się u stóp skały, nie kuleje, sadzi ku niej sarnimi susami, nie dotykając ziemi.
— Muszę wyjaśnić to wszystko — skręcając brodę w postronek, król Jazos podnosi się ze swojego miejsca, jest zdziwiony i nieco przerażony nadzwyczajnym obrotem sprawy, czyżby ten cudzoziemiec posłużył się czarami, by pokonać niezwyciężoną Atalantę? Jeżeli tak, bieg się nie liczy, czary są surowo zabronione.
— To jest Melanion, twój zięć — mówi z uśmiechem Atalanta. — Zwyciężył mnie w uczciwej walce, nie chwytając się podstępów.
— No, no — dłoń króla Jazosa wznosi się ostrzegawczo. — Nie wmówisz nam, moja córko, że zawody odbyły się w zwyczajny sposób. Część drogi jest dla nas niewidoczna, a

właśnie tam rozegrało się coś, czego nie rozumiemy. Ja i wszyscy tu obecni żądamy wyjaśnień, w przeciwnym razie będziemy zmuszeni zarządzić powtórny bieg, z tym, że wyślę za wami obserwatorów.

— Nie ma potrzeby powtarzać biegu.

Atalanta wyciąga przed siebie dłoń, kwiaty z turkusów lśnią między złotymi liśćmi winogradu.

— To jest cała tajemnica. Obejrzałam się do tyłu, by sprawdzić, jak daleko syn Ojneusa został za mną, i spostrzegłam złote lśnienie na piasku. Byłam bardzo ciekawa, co to takiego, więc zawróciłam. Przez ten czas Melanion dobiegł do mety.

— Dziwnie długo kazałaś na siebie czekać, córko.

— Patrz, ojcze, jaki to piękny naszyjnik. Musiałam go przecież przymierzyć i przejrzeć się w wodzie. Każda dziewczyna na moim miejscu zrobiłaby tak samo.

Staremu królowi nie pozostało nic innego, jak uścisnąć Melaniona, syna Ojneusa, i zaprosić obecnych na wieczorną ucztę do pałacu, ucztę, na której nie zabraknie dla nikogo ciemnego wina, jęczmiennego Chleba i młodej baraniny.

— Atalanto-Melanto, czemu pozwoliłaś, by zginęli inni twoi zalotnicy, skoro tak prostym sposobem mogłaś ocalić im życie?

— Melanionie, nie było wśród nich żadnego, dla którego zechciałabym pokalać wargi nieprawdą, oszukać bogów.

— Byli wśród nich dzielniejsi i piękniejsi niż ja, Atalanto.

— Nie zaprzeczę, lecz dla żadnego z nich nie mogłam uczynić tego, co uczyniłam dla ciebie. Zdaje się, że jestem w tobie zakochana, Melanionie.

— Wiem na pewno, że cię kocham, Atalanto-Melanto.

Jeszcze w wiele lat później ludzie opowiadali sobie, że Melanion, syn Ojneusa, zwyciężył podstępem piękną Atalantę, córkę Jazosa. Mówili, że ruszył przodem i rzucał na ziemię błyskotki, które'ukrył w zanadrzu, a królewna wiedziona ciekawością zatrzymywała się 1 podnosiła klejnoty leżące w pyle. Była w tym jakaś prawda, ale nikt nie wiedział o najważniejszym, że *w* chwili rozpoczęcia biegu serce

Melaniona biło dla dziewczyny ujrzanej w blasku ognia, a serce Atalanty uderzało mocno dla syna Ojneusa. I dobrze, że nikt nie wiedział o tym, ostatecznie była to sprawa tylko tych dwojga, która nie należy do legendy, lecz do nich samych.

Ciągle pada deszcz, inny deszcz niż w zimie, chociaż tak samo ziębiący i przenikliwy, ale to jest deszcz wiosenny, kto nie wierzy, może spojrzeć do kalendarza i przekonać się.

Któregoś dnia piszemy wypracowanie o tej wiośnie. Zasmarowałam trzy bite strony wiosennymi nowościami, w których nie zabrakło białych przebiśniegów (z podręcznika przyrody, jeszcze z trzeciej klasy, wiem, że kwitną o tej porze), leszczynowych bazi ani ptaków, które już przyleciały z ciepłych krajów, ani rozpoczęcia prac polowych (o rozpoczęciu prac polowych wiem z dziennika telewizyjnego, pan Zaleski o tym mówił, a na ekranie warczał traktor). Gdybym miała napisać prawdę o zwiastunach wiosny w mieście, mogłabym jedynie wspomnieć o tym, że pojawiła się właścicielka opuszczonego saturatora z wodą sodową, obejrzała zabłocony biały wózek, postała, pomyślała i poszła z po.- wrotem na przystanek autobusowy. I to jak dotąd jest jedynym niepodważalnym dowodem, że wiosna tuż, tuż. Bo nie czuje się jej wcale, stale tak samo bura, deszczowa pogoda, stale to samo niebo szare, wybrzuszone chmurami, posikujące drobnym deszczem.

Jest to najdziwniejsza i najsmutniejsza wiosna w moim życiu, a przyszła po najdziwniejszej zimie, jaką dane mi było przeżyć. Staram się dojść z sobą do ładu, ale dotąd bez żadnych specjalnych wyników.

Być może dla kogoś, kto patrzyłby z boku, wszystko jest najnormalniejsze — wstaję rano, idę do szkoły, notuję, odpowiadam, uważam, wracam, odrabiam lekcje, jem, śpię, chodzę do Agnieszki albo Agnieszka przychodzi do mnie, oglądam filmy, chodzę na zbiórki, stoję przed sklepowymi wystawami, jednym słowem, normalka, szafa gra, komoda

tańczy.

Tylko cały czas — gdy wstaję i gdy się kładę, czytam i jem obiad, paplę o byle czym lub milczę — mam świadomość, że brakuje najważniejszego. Wiem, że najważniejsze odeszło tamtego dnia, kiedy biegłam przez deszcz, miałam wtedy czternaście lat, trzy miesiące i kilka dni, z każdym dniem staję się coraz starsza i każdy dzień jakoś mnie przemienia, czy chcę tego, czy wcale nie chcę.

— Co z tobą Madziu? — denerwuje się mama, kiedy w roztargnieniu sypię sól do herbaty lub znowu wkładam bluzkę tył na przód.

— Stan bliski somnambulizmowi[3] — dogaduje z boku Jurek, w nim też musiała zajść jakaś zmiana, ostatnio najwyraźniej zmienił muzyczne upodobania, zastąpił magnetofon adapterem i raczy siebie oraz nas płytami z Monteverdim, Vivaldim, Cimarosą i fugami Jana Sebastiana.

Mży i mży, czasem przestaje, wtedy na krótko wytacza się niechętnie słońce, poświeci krzywo, bez przekonania i zaraz chowa się z powrotem, a ja pomagam losowi lub, określając to dokładniej, staram się naprawić tamten dzień, który pamiętam chwila po chwili. Gdyby zaszła potrzeba, mogłabym opowiedzieć o najdrobniejszych szczegółach, bo pamiętam wszystko, nawet białego konia ciągnącego wóz pełen blaszanek z mlekiem i to, co powiedział sprzedawca o braku części, i kosmyk mokrych włosów na czole Wieśka.

Pomagać losowi — znaczy spotkać się z Wieśkiem. Niby przypadkiem przechodzę po czterdzieści razy dziennie pod jego blokiem, chytrze podpytuję dziewczyny, czy go czasem nie widziały, z własnej i nieprzymuszonej woli chodzę do budki po kartofle, kiszoną kapustę i włoszczyznę, posunęłam się nawet do spaceru pod budynek liceum.

To nie znaczy wcale, że go nie widuję, trudno jest mieszkać na jednym osiedlu i nie spotykać się zupełnie. Mijamy się na chodnikach, przy kiosku „Ruchu”, przy siatce otaczającej szkolne boisko, on rzuca „cześć”, ja mu odpowiadam „cześć”,

3 Somnambulizm — nieświadome wykonywanie we śnie różnych czynności.

i tyle. Agnieszka utrzymuje, że znalazł sobie dziewczynę w swojej klasie, widziała ich razem w kinié na ,,Podwodnej odysei". Nie mogę o tym myśleć, choćiaż co mnie to właściwie obchodzi, że jakiś Wiesiek z pierwszej licealnej znalazł sobie nową dziewczynę?

Na dobrą sprawę nigdy nie byłam dziewczyną Wieśka, teraz wiem z opowiadań koleżanek, jak to jest, gdy się ze sobą chodzi, Agnieszka twierdzi, że Piotrek prawie płakał, jak mu powiedziała, że pożyczyła książkę od Wojtka, chłopak Kaśki napisał do niej list krwią z serdecznego palca, ten list widziałam na własne oczy, to na pewno nie był czerwony flamaster, to była najprawdziwsza krew, Maciek odrabia za Jolkę zadania z matematyki, bo ona tego nie lubi. A co dla mnie zrobił Wiesiek, jeśli w ogóle jest prawdą, że była taka chwila, kiedy chciał, abym była jego dziewczyną?

Nie było takiej chwili. Czasami sądzę, że wymyśliłam sobie całą tę historię z Wieśkiem, od spotkania na zabawie i bibułkowego maku aż do deszczowego dnia wśród niskich domków na pustej uliczce. Ale po co to sobie wymyśliłam? Ostatecznie, jeżeli już koniecznie musiałam, mogłam skomponować coś weselszego i bardziej do sensu, coś takiego, czym mogłabym się mimochodem pochwalié, że i dla mnie ktoś napisał wiersz, że ktoś po to, by mnie zobaczyć, stał dwie godziny na schodach, że...

Faktem niekwestionowanym jest, że to ja właśnie stoję na schodach, przybierając pozór osoby, która szuka jakiegoś mieszkania. Na odgłos czyichś kroków lub skrzypnięcia drzwi zaczynam odwrót, mam nawet przygotowane wcale zręczne wyjaśnienie, gdyby za tymi krokami czy skrzypem drzwi krył się Wiesiek. W tym domu mieszka taka jedna piegowata, z piątej, ktoś mi powiedział, że to ona podniosła długopis, który zgubiłam, bardzo dobry długopis. Piegowatą z piątej, o mało sprecyzowanym rysopisie i nieznanym imieniu, wymyśliłam tak samo, jak zgubiony długopis. Niestety, moje oczekiwania są bezskuteczne. Na próżno odwiedzam schody.

Najstraszniejsze jest, że wiem, wiem doskonale — to nie ma sensu. Nie powinnam pętać się po osiedlu, nie powinnam

kręcić się po obcych schodach, nie po- Iwinnam czuć rumieńca zalewającego policzki, a nawet czoło, gdy z daleka mignie znajoma granatowa kurtka, taka sama, jaką nosi Wiesiek, a którą, jak się okazuje, nosi co trzeci chłopak, nie powinnam mieć głupich snów. Nie powinnam być nieszczęśliwa. Ale jestem.

Zdaję sobie doskonale sprawę, że powinnam o Wie- śku zapomnieć jak najdokładniej, tak, abym mogła prawie z czystym sumieniem twierdzić, że go sobie nie przypominam. Wiesiek? Aha, już wiem, ten z liceum, w którym bujała się Agnieszka, ten, który ma wyścigowy rower — to jest właśnie dokładnie tyle, ile po- twinnam pamiętać. Może mam za dobrą pamięć, a może po prostu jestem niemądra, żeby nie powiedzieć zwyczajnie, głupia.

— Mogłabyś chodzić z Robertem albo z Jackiem — instruuje mnie po koleżeńsku Agnieszka. — Zobacz sama, jak Jacek się na ciebie gapi, na każdej lekcji gapi się jak cielę na malowane wrota. Piotrek mi opowiadał, że on narysował twój portret, nawet podobny, w podręczniku fizyki. Jakbyś chciała, to Piotrek nam przyniesie ten podręcznik.

Nie mogłabym chodzić ani z Robertem, ani z Jackiem, bez względu na to, na kogo Jacek patrzy w czasie lekcji i co lub kogo rysuje w podręczniku fizyki. Na całym świecie istnieje dla mnie tylko jeden chłopak i ten chłopak ma na imię Wiesiek, chłopak od bibułkowego maku, od jabłka, od umalowanej twarzy, od moich łez, od radości, od uciekania, od deszczu, Wiesiek, jednym słowem.

Całe strony w moim brulionie szkolnym zasmarowu- ję ostatnio zdaniami i ocenami, które wydają 'mi się mądre i znaczące. Przepisuję je z książek, wsławiam z przypadkowo usłyszanych słów, wymyślam sama. „Mówi się trudno i żyje się dalej", „Życie jest brutalne", „Miłość zawsze zakłada różowe okulary" (to z Prusa), „Raz tylko jest się młodym", „Prawdziwa miłość jest rzadka, wszyscy o niej mówią, mało kto ją widział", „Myślę, więc jestem", ^Błądzić jest rzeczą ludzką", „Miłości i kataru nie można ukryć przed wzrokiem innych", „Nie trzeba się w nikim zakochać, bo..." (to

wymyśliłam sama, niestety, bez drugiego członu, chociaż oczywiście wiem doskonale, co powinno nastąpić po „bo").

— Już tak jest — klaruje nam Beata podczas dużej przerwy, gdy przechadzamy się statecznie między kras- nalowatymi pierwszaczkami i ławicami drobnicy z czwartych klas. (Ta mała dziewczynka jest podobna do Pipi z telewizyjnego serialu, ma takie same piegi i zabawne, szerokie zęby, za duże w stosunku do drobnej buzi, niemożliwe, żebym kiedykolwiek była taka smarkata, jak ta dziewczynka.) — Jeśli okazujesz, że ci zależy na chłopcu, nic z tego nie będzie, jak na niego kichasz, to będzie za tobą latał.

Przemawiając do nas Beata podkreśla mocno swoją dorosłość i doświadczenie, w kosmetyczce ma cały plik zdjęć, Agnieszka utrzymuje, że Beata prowadzi listę, ma już na niej zanotowane dziewiętnaście nazwisk.

I głos Beaty, i jej dobre rady są nie do zniesienia, przynajmniej dla mnie. Gdybym była chłopcem, nigdy bym nie ofiarowała jej swojej fotografii.

— Ja tylko na początku jestem miła, kiedy się z kimś zapoznam — ciągnie dalej Beata. — Potem nie mam czasu albo mówię, że muszę spotkać się z kimś innym, czasami nawet przychodzę z drugim chłopcem na umówione miejsce. Jeśli tak będziecie robiły, jak ja, każdy chłopak musi za wami latać.

Na pewno Beata wie, co nam doradza, pod mankietem fartucha dzwonią cichutko cienkie, srebrne bransoletki, kiedy przyjrzeć się lepiej, widać, że rzęsy Beaty są umalowane, o, proszę, źle się dzisiaj upudrowała, przy nosie coś wyraźnie się łuszczy beżowymi grudecz- kami, fartuch Beata ma też niezwyczajny, niby na pierwszy rzut oka najzwyklejszy w świecie, szkolny fartuch, ale naprawdę jest zupełnie inny, materiał odmienny i szycie nie takie, jak tych naszych, zdjętych prosto ze sklepowej półki. Może Beata ma rację, może jest mądrzejsza i doroślejsza niż ja, może jest godne zazdrości, że robi to, na co ma ochotę, drobiazg, pięć dwadzieścia, jak mawia czasem mój brat. Ale gdy słucham Beaty, czuję bunt, chociaż skądinąd wiem, że jestem

„Miłości i kataru nie można ukryć przed wzrokiem innych."

„Miłość zawsze zakłada różowe okulary."

Prawdziwa miłość jest rzadka, wszyscy o niej mówią."

„Myślę więc jestem."

„Życie jest brutalne."

„Błądzić jest rzeczą ludzką."

„Mówi się trudno i żyje się dalej."

„Nie trzeba się w nikim zakochać. Bo..."

nieważna, niedorosła i do niczego.

— A co robisz, jeśli ktoś nie chce za tobą latać? — pytam najniewinniej, bez nacisku.

— Znajdzie się inny. A w ogóle gdybym naprawdę chciała, to sobie poradzę.

— Po co?

— Po to — objaśnia nam łaskawie Beata, ma jednak niemądry wyraz twarzy, widać zadałam jej pytanie, nad którym nigdy się nie zastanawiała. — Normalnie.

Zdaje się, że wiem, czego chciałabym się dowiedzieć.

— Jakbyś szła do kina, to wolałabyś, żeby z tobą poszedł Rajmund czy Marek?

— Oni są z naszej klasy — krzywi wargi dla zaznaczenia pogardy, ci jej chłopcy ze zdjęć chodzą do technikum, liceum, jeden podobno jest nawet na studiach (w to nikt nie wierzy).

— Ale powiedz, Marek czy Rajmund?

Beata patrzy na mnie ze zdziwieniem.

— No, ostatecznie... — marszczy się w namyśle.

Już odgaduję, odpowie, że Rajmund. Rajmund jest barczysty, wysoki, długowłosy, nosi frymuśną wiatrówkę z patkami, nalepkami, z długim, błyszczącym suwakiem, rozprawia o płytach i taśmach, w niedzielne ranki biega na Rynek Mariensztacki, gdzie przeprowadza skomplikowane transakcje, za płytę z nagraniem Elli Fitzgerald dostaje trzy inne, te trzy inne wymienia na taśmę z Duke Ellingtonem, tę taśmę.... Marek jest inny. Trudno powiedzieć, jak wygląda, bo w zasadzie nie wygląda nijak, niski, jasny, trochę za drobny na swoje czternaście, nie, piętnaście lat, można przejść obok niego i nie zauważyć. Ale w klasie, W drużynie widzi się raczej Marka niż okazałego Rajmunda, to znaczy, nie widzi się wcale, tylko ważne, że Marek jest, a Rajmund mógłby być albo nie być i nic by to nie zmieniło.

— No, ostatecznie... — kończy Beata. — Jasne, że poszłabym z Rajmundem.

— Dlaczego?

— Jakoś wygląda.

— Czy to ważne?

— Jasne.
— Zawsze?
— Zawsze — odrzuca Beata tonem wielkiej pewności. — Chłopcy też tak samo uważają. — Zmierzyła mnie, Agnieszkę, Kaśkę i inne uważnym spojrzeniem. — Jeżeli'mi nie wierzysz, możemy sprawdzić. Chcesz?
— Jak?
— Urwij się z domu, choćby dzisiaj wieczorem.
— Po co?
— Pojedziemy pod „Hortex", ten przy domu towarowym „Sezam". Już chwytasz?
Nie chwytałam, ale nie mogłam się przyznać do swojej ignorancji.
— Pójdziesz z Agnieszką, a ja z Moniką. — Monika była z równoległej siódmej, na przerwach prowadzały się z Beatą, chichocząc, objęte wpół. — Wtedy się przekonasz.
Mogłam oczywiście odrzucić mało zrozumiałą propozycję Beaty, oświadczyć, że po pierwsze, nic mnie to wszystko nie obchodzi, po drugie, nie mam czasu, a po trzecie, znam ciekawsze spacery niż pod „Hortex" — i najnieoczekiwaniej kiwnęłam głową. Dobrze, będę.
O osiemnastej? Będę na przystanku o osiemnastej.
— Magdzioł, może lepiej nie jedźmy? — Agnieszka była zaskoczona moją decyzją. — Wiesz, jaka jest Beata...
— Pojedziemy właśnie dlatego, że wiem. — Zatrzymałam się i stojąc dokładnie w połowie drogi między naszym blokiem a blokiem Agnieszki (po lewej ręce murek piaskownicy, ten sam, przy którym we wrześniu spotykali się Milena i Wiesiek), powiedziałam bardzo głośno i bardzo wyraźnie: — Chcę zrozumieć. Pamiętasz, jak byłaś na moich urodzinach z... Wieśkiem?
— Pamiętam.
— On przyszedł z tobą, ale cały czas tańczył z Beatą. Było tak?
— Było — przyznała mi rację Agnieszka, najwyraźniej wspomnienia jej mocno już zbladły, teraz Agnieszki nie oburzała już zdrada Wieśka ani fałsz Beaty, co nie znaczyło

wcale, że jeżeli ona zapomniała, to i ja mogłam zapomnieć. Niczego nie zapomniałam.

— Więc trzeba się dowiedzieć — zakomunikowałam surowo, nie powiedziałam tylko, czego się muszę dowiedzieć, Agnieszka nawet bez tego wyjaśnienia wyglądała na przekonaną.

W autobusie Beata wyjaśniła nam nieskomplikowane reguły gry. Możemy z Agnieszką stać albo spacerować; jeżeli wolimy pod „Hortexem", niech będzie pod „Hortexem", ona z Moniką pójdą wtedy pod „Juniora" albo do pasażu za domami towarowymi, chyba że my chcemy pójść do pasażu albo przed „Juniora". Z zegarkiem w ręce mamy trzydzieści minut. Po trzydziestu minutach spotykamy się przed kinem „Relax", ci chłopcy, których poznamy, muszą przyjść z nami. To wszystko.

— Aleś ty cielę! — z pogardą skwitowała mój osłupiały wyraz twarzy. — Możesz nie odpowiadać, jak cię izaczepią. Nie odpowiesz, to znaczy, że chcesz, aby się odczepili, odpowiesz, znaczy, że chcesz się zapoznać!

— Wiem wszystko, co trzeba — przerwałam tyradę Beaty. — Nie musisz mi tłumaczyć.

Na chodnikach stały całe tłumy chłopaków, gadali ze sobą, żuli gumę i zaczepiali przechodzące koło nich dziewczyny. Dziewczyn też było dużo, krążyły po dwie, po trzy, po cztery, przystawały przed wystawami, gapiły się na manekiny o czarnych twarzach i konopnych, zmierzwionych włosach, na dekoracyjnie upięte festo- ny kwiecistych tkanin, na pantofle czerwono-fioletowe, .amarantowo-żółte i zielono-pomarańczowe, wyglądające tak, jakby każdy z nich był z lewej nogi i już sterany życiem mimo nowości kolorowych lakierów, podziwiały zestawy kosmetyków, torebki z dermy, pończochy na obciętych nad kolanami nogach, nie wiadomo czemu polakierowanych na złoto. Te dziewczyny były bardzo zajęte oględzinami, niektóre z nich lizały lody, chociaż wieczór był chłodny, zupełnie nie wiosenny.

— Za pół godziny — przypomniała nam Beata i odeszły razem z Moniką, zagadane, spokojne spokojem stałych

bywalczyń.

Ja denerwowałam się strasznie, mam wrażenie, że Agnieszka także, ale starannie to ukrywała.

Największą chęć miałam teraz na powrót do domu, lecz gdy wspomniałam lekceważącą pewność siebie Beaty, te historie o chłopcach, plik zdjęć i tusz na rzęsach, gdy pomyślałam o swojej klęsce i o tym, że nigdy już Wiesiek nie nazwie mnie małą i nie zaproponuje, żebyśmy razem poszli po łańcuch do roweru, poczułam się wyzbyta niepokoju i peina zdecydowania. Ostatecznie, co się takiego stanie, jeżeli spróbuję swoich sił? Mama często powtarza na moje „nie umiem", że jak czegoś nie spróbuję zrobić, to się nigdy nie dowiem, czy umiem,- czy nie umiem.

Pokręciłyśmy się z Agnieszką przed wysokimi szybami witryn, później nie tyle poszłyśmy, ile powlokłyśmy się noga za nogą wzdłuż „Sezamu".

— Lala, but ci się rozwala .— wypowiedziano za nami.

Ich było także dwóch, takich sobie, ósma klasa, może trochę starsi, żółta wiatrówka i wiśniowa wiatrówka, ten w wiśniowej miał nad wargą cień wąsów.

A więc to byli chłopcy, którymi miałyśmy pognębić Beatę, w porządku, mogą być.

— Pilnuj własnych pepegów — odrzuciłam.

Ruszyli ku nam, żółta wiatrówka, wiśniowa wiatrówka.

— Na żartach się nie znacie?

— Kto ci powiedział, że się nie znamy? — Teraz zabrała głos Agnieszka.

— Z kabały mi wyszło, bo wino przy dzwonku leżało.

Tkwiliśmy naprzeciwko, ja z Agnieszką i oni dwaj. Nie miałam pojęcia, co teraz należało powiedzieć albo zrobić.

— Można by bilety skombinować, jakbyście chciały pójść do kina. — To ten w wiśniowej. A ten w żółtej: — Niekiepski film, dwa razy byłem, ale i trzeci się przejdę.

— Jaki?

— „Potop".

— Byłyśmy.

— My też, ale można jeszcze raz.

— Nie, dziękujemy.

Cały trud rozmowy z nieznajomymi przypadł właściwie Agnieszce, nawet nieźle jej to szło, nie podejrzewałam cichego Paprocha o taką śmiałość, gadała z tymi chłopakami, jakby ich znała od stu lat.

— Lody byście zjadły?

— Za chłodno. Nie mamy ochoty.

— A my forsy — obaj roześmieli się z udanego dowcipu, ten w wiśniowej wyciągnął rękę. — Zapoznajmy się. Dariusz.

— Zbyszek — zawtórował ten w żółtej.

Wymieniłyśmy i my imiona.

— Z podstawówki?

Już miałam potwierdzić, gdy usłyszałam odpowiedź Agnieszki:

— Z ogólniaka.

Nawet jej głos nie drgnął.

— Ja też z ogólniaka, Zbyszek jeszcze z podstawowej. Z ósmej. Za dwa miesiące kończy. — Tu wiśniowy utknął, wydawało mi się, że oni, tak jak ja, nie bardzo wiedzą, co trzeba dalej mówić i robić, i też by najchętniej stąd uciekli.

Na szczęście Agnieszka pamiętała o najważniejszym.

— Musimy się spotkać z koleżankami, dwa kroki stąd. Chodźcie z nami, nie będziemy przecież tak stać.

Niestety, znowu staliśmy, teraz już pod „Relaxem", ponieważ sukces Agnieszki i mój przyszedł zbyt prędko, nie minęło jeszcze umówione pół godziny. Coś tam nawet mówiłam, ten w wiśniowej opowiedział strasznie stary kawał o tonącym statku, papudze i igle, której woda zalała uszko, sam śmiał się najgłośniej, ten w żółtej mu wtórował.

Wreszcie zjawiła się Beata, bez Moniki, wyraźnie wściekła. Cały czas się bałam, że będziemy teraz musieli gdzieś pójść, ale ani ten wiśniowy, ani ten żółty nie przejawiali żadnych w tym kierunku chęci, im, jak nam, też się spieszyło, lekcje i tak dalej, nie wspominając już o tym, że pewnie mieli wyznaczoną godzinę powrotu do domu.

— Cześć — pożegnali nas na przystanku.

Zbyszek, ten w żółtym, zapytał, czy jutro też przyjdziemy,

oni będą na nas czekać, Agnieszka pokręciła głową, że pewnie nie będzie mogła. No i koniec wielkiego turnieju o tytuł podrywaczki roku.

— Też macie pomysły, zadawać się z takimi smarkaczami! — syczała Beata jak podrażniony wąż.

Mówiąc językiem mego brata (skądinąd wielbiciela boksu), Beata odkryła się i Agnieszka mogła strzelić celną kontrą.

— Wiesiek, z którym byłam u Magdy, wcale nie jest starszy, a ty podwalałaś się do niego. Może powiesz, że nie?

— To było dawno i nieprawda — odparowała Beata.

Nie włączałam się do tej rozgrywki. To, co mówiłam przedtem Agnieszce, namawiając ją na wyprawę pod „Hortex", było tylko częścią prawdy. Zgodziłam się na te wygłupy, bo wydawało mi się, że w ten sposób upodobnię się do Beaty, a to pozwoli mi zapomnieć. Chłopcy, których fotografie pokazywała Beata, przesuwali się z szybkością meteorów, we wtorek nazywali się: Paweł, Marcin czy Julek, w środę mogli nosić imiona: Rajmund, Jarek, Wojtek, w piątek — Atanazy, Polikarp, Dezydery czy jakkolwiek inaczej. Coś podobnego zdarzyło się i Agnieszce — po epoce Wieśka, krótkiej, gwałtownej i burzliwej, niczym groźny sztorm nastąpiła era Wojtka, by obecnie marzenie mojej drogiej koleżanki mogło się nazywać Piotrek. Ja też chciałam poznać ten sekret, usiłowałam wysondować w rozmowach z Agnieszką, jak zrobić, żeby zapomnieć, wymazać to, co było, móc bez drżenia minąć długowłosego ciemnego chłopca w granatowej kurtce. Bez drżenia i bez tego głupiego rumieńca, bez idiotycznego dławienia w gardle, bez przesadnej sztywności kroków.

Było jeszcze coś ważnego. Ciągle nie wiedziałam, czy można się we mnie zakochać. Nie wierzyłam w opowieści o spojrzeniach Jacka, o tym portrecie narysowanym na tytułowej stronie podręcznika fizyki. To mogły być tylko próby pocieszenia mnie. Po okresie wzajemnej niechęci Agnieszka okazywała mi coś w rodzaju współczucia, aż czasem myślałam, że ona wszystkiego się domyśla... Ale to niemożliwe, chyba umiałam dobrze konspirować moje

niemądre uczucie, przynajmniej mnie się wydawało, że umiem. Zazdrościłam Beacie, Agnieszce, Kaśce, Jolce, bo one już wiedziały i nie musiały cierpieć na coś, co Jurek zwykł określać terminem: kompleks niższości.

W czasie tej wyprawy okazało się, że znalazł się ktoś, kto uznał, że warto nas zaczepić. Chociaż to w dalszym ciągu nie rozwiewało moich wątpliwości, magnesem mogła być przecież Agnieszka, a ja — tylko towarzyszącą jej brzydulą. W sumie ta cała historia była kretyniczna i najlepiej byłoby, gdyby nie wydarzyła się wcale. Serdecznie żałowałam tych dwóch, Darka i Zbyszka, biedni, stoją tam codziennie i wydaje im się, że nagle z obłoków spłynie najcudowniejsza dziewczyna na świecie (albo lepiej dwie najcudowniejsze dziewczyny na świecie) i pójdzie z nimi trzeci raz na „Potop" do kina „Relax" (może nie po raz trzeci, ale drugi na pewno, bo raz już niewątpliwie była). I siebie też żałowałam, i Agnieszki, nawet Beaty, to za głupie, żeby mogło być śmieszne.

Przy tym wszystkim fakt pozostawał faktem, to my, Agnieszka i ja, zdystansowałyśmy Beatę i Monikę. Nie dowiedziałam się, dlaczego Monika zniknęła, a Beata popadła w zły humor, ale to my sprowadziłyśmy na umówione miejsce nowo poznanych chłopców i zgodnie z regułami — wygrałyśmy. Może nie pomyślałabym o tym, ale Agnieszka była zdania, że utarła nosa Beacie, i szeroko skomentowała ten fakt, gdy zostałyśmy same.

— I ona wcale nie jest ładna — oświadczyła bezlitośnie. — Ja jestem ładniejsza. Gdybym miała takie ciuchy i gdybym się malowała, tobyś zobaczyła.

W twierdzeniu Agnieszki było coś nieomal bluźnierczego, przyzwyczaiłam się do myśli, że Beata jest najładniejsza w naszej klasie. Usłyszany przed chwilą sąd wydał mi się równie bezpodstawny, jak bezpodstawne byłoby twierdzenie, że Mount Everest wcale nie jest najwyższym szczytem świata, bo najwyższym szczytem świata jest Barania Góra, tylko że nikt o tym nie wie poza garstką wtajemniczonych.

Agnieszka nie poprzestała na tym jednym biuźnierstwie.

— Ty też jesteś ładniejsza od Beaty. Czego się dziwisz? Jest tak, jak mówię.

Agnieszka wyraźnie starała się podtrzymać mnie na duchu. To, rzecz jasna, nie przyszło tak zaraz, boczyłyśmy się na siebie, potem role odwróciły się, przestałam być tą zbuntowaną i mądrzejszą (w swoich ocz&ch przynajmniej) i przyjęłam coś w rodzaju opieki Agnieszki, która trochę mi wprawdzie dokuczała, ale tak naprawdę starała mi się wytłumaczyć, że nie ma czym się przejmować i że wszystko jest dużo mniej skomplikowane, niż przypuszczam. Zrodziła się jakaś nowa przyjaźń, zupełnie inna niż tamta, dawniejsza, o ile to, co istniało obecnie między mną a Agnieszką, w ogóle można nazwać przyjaźnią. Po prostu — byłyśmy sobie nawzajem potrzebne. I przypuszczalnie dlatego Agnieszka chciała mi wmówić, że jestem podobna do ludzi...

Wracając do domu, przeszłam jak zwykle pod blokiem Wieśka, wolno, wolniuteńko, żebym się mogła zatrzymać na jego widok. Jeszcze bardziej pragnęłam go spotkać niż każdego innego dnia. Ciekawe, co by powiedział, gdybym się przyznała, że pojechałyśmy na podryw i poznałyśmy dwóch chłopców, którzy jutro będą na nas czekać? Czułam się winna, winna wobec niego i chociaż ta moja wina nie mogła go ani ziębić, ani grzać, czułabym się o wiele lepiej, gdybym jemu, właśnie jemu, mogła to wszystko opowiedzieć.

— Madziu, proszę tutaj.

Ton ojca nie wróży nic dobrego.

— Chciałbym wiedzieć, Madziu, co oznacza twoje wystawanie pod domami towarowymi? Proszę nie zaprzeczać, widziałem cię. Ciebie i tę małą, jak jej tam... Agnieszkę.

Jest to nieoczekiwane jak grom z jasnego nieba. Stare przysłowie mówi, że biednemu zawsze wiatr w oczy Jurek zwykł to wyrażać porzekadłem, że biedny i na ptysiu ząb złamie. W jaki sposób tata mógł mnie zobaczyć akurat w tej krótkiej „półgodzinie", kiedy mierzyłam swoje siły z Beatą?

— Tak się złożyło, że autobus dosyć długo stał na przystanku i mogłem was obserwować przez kilka minut.

Było mi po prostu wstyd, że jesteś moją córką.

— Zaraz... zaraz... — z kuchni pojawia się mama przerażona słowami ojca. — Co się właściwie stało? Co Madzia takiego robiła?

— Niech ci sama powie!

— Madziu...

— Spacerowałam z Agnieszką, mamo.

— Spacerowała, spacerowała — parsknął z drwiną ojciec. — Wlokły się krok za krokiem i oglądały za każdym mijającym je chłopakiem, o tak — ojciec pokazuje mamie, jak się oglądałyśmy. — Po prostu, jakby miały głowę na sprężynie. Z pewnością czekały, żeby je ktoś zaczepił.

O Boże, że też ojciec odgadł prawdę! Czy to rzeczywiście mogło tak wyglądać?

— Madziu...

— J.a... — zgubiłam się, zająknęłam; rozumiejąc, że powinnam z oburzeniem zaprzeczyć, nie umiałam wykrztusić tego zaprzeczenia.

— Nie będziesz więcej wychodziła z Agnieszką — zamyka kwestię ojciec. — Stwierdzam, że coraz mniej mi się ona podoba jako towarzystwo dla ciebie. To są skutki braku opieki w domu, matka pracuje, a dziewczyna robi, co jej się podoba.

— Nieprawda!

— Teraz ja mówię. Nie pozwalam na koleżaneczki, które namawiają cię na takie eskapady. Przy pierwszej okazji pogadam z matką tej Agnieszki. Praca pracą, ale wychowanie własnego dziecka też powinno być ważne!

Twarz mamy blednie, słowa ojca skierowane przeciwko nieobecnej matce Agnieszki . są równocześnie atakiem na moją mamę.

Odzywam się zdecydowanie, bez złości, jakbym komunikowała coś najzwyczajniejszego:

— To ja wyciągnęłam Agnieszkę.

— Madziu, co ty opowiadasz?

— Ja. Słowo honoru.

— Czekaj... chciałyście pewnie coś kupić, prawda? — biedna

mama w pewnym sensie wskazuje mi furtkę, którą mogę uciec w razie potrzeby. — Czasami coś wygląda, no... wygląda zupełnie inaczej, ale nie ma żadnych powodów, żeby...

— Ja ją wyciągnęłam — powtarzam z uporem, broniąc honoru Agnieszki, która mimo wszystko jest jednak moją przyjaciółką, a przynajmniej jej jedynej na całym świecie przysługuje to miano.

— Tym gorzej — odparowuje ze złością ojciec. — Jeszcze jeden powód, dla którego należy skończyć tę przyjaźń. Tobą zajmiemy się sami.

— Ja nic nie rozumiem — wierzchem dłoni mama pociera czoło. — Czy chodzi o to, że Madzia pojechała bez opowiedzenia się?

— Gdybyś widziała te miny, te uśmiechy — palec ojca mierzy oskarżycielsko we mnie. — Gdybyś widziała, nie musiałabyś pytać, na czym polega wina Magdy.

— Madzia nigdy by się nie zgodziła na przypadkowe zaczepki. Prawda, Madziu, że nie zgodziłabyś się?

Sama nie wiem, jaki diabeł mnie kusi do powiedzenia prawdy, i rąbię tę prawdę:

— Ja tam po to pojechałam.

— Na litość boską! Po co?

— Żeby się z kimś poznać.

— Z kim?

— Wszystko jedno. Z kimkolwiek.

Mama opuszcza bezradnie ręce, ojciec kamienieje na swoim fotelu.

— Nigdy w to nie uwierzę — szepcze mama.

— Tak było, tak było! — prawie krzyczę, żeby mi uwierzyli. — Tak było!

Jestem zupełnie pewna, że teraz powinna zacząć się awantura, którą sprowokowałam, nie bardzo zresztą rozumiejąc dlaczego. Ale to nawet dobrze, że się zacznie, ostatecznie możemy sobie wreszcie coś prawdziwego powiedzieć. Ja i oni. Nagle bowiem zdaję sobie sprawę, że mam żal do rodziców. Była ta Jurkowa sesja, nowy dyrektor u ojca i reorganizacja u mamy, ja razem ze swoimi sprawami

zostałam usunięta w cień. Mama nawet nie wie, że jestem zakochana. Oni nie wiedzą, bo nie chcą wiedzieć, bo ich nie obchodzę. Gdybym obchodziła, przynajmniej mama musiałaby się czegoś domyślić.

— Smutne, że tak było — gestem ręki ojciec pokazuje, żebym wyszła. — Bardzo smutne.

W ustach czuję gorycz, chciałabym się rozpłakać, ale oczy pozostają suche, chociaż pieką mnie, jakby ciśnię- to w nie garść piasku. W pokoju, gdzie pozostali rodzice, panuje cisza, w końcu odzywa się mama:

— Kiepski program.

— Tak, takie ni to, ni sio. Dużo pretensji do czegoś nadzwyczajnego, w sumie niewypał.

— Nie lubię programów rozrywkowych.

— Trudno po pracy czytać „Króla Ducha". Czy można dzisiaj wcześniej prosić o kolację? Mam jeszcze sporo roboty.

Tak skwitowali moją minutę prawdy. Czuję się zlekceważona i odepchnięta. Gdybym ich obchodziła, rozprawialiby teraz, przyciszając głos, jak trzeba mnie ukarać, żeby zapobiec na przyszłość takim wydarzeniom. A tu nic poza: „to bardzo smutne".

Rozstawiam tapczan i kładę się, odpłynęło gniewne uniesienie i pozostał żal, żal, że nikt się mną nie martwi, że nikogo nie obchodzę, żal, że straciłam Wieśka, że go nie mogę spotkać, choć bardzo chcę, żal z powodu tych wszystkich kwadransów przestanych na schodach, chwil spędzonych przy oknie z nosem przyklejonym do szyby, bicia serca, głupich snów, niepotrzebnych wyznań w myślach. Tak, jestem nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza na całym świecie, gdybym w tej chwili umarła, nikogo by to specjalnie nie obeszło. Wiesiek by nawet nie wiedział, że już nie żyję. Co go to wreszcie obchodzi, czy ja jestem, czy mnie nie ma?

Od tego żalu łzy zaczynają mi same płynąć. Mam wrażenie, że zabłądziłam na jakąś bezkresną równinę, step nie step, pustynię nie pustynię, spowitą w szarej mgle, mgła unosi się z ziemi, zatapia wszystko, nie wiadomo, czy istnieje w tej pustce coś oprócz mnie, nie mogę stąd nigdzie uciec, zostanę

w tej szarości, która otacza mnie zewsząd.

— Czemu taki minorowy nastrój? — Jurek wrócił od swoich ważnych, dorosłych spraw, którymi wszyscy są równie przejęci, jak on sam.

— Nie ma minorowego nastroju. Madzia jest u siebie. Proszę nie brać wędliny palcami z talerza, zaraz będzie kolacja.

Z piskiem uchylają się drzwi.

— Magdzioł, jakie misteria odprawiasz w tych egipskich ciemnościach?

Na to rześkie pytanie odpowiadam przyciszonym szlochem, staram się nie płakać, ale chęć płaczu jest silniejsza ode mnie.

— Co za tragedia, jak rany! Dziewczyno, czego ryczysz? Mamo, co ją znowu ugryzło?

— Mam wrażenie, że Madzi doskonale zrobi sam na sam ze sobą w dzisiejszy wieczór. Daj jej spokój.

— W porządku. Daję spokój.

Z tym samym piśnięciem drzwi zamykają się, by zostawić mnie z moją rozpaczą i żalem, skuloną na tapczanie w ciemnym pokoiku.

— Przyniosłem dla ciebie ten artykuł, Jerzy. Powinien cię zainteresować.

— Dziękuję. Przejrzę go jeszcze dzisiaj.

— Dobierz kiełbasy. Udało mi się dostać krakowską, ty ją lubisz.

Rozmawiają sobie najzwyczajniej — na tle szczęku sztućców, podzwaniania łyżeczek, w kuchni gwiżdże czajnik, znak, że woda już wrze.

— Doskonała jest ta holenderska herbata, ale cena horrendalna.

— Cóż, raz można sobie pozwolić na szaleństwo.

— Widziałam dzisiaj w delikatesach sosy majonezowe. Cena powyżej stu złotych za niewielki słoiczek. Ciekawa jestem, kto może sobie na coś takiego pozwolić.

— Pewno nikt. Nie martw się, mamo. Przecenią je na dziesięć złotych i wtedy zaspokoisz ciche marzenie.

— W pierwszym rzędzie ty zostaniesz poczęstowany tym przecenionym majonezem.

— Koszty pogrzebu też są wysokie — odpowiada Jurek z pełnymi ustami. — Niewarta skórka wyprawki.

— Jurek, bez takich dowcipów, proszę.

Jest im wesoło i dobrze, kiedy jedzą kolację beze mnie, nie przyjdzie im nawet do głowy, żeby zajrzeć, co robię.

Już wypłakałam wszystkie łzy, które miałam do wypłakania, złodziejsko podkradam się do okna i jak każdego wieczoru — szukam znajomego jasnego prostokąta. Teraz już wiem, które to okno; nie, nie okno, okna, tyle samo okien, co w naszym mieszkaniu, z tej strony dwa i jeszcze trzy z tamtej, niewidocznej.

Te dwa, które widzę, są takie jak wszystkie, zazdrośnie odgrodzone zasłonami przed ciekawym wzrokiem, jasne w tej wieczornej godzinie. Co on robi? Ogląda telewizją? Uczy się? Czyta? Albo tak jak ja stoi przy oknie i myśli o czymś własnym?

A może wcale go nie ma, bo się umówił z tą nową dziewczyną, z którą widziała go Agnieszka, i do tej nowej dziewczyny mówi „mała", a ona nie obraża się wcale, tylko się śmieje. Dlaczego nie potrafiłam się śmiać, nie, nie śmiać, ale chociaż uśmiechać. Gdybym się potrafiła uśmiechać, nie płakałabym dzisiejszego wieczoru. Gdybym wierzyła w siebie, nie musiałabym podpatrywać tajemnic Beaty, szukać recepty na dorosłość. Coś jest nie tak, to wiem na pewno, nie znoszę siebie, jestem do niczego. Nie mam pojęcia, co zrobię, ale to będzie coś strasznego. Jeżeli wszystko przegrałam, nie mam po co żyć.

„Puknij się w czaszkę" — proszę siebie samą. Nie jutro, to pojutrze, popojutrze, za tydzień spotkam Wieśka. Może się zmienił. Jeżeli ja jestem inna niż parę tygodni temu, to i on może także być inny, a wtedy coś zacznie się od nowa, coś odmiennego, lepszego, mądrzejszego niż dawniej.

Nie, nic się nie zacznie, nie ma podstaw, aby przypuszczać, że nagie nastąpi cudowna odmiana. To stracone, nie ma się co pocieszać.

Ale nie ma też powodu, żeby tak ciągle ryczeć. Dlaczego czuję się samotna i porzucona przez wszystkich? Z jakiego

powodu mam żal do rodziców? Przecież to oni mają prawo mieć żal do mnie.

Jednym susem wracam na tapczan, zamykam oczy i udaję, że bardzo mocno śpię. Do pokoju zagląda nie mama, nie Jurek, tylko ojciec! Cicho, na palcach podchodzi, poprawia kołdrę, zasłony w oknie.

— Spi?

— Śpi jak zabita.

— Może niepotrzebnie zrobiłeś z tego taką sprawę. Odpowiedź Madzi to rodzaj obrony, chciała nas zirytować.

— Głupia smarkata! Ty jej nie widziałaś, ale ja wiem, co mówię. Rita Hayworth dla ubogich.

— Nikt teraz nie wie, kto to Rita Hayworth.

— No, to Brigitte Bardot.

— Także wyszła z mody — ucina mama. — Już dawno wyszła z mody. Starsza pani, tak jak. my.

— Skończmy z tym. Ja mówię o Magdalenie. — Użycie dostojnej formy mego imienia dowodzi, że ojciec jest rzeczywiście nie tylko wytrącony z równowagi, ale i bardzo zmartwiony nieudaną córką. — Musimy ją ukarać.

— Już ją ukaraliśmy.

— Jak? Przecież...

— Obojętnością. 1 mam zamiar trzymać się tej metody, dopóki się z nią nie dogadamy.

— Ty tak zawsze.

Z tym stwierdzeniem ojciec kładzie się spać, z pokoju Jurka dobiega cichuteńka muzyka, trąbki i w alt ornie grają coś radosnego, jakby prowadziły roztańczony orszak przez kwitnące łąki. Jutro zapytam Jurka, co to jest za płyta, jutro...

Jutro okazuje się słonecznym, wiosennym rankiem, uciekły chmury, na czyśeiuteńkim, bezchmurnym niebie świeci pyzate słońce. Za oknem pogwizduje szpak, a może nie szpak, tylko kos, zresztą może i nie kos, najważniejsze, że pogwizduje. Przez tę noc drzewa okryły się koronką najmłodszej zieleni, zrudziałe wiechcie na trawniku przemieniły się ni z tego, ni z owego w soczystą wiosenną murawkę.

— Dziewczyny, kochajcie nas — wyśpiewuje Jurek w łazience, pieśń jest niezmiernie fałszywa, ale za to donośna. — Spróbujcie choć jeden raz...

— Odgrzej mleko — poleca mi wyświeżony i pachnący po porannym myciu. — Tylko migiem, na wszystko masz trzy kwadranse.

Znowu czuję podejrzane swędzenie powiek. Odkąd pamiętam, mama zawsze budziła mnie przed swoim wyjściem, a dzisiejszego, prawdziwie wiosennego ranka nie obudziła mnie — umyślnie, żeby zaznaczyć, że moje sprawy niewiele ją obchodzą. Jeżeli mama tak, to i ja...

— Jak koniecznie chcesz, możesz sobie dolać śmietany do twarogu — przekazuje mi maminą wolę Jurek. — Ja dolałem, pycha. Tobie radzę też.

— Nie będę jadła śniadania.

— Nie jedz — zgadza się starszy brat pochylony nad tym twarogiem ze śmietaną. — Więcej zostanie dla mnie.

Ubranie, książki, zeszyty lecą mi z rąk, kiedy szykuję się do wyjścia. Jurek napycha się twarogiem, nie podnosząc oczu znad talerza. Nikomu nie jestem potrzebna. Jakbym nie wróciła do domu na noc, jutro, pojutrze, nikt by się tym nie przejął. I: nikt, zupełnie nikt nie pomyślał, czemu tak jest, że zrobiłam się inna, i nikt, zupełnie nikt, nie odgaduje, jaka jestem nieszczęśliwa.

— Młoda kontestatorko, czy rzeczywiście udasz się do świątyni nauki bez skrzepienia się posiłkiem?

Nie odpowiadam.

— A teraz serio. Magda, czy nie mogłabyś być z powrotem sobą?

Udaję, że nie słyszę, a na znak, że naprawdę nie słyszę, zaczynam coś nucić.

— Człowiek w twoim wieku musi przeżywać okresy stresów i buntów, ale, słowo honoru, to nie muszą być takie głupie bunty. Musi dostawać od życia po nosie, nie ma rady, czegoś się trzeba nauczyć o sobie przed rozpoczęciem pierwszego aktu prawdziwej sztuki, bez prób ani rusz. — Twaróg już zjedzony, Jurek przemawia do mnie z kubkiem mleka w ręce.

— Ty, zdaje się, traktujesz bardzo poważnie te próby, chyba o wiele za poważnie. Bez względu na twój stan uczuciowy, pozwól sobie zakomunikować, że jesteś ostatnio męcząca dla otoczenia.

— Ty także.

— Zgoda. Jestem egoistą, mam mnóstwo innych wad, ale — że wyrażę nieśmiałą nadzieję — przynajmniej staram się mieć trochę wdzięku. Ty zaś od pewnego czasu wyglądasz jak skrzyżowanie wierzby płaczącej z gradową chmurą. Nie wiadomo, czy poleją się łzy, czy trzaśnie nieoczekiwany piorun.

Nie słucham dalszego ciągu, zatrzaskuję za sobą drzwi, przeskakując po trzy stopnie, zbiegam na dół, nie potrzeba mi windy, niczego mi nie potrzeba. Do szkoły także nie pójdę.

Mimo tego postanowienia idę jednak, w pewnym sensie na przekór sobie.

— Co ci jest?

— Tata nas widział.

— I co?

— To.

Policzki Agnieszki bledną, boi się, jej mama jest surowa, popędliwa i wymagająca. To nie przeszkadza Agnieszce dopuszczać się łamania matczynych zakazów i przykazań, ale w ciągłej obawie, że to się wreszcie wyda.

— Wytłumaczyłam, że to ja cię namówiłam.

— Trzeba było powiedzieć, że pojechałyśmy po zakupy.

— Powiedziałam tak, jak było.

— Magda, upadłaś na głowę!

— Musiałam. Tak wyszło, że musiałam.

Z pełną świadomością poinformowałam Agnieszką o tym, co zaszło wczoraj w moim domu, w ten sposób odcięłam możliwość pogadania' o Darku i Zbyszku, jeżeli ci dwaj tak się nazywali, o sukcesie, o wściekłości Beaty i o tym najważniejszym, że to my, my dwie, Magda i Agnieszka, byłyśmy zwyciężczyniami tego osobliwego konkursu. Bo chcę o tym zapomnieć.

— Pewno ci zabronią przyjaźnić się ze mną.

— Nie zabronią.

— Moja mama by zabroniła.

— Mnie nie zabronią, bo nic ich nie obchodzę. Mogę robić, co chcę.

— No, wiesz! — przeraża się Agnieszka. — Twojej mamie nie może być wszystko jedno, co robisz.

Beata zrobiła się prawie przymilna, krąży wokół nas, opowiada o sukience, którą sobie szyje, tu wycięta, tam odcięta. Normalka, jasne, że zagaduje wczorajszy dzień, bo i ona chce o nim zapomnieć, chociaż z innych powodów niż ja.

Gdy wreszcie wychodzę ze szkoły, jestem prawie zdecydowana zrobić coś strasznego, coś naprawdę strasznego. Pójdę przed siebie, aż zaskoczy mnie noc, ktoś może się zlituje nad dziewczyną śpiącą na chodniku, z teczką pod głową, zatelefonuje do mamy albo do ojca: znaleźliśmy córkę państwa, jest w okropnym stanie, zapalenie płuc, proszę szybko przyjechać. Ona jest nieprzytomna.

To wyobrażam sobie doskonale, chociaż nie bardzo widzę siebie — głodną i opuszczoną, układającą się do snu na skraju chodnika. Żebym miała tę pewność, że Wiesiek dowie się o moim zniknięciu, wtedy nie wahałabym się ani sekundy.

— Śliczny dzień. Nie przeleciałabyś się do parku?

Dziewczyny chcą, żebym poszła zwyczajnie do parku. One także nic nie wiedzą.

— Idźcie same. Wracam do domu.

Ze spuszczoną głową wloką się między blokami, na balkonach wzdymają się pierzyny, poduchy wystawione na wiosenne słońce, na samym środku chodnika, w małej kałuży, wróble popiskując zażywają kąpieli.

Stajemy przed sobą, twarz w twarz. Czy mi się wydaje, że jego oczy mają wyraz oczekiwania? Tak, wydawało mi się tylko, bo oto mijamy się, „cześć", „cześć", on w swoją, a ja w swoją stronę.

— Wiesiek...

Zatrzymał się, półodwrócił, czegoś niepewny, nasłuchujący, a ja zawołałam po raz drugi:

— Wiesiek...

Ponieważ istniała ta przepowiednia, błękitna nimfa Lejriope powtarzała co dnia swojemu małemu synkowi, że jest brzydki.

— Jesteś brzydki i śmieszny — mówiła Narcyzowi Lejriope. — Ten, kogo pokarano szpetotą, nie powinien ośmieszać się próżnością. A ty jesteś brzydki, synku, bardzo brzydki.

Przepowiednia była bezlitosna jak ostrze dwusiecznego topora, którym powala się przed ołtarzem ofiarne zwierzę. „Narcyz będzie żył długo i szczęśliwie, jeżeli nie zobaczy odbicia swojej twarzy". Wygłosiły to usta Tejrezjasza, wieszczka, który nigdy się nie mylił odgadując wyroki przeznaczenia.

Mijały lata. Narcyz wyrósł na najpiękniejszego chłopca na ziemi, wszystko w nim było doskonałe — wzrost, ruchy, spojrzenie, skóra gładka jak skórka brzoskwini, włosy bujne niczym grzywa rumaka, brwi wąskie i czarne jak skrzydła jaskółki. Był piękny, ale nic nie wiedział o swojej urodzie, gdyż dobre driady, oready, małe boginki drzew, strumieni, łąk, szanując wolę Lejriope, pierzchały na jego widok, a wiatr przynosił ich cieniutkie głosy:

— Narcyz jest brzydki. Narcyz jest bardzo brzydki!

Bóstwa rzeczne, brodate, o wiecznie wilgotnych włosach, i satyry, buszujące w nadrzecznych zaroślach, szanowały wolę Ktefizosa, ojca Narcyza, i zwracając się do chłopca, nigdy nie omieszkały powiedzieć:

— Szkoda, że jesteś taki brzydki, Narcyzie.

Narcyz zaś wierzył tym wszystkim głosom, bo czemu miałby im nie wierzyć? Przemierzał sam górskie lasy, trochę polował, trochę marzył, nie wiadomo o czym, trochę się nudził, trochę na coś czekał. Jego daleki krewniak, kozłonogi Pan, też był szpetny ponad pojęcie, a nie wydawał się nieszczęśliwy. Więc i Narcyz nie był nieszczęśliwy, tylko trochę smutny, tak smutny, jak może być smutny chłopiec, który ma dobry łuk, rączego psa, dużo czasu i całe górskie bory tylko dla siebie.

Tak jak to robiła zawsze jego matka, błękitna nimfa Lejriope, Narcyz mącił wodę w źródle, nim pochylił się nad nią, żeby pić. Wystarczała mu świadomość własnej brzydoty, po co miałby sprawdzać, czy jest brzydszy od swego krewnego.

— Tobie to nie przeszkadza — przesuwał dłoń po grzbiecie Lajlapsa, psa chyżego jak wicher. — Dla ciebie jestem piękny — mówił, a gończy lizał jego ręce i machał ogonem.

Dzięki przezornej mądrości Lejriope i Ktefizosa nie wypełniłaby się złowroga przepowiednia, gdyby nie nimfa Echo, niemądra nimfa Echo, która zakochała się w Narcyzie od pierwszego wejrzenia.

„On jest piękny" — pomyślała.

Lecz nie mogła wypowiedzieć tych słów. Dawno temu, potępiając ją za niepohamowane gadulstwo, nieśmiertelni wymierzyli jej przedziwną karę — utraciła głos i mogła powtarzać tylko cudze słowa.

„Biedny chłopiec, taki śliczny, a przekonany o swojej brzydocie — nimfa Echo westchnęła, bowiem z natury miała serce równie współczujące, co niemądre. — Musi uwierzyć w swoją urodę, ktoś życzliwy powinien mu o tym powiedzieć. Ja to zrobię. Nie rozumiem postępowania Lejriope i Ktefizosa, nie wierzę w tę przepowiednię. Mnie przecież wieszczono, że przestanę istnieć, i co? Od wieków jestem sobą, nimfą Echo, tyle że pozbawioną zdolności samodzielnego mówienia. Ale zaręczam, że i bez tego doskonale daję sobie radę".

Tu nimfa Echo przerwała swoje rozmyślania, by spleść wieniec z wonnych kwiatów lawendy, z błękitnych dzwonków, z cierpkiej marzanki; wieniec-włożyła na włosy i pobiegła do najbliższego strumienia podziwiać swój wygląd. Nimfa Echo też była bardzo piękna, co jest sprawą zwyczajną, ponieważ wszystkie nimfy są bardzo piękne.

Być może innym boginkom także nie był obojętny śliczny Narcyz, ale były rozsądniejsze niż niemądra nimfa Echo, wiedziały, że chłopiec wiele może wyczytać z oczu dziewczyny, nawet więcej niż ze spokojnej tafli ciemnej wody, więc umykały przed nim rzucając przerażony okrzyk:

— Narcyz jest brzydki!

— Jestem brzydki — wołał w ślad za nimi Narcyz — ale mam pięknego psa! Nie uciekajcie, warto spojrzeć na Lajlapsa, takiego drugiego nie ma na całym świecie.

„Już wiem, co zrobię — powiedziała do siebie nimfa Echo, kiedy usłyszała głos Narcyza. — To bardzo proste. Nieśmiertelni, obmyślając dla mnie karę, nie wzięli pod uwagę, że jestem sprytna".

Od tego dnia nimfa Echo zaczęła śledzić każdy krok Narcyza. Przemykała się pod sprężystymi konarami młodych dębów, zatajała w zaroślach zsyłającego szaleństwo wawrzynu o gorzkich liściach, stawała za pokręconymi pniami sosen; nie wywęszył jej pies Lajlaps, gdyż nawet najczulszy psi węch nie odkryje obecności boginki, nie dojrzały jej krzykliwe sojki, które wypatrzywszy obcego, oznajmiają ochrypłym wrzaskiem: „strzeżcie się, zbliża się wróg", najlżejszy szmer nie zdradził jej obecności, ponieważ nie dotykała stopami traw i wonnych ziół.

Ani błękitna Lejriope, ani Ktefizos o wilgotnej brodzie nie wiedzieli nic o zamiarach nimfy Echo, zarządzali spokojnie siecią śpiewających strumieni — pilnowali, by łączyły się ze sobą i niosły dźwięczną wodę do rzeki, sprawdzali, czy wartki nurt nie podcina brzegów, kierowali jej biegiem tak, by tworzyła zatoczki, w których wygrzewały się na płyciźnie tępogłowe ryby i wierzby kąpały w wodzie swe gałęzie. Przyjmowali ofiary składane im o przedświcie: baranka, koźlę z różkami uwieńczonymi dzikim koprem, garść wełny, jęczmienny placek, strzęp odzieży, garść ziarna. Nie byli wielkimi, potężnymi bóstwami nieba i ziemi, lecz dla oraczy i pasterzy z tespijskiej krainy byli ważniejsi niż włodarze Olimpu, bowiem od błękitnej Lejriope i Ktefizosa o wilgotnej brodzie zależały plony kamienistych pól i liczebność stad.

— Chciałabym, żeby Narcyz wyrósł już z lat młodzieńczych . — wzdychała czasami błękitna Lejriope. — Tyle jest dziewcząt i chłopców, którzy spędzają całe dnie, podziwiając swoje odbicie w wodzie. Boję się, że Narcyzowi też coś takiego może przyjść do głowy.

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by tak się nie stało.

— To prawda — pocieszała się błękitna Lejriope i podążała pod szczyty, gdzie z wywierzysk tryskały srebrne zdroje. Usuwając kamienie zagradzające drogą nowo narodzonej wodzie, zapominała o swojej trosce. Przykładała ucho do ziemi, czy nie pochwyci drżenia — już nieraz zapadało się wnętrze gór i zamykało wodzie drogę ku słońcu. Dotykała wargami krynicz- nego chłodu, czy nie odczuje smaku podziemnego ognia, siarki, żelaza, smoły — bywało już,' że przeczyste źródełko zaczynało dymić niczym ognisko z mokrego drzewa, a wszystko, co rosło nad brzegami, czerniało, kurczyło się i umierało, oskarżająco wyciągając martwe gałązki ku niebu.

Potrzebne i ważne były zajęcia błękitnej Lejriope, nie mogła wędrować krok w krok za synem, gdy przemierzał lasy, za to niemądra nimfa Echo mogła towarzyszyć Narcyzowi dniem i nocą, niewidzialna, bezszelestna i uważna na każde jego słowo. Niemądrej nimfie Echo nie przydzielono nawet jednego drzewka, by otaczała je opieką. Kiedyś, gdy nimfa Echo nie była jeszcze pozbawiona własnego głosu, drzewo, nad którym sprawowała pieczę, poczęło szumieć i szeleścić listkami nawet w bezwietrzne pogody, najwidoczniej zaraziło się niepohamowanym gadulstwem swojej opiekunki.

Podczas wędrówek za Narcyzem nimfa Echo mówiła bardzo wiele o różnych rzeczach, lecz tylko ona sama wiedziała, że mówi bardzo wiele, w rzeczywistości była niema jak kamień i jak ryby dyszące skrzelami w ciemnej toni rzeki. Nimfa Echo mogła czekać cierpliwie — miała czas, mnóstwo czasu — aż nadejdzie dzień, w którym przemówi do Narcyza.

— Dobre mieliśmy łowy, Lajlapsie, mój piesku.

To nie były słowa, na które czekała niemądra nimfa Echo.

— Czas na spoczynek.

To też nie były te słowa.

— Już noc.

Na próbę nimfa Echo powtórzyła: — Już noooc — i wyszło

to, jak wołanie małej sowy lub lelka o bezszelestnym locie.

— Krzyk sowy zwiastuje odmianę pogody. Jutro spadnie deszcz, już Selene otoczyła oblicze zasłoną. Matka się ucieszy, zawsze jest rada, gdy strumienie wzbierają od deszczu.

Narcyz, chyży pies Lajlaps i nimfa Echo usnęli, a księżyc wędrował nad nimi wielki i rudy, świecąc zimnym blaskiem na bór, strumienie, wykroty i skały.

Następnego dnia od rana zerwał się znad morza wiatr i przypędził stado wełnistych chmur niosących na grzbietach ulewę. Pierwsze krople uderzyły o spękaną ziemię właśnie wtedy, gdy pies Lajlaps ruszył w pogoń za rozłożystorogim jeleniem. Z szumem ulewy zmieszało się skomlenie psa idącego świeżym tropem.

Gdyby nie deszcz, po nieudanym pościgu Lajlaps znalazłby bez trudu swego pana lub Narcyz poszedłby tropem uciekającego rogacza, by nałożyć rzemień z farbowanej skóry na psi kark. Ale deszcz zatarł ślady, zmył woń człowieka, nasączył każdą grudkę ziemi i każdą kępkę mchu chłodną wilgocią, pies i pan nie mogli się odszukać w szerokich borach leżących jak okrycie na kolanach gór.

— Lajlaps, Lajlaps! .— wołał Narcyz, a deszcz tłumił słowa, głuszył je tupaniem miliardów kropel, ściszał miękkimi chustami unoszących się z ziemi oparów.

— Wracaj do mnie, mój śliczny.

To były słowa, na które czekała nimfa Echo.

— Mój śliczny — powtórzyła, a zdumiony jej okrzykiem deszcz zawisł na okamgnienie między niebem i ziemią, by potem rozpadać się jeszcze rzęsiściej.

— Wracaj do mnie, mój kochany.

— Mój kochany — zawołała niemądra nimfa Echo.

— Najpiękniejszy!

— Najpiękniejszy.

— Czekam na ciebie!

— Czekam na ciebie.

— Nie mogę cię stracić!

— Nie mogę cię stracić.

— Ciebie, najpiękniejszego...

— Ciebie, najpiękniejszego — powtarzała wiernie nimfa Echo radując się, że przewidziała wszystko tak dobrze.

— Jeśli nie wrócisz, umrę z żalu.

— Umrę z żalu — powtarzała sumiennie nimfa Echo, chociaż wcale nie zamierzała umierać, ale cóż mogła zrobić, jeżeli była skazana na powtarzanie cudzych słów?

Narcyz słyszał, że jego słowa powracają do niego, jakby odbite od pni drzew i skalnych nawisów, odmienione i przeistoczone — chłopięcy głos zmieniał się w dziewczęce wołanie, ptasie, ćwierkliwe i kruche.

— Dziwne — zastanowił się Narcyz i powtórzył: — Bardzo dziwne.

Nimfa Echo zmilczała, nie było w tym nic, co warto by powtórzyć. Tylko deszcz padał niestrudzenie, a małe górskie poniki chciwie spijały krople i rozlewały się coraz szerzej, zatapiając kępy fioletowych dzwonków i różowej mokrzycy.

— Jestem tu! — wołał Narcyz przykładając dłonie do ust.

— Jestem tu — powtarzała nimfa Echo i rzeczywiście była nie opodal.

— Czekam na ciebie!

— Czekam na ciebie — wołała, ale on nie zajrzał za pień rozłożystego buka.

— Chodź do mnie!

Na to wezwanie nimfa Echo skoczyła jak sarna i stanęła przed osłupiałym Narcyzem, który zamrugał powiekami, a w swoim zdumieniu był piękniejszy niż kiedykolwiek.

— Wołałem mojego psa — wyjaśnił myśląc, że nie znana mu nimfa wzięła jego Wezwanie do siebie. — Przepraszam cię. Jestem Narcyz, syn Ktefizosa i Lejriope. Musiałaś z pewnością o mnie słyszeć, jestem sławny ze swojej brzydoty.

Z tego wszystkiego tylko kilka słów nadawało się do powtórzenia i nimfa Echo powtórzyła je:

— Musiałaś z pewnością o mnie słyszeć.

Nie zrozumiawszy, gdyż zdawało mu się, że dziewczyna powiedziała „musiałeś”, a nie: „musiałaś”, Narcyz zapytał:

— Z pewnością słyszałem, ale wymień mi swoje imię.

— Wymień mi swoje imię.

— Już mówiłem, że jestem Narcyz, syn Ktefizosa i Lejriope. A ty?

— A ty?

— Narcyz, syn Ktefizosa i Lejriope. Podaj mi swoje imię.

— Podaj mi swoje imię.

— Już je podałem wielokrotnie.

— Już je podałem wielokrotnie.

— Ja go nie dosłyszałem — odrzucił z czoła mokre włosy. — Ten deszcz tak głośno pada, jakby bębnił o liście.

— Jakby bębnił o liście.

— Tak właśnie. To samo powiedziałem.

— To samo powiedziałem.

— Muszę odszukać mego psa, Lajlapsa. Żegnam cię. Bardzo mnie cieszy, że jest chociaż jedna nimfa, która nie pierzcha przed moją brzydotą i rozmawia ze mną tak łaskawie, jakbym był piękny.

— jakbym był piękny...

Pewno z powodu nieustannego szumu deszczu Narcyz usłyszał: „Jesteś piękny". Ta dziewczyna i jej słowa były dziwne. Nachylając się zajrzał w oczy nieznajomej. Z pewnością drwi sobie z niego, mógłby przysiąc, że dojrzy w jej źrenicach kpiący uśmieszek.

— Nie lubię żartów — pogroził.

Zobaczył w głębi ciemnych, szeroko otwartych oczu nimfy Echo maleńki wizerunek szczupłego, prześlicznego chłopca o mokrych, odrzuconych z czoła włosach i gniewnej zmarszczce nad śoiągmiętymi brwiami. Wizerunek był wyraźny, jakby odbity w spokojnym zwierciadle wody, Narcyz podniósł rękę, dotknął policzka i tamten maleńki, szczupły, prześliczny chłopiec — widoczny w źrenicach dziewczyny — zrobił to samo.

— To jestem ja — zaszeptał Narcyz, lecz tak cicho, że nimfa nie dosłyszała i nie mogła powtórzyć jego szeptu.

— Oszukali mnie!

To wykrzyczał całemu światu — niskim chmurom, górskiemu borowi, strugom deszczu, biegowi krynicy i dziewczynie stojącej przed nim bez ruchu. — Oszukali mnie! Dlaczego?

— Dlaczego? — krzyknęła w głos nimfa Echo.

— Dlaczego? — powtórzył za nią bezradnie Narcyz i załamał ręce. Odbity w źrenicach nimfy Echo prześliczny chłopiec także załamał maleńkie ręce w geście rozpacey.

— Dlaczego jestem piękny?

— Jestem piękny.

— Nie mów mi tego! Nie mów!

— Nie mów — zaszeptała nimfa Echo i wyciągnęła ramiona do Narcyza.

Lecz Narcyz nie przygarnął ku sobie nimfy Echo, jak tego oczekiwała, wargi mu zadrżały, odepchnął dziewczynę.

— Chcę być sam! — Odwrócił się i powtórzył z uporem, wściekłym, zrozpaczonym głosem: — Chcę być sam.

— Chcę być sam — załkała nimfa Echo.

Patrzyła, jak biegł między drzewami, zataczając się niczym satyr upity sfermentowanym sokiem winogron albo szalony kureta miotający się — niby w ataku wielkiej choroby — w tańcu ku czci nieśmiertelnych. Obijał się o pnie drzew, potykał, padał podążając na oślep przed siebie.

„Głupi chłopiec — pomyślała nimfa Echo. — Nic nie rozumiem. Zupełnie nic".

Na stoku źródła rozlewały się w nieduże jeziorko, chłodne i głębokie, przejrzysta woda nie skrywała niczego, każda rybka, każdy pęd wodnych roślin był widoczny, tylko w jednym miejscu, za wielkim głazem, woda przybierała srebrzyste lśnienie, gładka, jakby wylano na nią bukłak najprzedniejszej oliwy.

Tu przybiegł Narcyz.

Deszcz zaczął nacichać, już tylko drobne, pojedyncze krople rozbijały gładkość spokojnej wody, aż wreszcie toń znieruchomiała, wygładziła się, zastygła nieporu- szona i srebrna.

Bujne, ciemne, ciężkie od deszczu włosy, gładkie czoło, nasrożone brwi, pochmurne oczy, zarysowane miękko wargi, prosty nos, delikatny owal brody. Narcyz pochylił się ku swojemu odbiciu i zmącił je ruchem dłoni.

— To byłem ja.

Później — nadal schylony — patrzył i patrzył bez końca, uczył się własnego uśmiechu, zmarszczenia brwi, grymasu warg. spojrzenia, mrużenia powiek.

— Jestem piękny.

Błękitna ważka zakołysała się na kiści trzciny, wiatr ucałował czoło Narcyza wietrzną pieszczotą, krople rosy zalśniły jak małe klejnoty.

— Jestem piękny.

Niby przez mgłę Narcyz przypomniał sobie Lajlapsa, obcą dziewczynę, swoje zdumienie, przerażenie, ucieczkę. Trzeba stąd odejść, odnaleźć psa, wrócić do domu, zapytać, wyjaśnić. Lecz już nie mógł odejść, pozostał, tam gdzie był, patrzył i patrzył, mącąc umyślnie swoje odbicie, by z tym większą radością odnaleźć je za chwilę, jeszcze doskonalsze i bardziej godne podziwu niż poprzednio.

Na próżno błękitna Lejriope wołała natężając głos:

— Narcyzie, synku, Narcyzie!

— Narcyzie, Narcyzie — wtórowała wołaniu matki niemądra nimfa Echo, która nie straciła jeszcze nadziei.

Na próżno kozłonogie satyry przetrząsały gęste zarośla i przepatrywały skalne rozpadliny, Narcyz przepadł, jakby pod nim otworzyła się ziemia.

Na próżno pies Lajlaps tropił, ślady zmył deszcz, gończy podniósł pysk w górę i zawył żałosnym wyciem.

Zapłakała Lejriope, brodaty Ktefizos pochylił czoło — wypełniła się wieszczba Tejrezjasza, najmędrszego z wróżbitów, który nie mylił się nigdy.

Powiadano po latach, że Narcyz runął w głęboką wodę, gdy pochylał się nad swoim odbiciem, powiadano także, że skamieniał i że jeden z głazów leżących na brzegu jeziorka to właśnie on, mówiono, iż przemienił się w motyla, w kwiat, w barwnego ptaka, w słoneczny promień.

— Niemądra nimfo Echo, która chciałaś poprawić wolę mędrszych od siebie — z wysokiego Olimpu sfrunął skrzydłostopy Hermes, wysłannik nieśmiertelnych — zostaniesz ukarana. Odebrano ci już własny głos, ale i tak umiałaś zrobić wiele złego. Oto wypowiadam zaklęcie — nie

ma cię już, niemądra nimfo Echo. Nie ma cię!

Nimfa Echo przestała istnieć, lecz nieśmiertelni zapomnieli o dziwnej właściwości powtarzania przez nią cudzych słów i zaniedbali to zniszczyć. Wystarczy zawołać w górach — echo wam odpowie, głos nimfy Echo, której nie ma.

Przy cichym jeziorku błękitna Lejriope znalazła niezwykły kwiat, śnieżne płatki, purpurowy przykoronek, wąskie, zielone liście. Kwiat pachnący mocno i pięknie.

— Będziesz nazywał się narcyz — rzekła błękitna Lejriope i rozpłakała się, a łzy padały na białe płatki i purpurowe serce kwiatu.

Olejek z narcyza pomaga w dolegliwościach usznych i nadaje twarzy nadzwyczajną gładkość. Tak przynajmniej twierdzą Tespijczycy, Beoci i mieszkańcy konio- rodnego Argos. To jest w ogóle niezwykły kwiat, rozkwita zaraz po stopnieniu śniegów — może chce jak najprędzej olśnić świat swoją kwietną urodą — i umiera, nim nadejdzie lato. Liście narcyza czernieją, zasychają, a miłosierne trawy zarastają puste miejsce, które następnej wiosny znów wystrzeli białym kwiatem o purpurowym środku.

Zawołałam go, bo nie mogłam znieść, że minęliśmy się jak obcy. Wszystkie poprzednie obojętne minięcia mogłam znieść, ale tego nie.

Podbiegłam, wcale nie wiedziałam, co chcę powiedzieć, słowa wymówiły się jakby poza mną, same.

— Obraziłeś się wtedy?

Potrząsnął głową.

— Nie. Dlaczego miałbym się obrazić?

— Mógłbyś kiedyś wpaść.

Nie odpowiedział zaraz, lekko przekrzywiły głowę i przyjrzał mi się tak, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

— Zrobiłaś się ogromnie miła, to coś nowego. O ile dobrze pamiętam, powiedziałaś, żebym przestał za- szpecać pejzaż swoją osobą.

— Nie wydziczaj się. — Co by się stało, gdyby się dowiedział, ile razy przemierzałam schody w jego bloku, ile razy warowałam przy wejściu, ile wieczorów spędziłam gapiąc się w tamte okna? — Ja cię właściwie nawet lubiłam.

Chciałam powiedzieć inaczej, ale nie mogłam i dlatego obstawiłam słowo: „lubiłam", tymi wszystkimi: „właściwie" i „nawet".

— Ja ciebie też właściwie nawet lubiłem — odrzucił tym samym tonem i uzupełnił: — Kiedyś.

Tym „kiedyś" odebrał mi całą odwagę, nagle zrobiło mi się bardzo zimno w ten ugrzany, wiosenny dzień.

— No, to w porządku.

Bąknęłam coś jeszcze, że już niedługo wakacje, jakieś bzdury bez znaczenia, najważniejsze, żeby odejść z podniesionym czołem, dopiero za rogiem rozpłaczę się głośno, ale on tego nie usłyszy.

— Tak, niedługo wakacje — zgodził się ze mną, już nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, on zaraz odejdzie, a ja...

— Wydoroślałaś, Magdaleno. — Aż drgnęłam, usłyszawszy swoje imię wypowiedziane tak niezwykle, w ten sposób nazywał mnie tylko ojciec, i to w momentach szczególnego zdenerwowania. — Z Madzi zrobiła się prawie Magdalena.

Nie mogłam tego pojąć: powinien odejść, nie odchodzi, mówi do mnie, nazywa mnie Magdaleną.

— Masz czas?

Skinęłam głową. O tak, mam czas, mnóstwo czasu.

— Chcę opowiedzieć ci coś ogromnie śmiesznego. Masz chęć na coś ogromnie śmiesznego?

Wydawało się, że Wiesiek wyśmiewa się sam z siebie, nie wiem dlaczego, nie mogłam znieść tego tonu.

— Zależy... — przerwałam. Miało to wypaść stanowczo i groźnie, a wyszedł cichutki, nieśmiały szept.

— Chciałem z tobą chodzić. — Gest ręki, który oznaczał: nie przerywaj, teraz ja mówię, powiesz swo^ je, kiedy skończę. — Od tego dnia, w którym zatelefonowałaś do Mileny. Chciałem, żeby Agnieszka nas z sobą poznała, tamto na ulicy, no, sama rozumiesz...

Czułam się po prostu ogłuszona tym, co mówił.

— Ty nie wiesz, jak trudno, kiedy komuś zależy... I ja nie umiałem... wcale nie umiałem, chociaż wtedy, kiedy padał deszcz, wydawało mi się, że coś... Ale nie, najpierw wyjechałaś z tym chodzeniem, potem zwiałaś. Śmieszne, nie?

— Nie — chrypię zaprzeczeniem.

— Teraz już śmieszne, nawet dla mnie. Ale wtedy nie było wcale śmieszne. Wiesz, przez ile wieczorów pisałem ten list?

— Jaki list?

— Do ciebie.

Milczałam, więc dorzucił z pośpiechem:

— Pewno bym go i tak nie wysłał, ale pisałem. W liście to łatwiej.

Noskiem buta przetoczył kamyczek.

— Teraz już wszystko jedno, wtedy nie wiedziałem, co robić. Jakoś mnie wzięło, nie potrafiłem sobie poradzić z tym wszystkim. Tej oczywiście bez sensu, mówię tylko dlatego, żeby cię zabawić. Nie wiem, co o mnie myślałaś, pewno, że jestem zhysiowany, i dobrze myślałaś, bo akurat byłem. Obecnie mam wszystkie klepki na miejscu i szajba mi nie odskakuje.

Ja także mogłabym powiedzieć coś równie śmiesznego. O sobie. O zakochanej Magdzie. O tym, co było, i o tym, co jest. Ale milczę.

— Taka ospa wietrzna, widocznie trzeba przez to przejść. Masz pojęcie, jak ciebie nienawidziłem? Uważałem cię za potwora, który ma zamiast serca kamień. Szczególnie, kiedy tak perfidnie zagrałaś z tą propozycją chodzenia.

Mówił jak zawsze — nie wiadomo, żartem czy serio, zupełnie spokojnie.

— Wszystko. Mam nadzieję, że teraz z optymizmem ocenisz swoje szanse jako przyszłej pogromczyni serc. Tylko pamiętaj: Pigmalion zakochał się w Galatei, którą sam wyrzeźbił, a był plastykiem amatorem.

Nieoczekiwanie poklepał mnie po ramieniu, tak się pociesza kogoś, kto martwi się, że nie zrobił tego cholernego, trzeciego zadania na klasówce.

— Jak znam dziewczyny, jest ci łyso. Ale błagam, nie usprawiedliwiaj się, nie trzeba. Ostatecznie, o czym wiemy z budujących lektur, prawdziwe uczucie polega na tym, że jest nie odwzajemnione. Uszy do góry, trzymaj się.

Jego wyciągnięta ręka zawisła w próżni, bo ja nie wyciągnęłam swojej, zacisnęłam dłonie obronnie w kułaki, mocno, do bólu.

— Jeżeli chcesz, możemy się nie żegnać — powiedział.

To sprawiło, że nagle znalazłam się obok niego.

— Może ja... — zaczęłam i reszta tego, co miałam powiedzieć, utonęła w zduszonym chlipnięciu.

— Madziu... Mała... Co się stało?

— Ja też — przyznałam się jednym tchem. Byłam przekonana, że wyjaśniłam wszystko do końca, a on w ułamku sekundy pojmie.

— Ty co?

— Ja też.

— Możesz mnie nie skrzepiać moralnie. Rozterki i cierpienia — znowu ten wyraźny ton drwiny — mam już poza sobą. Obecnie jedynym liczącym się uczuciem jest strach przed sprawdzianem z łaciny.

— Myślałam, że cię spotkam — brnęłam dalej, mój głos, nie wiedzieć czemu, stał się nienaturalnie wysoki, prawie piskliwy.

— Przecież spotykaliśmy się.

— Nie. Tak. To nie było...

— Co nie było?

— Spotkanie. „Cześć", „cześć", i koniec.

Stał przede mną, wysoki, ciemnowłosy.

— O to ci chodzi? Za każdym razem czekałem, że odezwiesz się jak człowiek, Madziu, czyli Magdaleno. Nie odezwałaś się i jasna sprawa.

— Ty się nie odezwałeś!.

— To nie ja uciekłem, tylko ty. Nie ja mówiłem, żebyś się odczepiła, tylko ty.

— Nie uciekłam! Nie mówiłam!

— Brzydko jest mijać się z prawdą. Nie bądź tchórzem. Jak

się coś robi, to się za to odpowiada. Tak mnie przynajmniej uczono od przedszkola. Ciebie nie?

— Wcale nie było tak...

Już cienie zaczęły się wydłużać, bo dawno minęło południe, mój cień zetknął się z cieniem Wieśka, śmieszne, że w takiej chwili to zauważałam.

— Nie było? Gdybyś przypięła sobie mak, wtedy na zabawie...

Zastanowił się przez moment, by dodać:

— Czy wiedziałaś, że to ja wziąłem drugi mak?

— Nie.

— Myślałem, że wiedziałaś. Zresztą, wszystko jedno. Już naprawdę muszę iść.

— Proszę, nie idź!

— Siła wyższa. Muszę.

— Zrozum, ja...

— Dobrze, rozumiem, jeśli ci na tym zależy. A co do szachów, to rzeczywiście mógłbym cię nauczyć, podobno rozwijają logiczne myślenie, co nie jest dla ciebie bez znaczenia, Madziu, czyli Magdaleno.

I naprawdę odszedł, a ja zostałam, ogłuszona i oniemiała. Nie powiedziałam mu nic, żałosna, zabawna Magda, która nie potrafiła wyjąkać tych kilku zdań. że było zupełnie inaczej. Nie, nie było — że jest inaczej. Nawet teraz, po tym wszystkim, co usłyszałam, jest inaczej.

Zza węgła bloku wybiegł niespiesznym truchcikiem pies, ten sam, który wtedy obwąchiwał na trawniku pomięty śmieć z czerwonej bibułki. Zatrzymał się z podniesioną przednią łapą, ostrożnie podsunął, obwą- chał skraj mojego płaszcza i nagle zamachał ogonem, aż przysiadł w psim współczuciu.

— Ty wiesz — odezwałam się niemądrze, wydawało mi się, że ten kudłaty stworek odgadł wszystko i wszystko zrozumiał. — Ty jeden wiesz.

Tylko że psu już się znudziłam i odbiegł zajęty jakimiś ważnymi psimi sprawami, z nosem przy ziemi i z chorągiewką ogona rześko zadartą do góry.

Usiadłam na ławce za murkiem, za tym samym murkiem,

gdzie kiedyś, jesienią, umówiłam Wieśka z Mileną.

Czy rzeczywiście ja byłam winna temu, że coś, co mogło się wydarzyć, nie wydarzyło się wcale? Czy naprawdę ja nie chciałam, czy ja odepchnęłam to uczucie, nie mogąc nic zrozumieć?

To wszystko jest za trudne dla mnie. Zgubiłam się, błądzę po omacku, potykam się jak ślepiec, rozbijam o niewidoczne przeszkody, ja nie jestem już ja, nic nie pozostało w znanym kształcie na dawnym miejscu, straciłam swój bezpieczny świat, nie mogę go odnaleźć, nie mam siły żyć.

W piaskownicy maluchy dźwigają ku górze mur najeżony basztami, sypki piasek nie chce formować wysokich wież, obsypuje się, maluchy uklepują go łopatkami, mają nadzieję, że jednak wzniosą tę swoją budowlę.

— Żeby ktoś mógł zrozumieć — szepczę sama do siebie.

Pani na drugim końcu ławki podnosi zdziwione oczy.

— Coś mówiłaś? — pyta.

A ja odpowiadam:

— Przepraszam.

Jeszcze dzisiaj rano myślałam o ucieczce z domu, gdy teraz siedzę przy piaskownicy, dom wydaje mi się na całej ziemi jedynym miejscem, dokąd mogę pójść ze swoją rozpaczą, bezradnością i tym mdlącym uczuciem, którego nie potrafię nazwać. Tylko w domu są drzwi, które mam prawo zamknąć, tylko tam są cztery ściany, w których mogę być sobą. W domu jest mama, i Jurek jest w domu, i ojciec jest w domu...

— Zmartwienia? — pani z drugiego końca ławki przysuwa się bliżej, jest młoda, wesoła, uśmiecha się, mam jej twarz blisko siebie, obcą, nic nie mówiącą.

— Ja tylko tak.

Teraz ta obca kobieta się płoszy.

— Przecież ja cię nie wypytuję o nic. Sądziłam, że czegoś chcesz, więc...

Uciekam z ławki, od piaskownicy i murku, przekręcam klucz w zamku, ten sam klucz, który nosiłam na szyi jako siedmiolatka.

— Magdzioł?

Pytanie pada na muzyce, za drzwiami Jurkowego pokoju śpiewa wiosenny wiatr, pluszcze wiosenny deszcz, zanoszą się szczebiotem wiosenne ptaki.

— Co to? — pytam.

— Haydn.

— Aha.

Rozmyślam gorzkim rozmyślaniem razem z roześmianą muzyką, w której płynie woda i świeci słońce. Dobrze jest żyć, dobrze jest czuć dotyk wiatru i kochać jest dobrze, i smucić się jest dobrze — tak mówi ta muzyka. Nie jest dobrze, to kłamstwo. Gdzie jestem, kto mnie przemienił? Dlaczego się zgubiłam, by odszukać siebie w innym kształcie, bajka na odwrót, nie z żaby królewna, tylko z królewny żaba. Zresztą nie wiem, nie rozumiem, czuję tylko, że przede mną nie ma nic, zupełnie nic.

Czy można żyć, kiedy nie ma nic?

Nie, nie płaczę, ani jednej łzy, jakbym zapomniała, że można płakać. Wszystko, co było dotąd, wydaje mi się bardzo dalekie, jak lata dzieciństwa, kiedy przeskakiwałam przez naciągniętą gumę, kiedy gubiłam zęby, takie śmieszne były moje lęki, żale i pretensje, moje nadzieje i chcenia.

Gdybym jeszcze raz mogła przeżyć to wszystko od nowa, teraz, już bym wiedziała, nie zniszczyłabym tego, co mogło być i czego nie ma, i nie będzie.

— Zamknięta oczywiście w swoim sanktuarium — raportuje Jurek w odpowiedzi na pytanie mamy.

Z siatką pełną zakupów mama staje w drzwiach mojego pokoju.

— Szkoda siedzieć w taki dzień w domu. Proponuję ci ogród botaniczny. Pojedziesz ze mną?

Najpierw potrząsam głową, nie, nie pojadę, a potem najnieoczekiwaniej krztuszę:

— Dobrze.

Coś już kwitnie (mogłabym wiedzieć co, gdybym przeczytała wbite w rabaty tabliczki), puchate i złote, pachnące, różowe, białe, postrzępione, różne. Przez gałęzie okryte młodziutkimi listkami skośnie zagląda przedwieczorne słońce.

Chodzimy po tym ogrodzie, bez obiadu, tym razem ogród okazał się ważniejszy niż proza codzien. ‚go posiłku. „Coś tam sobie zrobią ojciec i Jurek, a my jedziemy” — zdecydowała mama, jakby chciała uciec od kuchni i zlewozmywaka, na ten jeden dzień zapomnieć o tym, o czym pamiętała stale.

Pod drzewem z szarą, łuszczącą się pasmami korą — mama zatrzymuje się.

— Tu kiedyś były litery. JJ. Na oparciu ławki, Tylko nie ma już jej, może spróchniała, dawne czasy.

Dotknęła oparcia tej innej, nowej ławki.

— Miałam wtedy tyle lat, co ty, Madziu, i byłam zakochana. Chodziłam w pepegach pomalowanych na czarno tuszem, w spódnicy powyciąganej w ogony, w koszuli khaki z zawiniętymi rękawami. Byłam strasznie serio, strasznie zasadnicza, pogardzałam słowikami, bzem i kwietniowymi wieczorami, zakochaniem, głupstwami, jednym słowem. Ale i ja się zakochałam, jak każda piętnastolatka. I stąd te litery.

Umknęłam wzrokiem.

— Dlaczego mi o tym mówisz, mamo?

— Żebyś wiedziała, że ja rozumiem, więcej rozumiem, niż sobie wyobrażasz.

Przeszłyśmy kilka kroków w milczeniu.

— Czujesz się samotna, prawda? Opuszczona przez wszystkich, pozostawiona sam na sam z tym, co przeżywasz.

W betonowym basenie pływały plamiste trytony, przystanęłyśmy nad nimi.

— Gdybym zaczęła cię teraz wypytywać, znienawidziłabyś mnie, Madziu. Ale myślę, że potrzeba ci kogoś, kto mógłby zrozumieć. Nie, nie, ja o nic nie pytam, nic nie mów, Madziu, wystarczy, że wiesz, że ktoś taki istnieje.

Jakiś pan zwabiony naszym bezruchem, podszedł do baseniku i zagapił się na trytony, mama przerwała, nie powróciła więcej do tego tematu, chociaż błądziłyśmy jeszcze długo pomiędzy starymi drzewami.

Mówiłyśmy o różnych rzeczach: o szkole, o koleżankach, wakacjach, o pani Zofii przesuniętej do innego działu, nerwowości ojca, nowych płytach Jurka, o tym, że muszę

zanieść wiatrówkę do pralni, jest bardzo brudna, a lada dzień trzeba się będzie rozstać z jesionką. I o tym, że mogłabym trochę pomyśleć o zwyczajnych rzeczach, bo jestem za dorosła, aby mi przypominać o pralni albo o żelowaniu pantofli. Mama nie byłaby mamą, gdyby nie powiedziała czegoś w tym rodzaju, nawet w tej sytuacji.

W domu ojciec powitał nas zirytowanym głosem:

— Kolacji chyba też nie będzie, bo szanowne panie raczyły udać się na przechadzkę. Mógłbym jeszcze zrozumieć, gdyby to Madzia... Ale tobie, Janko, bardzo się dziwię.

Kuchenka wygląda tak, jakby przewiał przez nią orkan, powyciągane garnki i patelnie, góra brudnych talerzy, ojciec i Jurek potrzebowali wszystkich kuchennych naczyń do usmażenia jajecznicy z czterech jajek.

— Zaraz będzie kolacja — łagodzi napięcie mama.

— Rychło w czas!

— Pół godziny później, co to znaczy?

— Dziwne pomysły z tymi spacerami. Czy nie zaraziłaś się przypadkiem od Madzi?

Mama obraca się do mnie i widzę, najwyraźniej widzę, jak przymruża porozumiewawczo powiekę.

— Trochę lekkomyślności nikomu nie zaszkodzi, mam ochotę odmłodnieć, taka starsza pani bez godności, jak w filmie.

— Swoją drogą, dziwię się...

Zaczyna się jedna z tych nieśmiertelnych rozmów między rodzicami.

A ja już trochę wierzę, że jakoś będzie. Pewnie jeszcze nieraz popłaczę nad sobą, posmucę się, ale w końcu wszystko jakoś będzie.

— W poniedziałek jadę na uzgodnienia z kooperantami.

— Ile dni?

— Trzy, cztery. Jeszcze dokładnie nie wiem. Może się przeciągnąć.

Dzisiaj ja nakrywam do stołu.

— Chyba dostanę nagrodę — mówi mama.

— Już dawno ci się należy — burczy ojciec. — Nie dośpisz,

nie dojesz, w głowie ci tylko praca. Prawdę powiedziawszy, oni się wychowali sami...

„Oni" — to Jurek i ja.

— Nieźle się wychowali. Ja może bym wszystko popsuła. Nie czuję w sobie talentów pedagogicznych.

— Zależy, co kto uważa za niezłe — bez entuzjazmu odprowadza mnie wzrokiem ojciec. — Spodziewałem się rozsądniejszych dzieci.

— Są rozsądni — ucina gniewnie mama. — Są tacy, jak się bywa w ich wieku. My także tacy byliśmy.

I nasi rodzice. Każdy był młody.

— Jesteś niepoprawna optymistka. Zamykasz oczy na wady, widzisz tylko zalety. Czy nie mówiliśmy, że ostatnio Madzia...

— Nie mówiliśmy!

— Przypomnij sobie. Jeszcze wczoraj...

— Od dzisiejszego wieczoru nie ma żadnego wczoraj.

Na środku stołu mama stawia bukiet śnieżyczek.

— Niech to będzie taka trochę świąteczna kolacja. Zapalimy jeszcze świece.

— Po co? Co się właściwie stało nadzwyczajnego? — odłożywszy gazetę ojciec przygląda się podejrzliwie mamie i mnie. — Nic z tego nie rozumiem.

— Dzisiaj był pierwszy prawdziwie wiosenny dzień. Czy to nie jest dobra okazja do świętowania?

— Janko, bywasz zdumiewająco dziecinna.

— Bywam? To doskonale. Prawda, Madziu, że to doskonale?

Jutro, za tydzień, za miesiąc przyjdzie taka godzina, że będę mogła opowiedzieć mamie o sobie, a ona się nie roześmieje, nie rozgniewa, tylko zrozumie. Teraz jeszcze nie przyszedł czas, bo to wszystko jest zbyt świeże, zbyt bolesne, za bardzo moje, żebym mogła o tym opowiadać. Nawet mamie.

— Jerzy, mówiłeś, że wrócisz na kolację. Kolacja mocno się spóźniła, a ty dopiero teraz...

Mój brat wyraźnie się czerwieni, wszyscy troje udajemy, że tego nie zauważyliśmy.

— Przepraszam, jakoś mi zeszło.

— Nalej sobie herbaty.

Jurek je mniej niż każdego innego wieczoru, jest milczący, to ostatnie jest niezwykłe i niepokojące, ale nikt go nie pyta, czemu nie ma apetytu i czemu nic nie mówi, nawet ojciec.

Dopiero kiedy przychodzi pora zmywania talerzy i szklanek, mama odzywa się w przestrzeń:

— Robi bardzo sympatyczne wrażenie.

Niezbyt rozumiem, o czym mowa, ale Jurek widocznie odgaduje, o co chodzi, bo odpowiada mamie:

— Wpadniemy wieczorem w przyszłym tygodniu, to ją poznacie.

Na Jurkowym biurku leżą porozrzucane skrypty. Przyszłam z prośbą do mojego brata. Chciałabym jeszcze raz usłyszeć tę muzykę wiosenną i czystą, bo dzisiejszego wieczoru jest mi potrzebna, zresztą to nie tak, po prostu chciałabym ją usłyszeć jeszcze raz.

— Haydn? — upewnia się Jurek.

— Haydn.

Powoli, bezszelestnie rusza płyta.

— Dorastasz — mówi Jurek.

A ja odpowiadam:

— Tak.

Wakacje. Takie zwyczajne wakacje na wsi, pod gruszą, czy jak je nazwać, trochę deszczowe, trochę słoneczne, z jeziorem, lasem, trawą po kolana, z fioletowymi jagodami brudzącymi palce, polanką pachnącą poziomkami, ze wspomnieniem miasta i jego spraw — tak odległym, że prawie nierzeczywistym.

Mimo wszystko niczego nie zapomniałam, ale mój smutek przemienił się w smuteczek, nadzieja przy- blakła, już się właściwie pogodziłam z tym, że tak być musi.

— I jak, Madziu?

— Dobrze. Chyba dobrze, mamo.

Może dlatego dobrze, że nagle zaczęłam dostrzegać rzeczy dotychczas nie widziane, takie małe, nieważne rzeczy, kiść trawy, drzewo czepiające się korzeniami brzegu, obłok

szybujący nad płowym polem, gest, jakim stara kobieta ociera czoło, dostojną powagę krów wracających wieczorem do domu. I nie tylko dostrzegam, ale jakoś rozumiem, co widzę, ukryty sens tych spraw stał się jakby czytelniejszy, bardziej dostępny dla mnie. To pozwala mi inaczej spojrzeć na siebie, wiem, że moja historia też jest najzwyczajniejsza, że każdy przeżył coś takiego.

— ...chłopiec, o którym ci opowiadałam...

— To nie był ojciec?

— Skąd! To była moja pierwsza miłość, mogłabym powiedzieć: cielęca miłość, ale nie określę jej w ten sposób. — Palce mamy zręcznie łuskają zielone strączki, będzie na obiad groch z marchewką albo zupa-śmietnik. — Wtedy było to dla mnie coś poważnego, było prawdziwe. Nie można się wyśmiewać z prawdziwych spraw, choćby po latach wydawały się niepoważne.

— Co się stało z tym chłopcem?

— Nie wiem. Myślę, że się ożenił, ma dzieci. Pewno bym go nie poznała, gdybyśmy spotkali się na ulicy.

— A on ciebie?

— Także by nie poznał. Ćwierć wieku minęło od ostatniego spotkania. Jeszcze trochę i będziemy oboje mieli wnuki. Ja je na pewno niedługo będę miała, on, jak przypuszczam, też. — Mama wręcza mi miskę z wyłuskanym groszkiem, pochyla się, zbiera strączki, które spadły na podłogę. — Odnieś to do kuchni.

Nie odnoszę, bo muszę jeszcze o coś zapytać.

— Mamo, tobie nie żal?

— Czego nie żal?

— No... .— I kończę moje pytanie jednym tchem: — No tego, że tamto się skończyło?

— Tamto się skończyło, żeby się mogło zacząć coś innego. Potem coś innego też się skończyło i przyszło coś jeszcze innego.

— I jesteś zadowolona, że to nie jest tak, jak sobie kiedyś wyobrażałaś?

Mama zastygła z rozdartym strąkiem w palcach.

— Trudne pytanie, ale wiesz co, Madziu, powinnam się na ciebie obrazić.

— Dlaczego?

— Bo zakładając, że oczekiwałam czegoś innego, musiałabyś przyjąć, że chciałabym mieć inną córkę, innego syna, w ogóle inne życie. Czy rzeczywiście wyobrażasz sobie, że zamieniłabym cię na kogoś innego?

— Nie. To niemożliwe...

— Właśnie, niemożliwe. I chociażby dlatego twoje pytanie nie ma sensu.

My nazywamy te rozmowy — rozmowami o życiu, pewno na wyrost. Mnie one dużo dają. Dotąd sądziłam, że jestem inna niż wszyscy, a okazuje się, że wcale nie jestem. Przecież nie mówię z mamą o sobie, a jednak cały czas rozmawiamy o mnie.

Jest taka piosenka „Nic dwa razy się nie zdarza”... To nie jest prawda, a jednocześnie jest to najprawdziwsza prawda. Myślę, że wszystko powtarza się od początku świata, powtarza się dla każdego, tylko że każdy przeżywa to samo inaczej. Można by powiedzieć, że nic się ważnego nie dzieje, bo już wszystko było, znane, opisane, zwyczajne. Ale zwyczajne jest niezwyczajne dla tego, kto to przeżywa. Co mi pomoże, jeżeli wyliczę sobie wszystkie bohaterki książek, które też pierwszy raz kochały się nieszczęśliwie? Czy będzie mi lżej, kiedy przypomnę sobie wszystkie filmy o nieudanych uczuciach? Czy mogę zlekceważyć moje myślenie o Wieśku stwierdzeniem, że Agnieszka też się w nim podkochiwała bez wzajemności? A i Milena chyba także... Czy Magdzie cokolwiek pomoże świadomość, że Agnieszce i Milenie nie udało się, tak samo jak jej?

Więc to, że coś jest znane, nie przekreśla wcale tego, że każdy stanie któregoś dnia oniemiały i przerażony przed pierwszym uczuciem, pierwszą rozpaczą, pierwszym rozstaniem, pierwszym prawdziwym smutkiem, pierwszą tęsknotą. I że przeżyje je tak, jakby jemu jedynemu na całym wielkim świecie dano przeżyć coś podobnego. Czasami myślę, że życie jest niedorzecznie pokręcone, zachachmęcone,

zakałapućkane, właściwie wszystko jest względne. Spojrzysz tak — sprawa jasna, nie ma się nad czym zastanawiać, spojrzysz owak — nic nie można zrozumieć, czarna magia, nie wiadomo gdzie koniec, a gdzie początek.

— Mamo, powiedz...

— Tak?

— Chciałabyś być kimś innym?

— Nie chciałabym.

— Ale kimś bardzo sławnym?

— Nie, nawet kimś bardzo sławnym też nie.

— I nigdy nie chciałaś?

— Chciałam, jasne, że chciałam — mama uśmiecha się przepraszająco, może się wstydzi tych minionych chceń. — Była taka piosenkarka, Marta Mirska, pewnie nigdy nie słyszałaś o niej, ja się nią zachwycałam wyciągając trele w łazience. Nie miałam głosu ani słuchu, prawdę powiedziawszy. Wyobrażałam sobie też, że będę uczoną, zdaje się, że miałam zamiar przeprowadzać olśniewające eksperymenty w laboratorium. Szklane retorty, szumiące palniki, różnokolorowe płyny, ja w białym fartuchu, skupiona... Na litość boską, co za głupstwa przychodziły mi do głowy! Musiałam widzieć jakiś film o wielkiej uczonej, to mnie częściowo tłumaczy.

— Dlaczego mówisz, mamo, że to głupstwa?

— Madziu, miałam poważne kłopoty z arytmometrem. Każda zmiana w systemach rozliczeniowych wpędza mnie na jakiś czas w panikę, gdyby mi polecono reorganizować cokolwiek, przypuszczalnie umarłabym z przerażenia. Jednym słowem, jestem przeciwieństwem tego, co zwykło się nazywać twórczym umysłem.

— A wtedy... wtedy, kiedy marzyłaś, wiedziałaś o tym?

— Nie. Skąd mogłam wiedzieć?

— Więc kiedy się dowiedziałaś?

— Nieprędko. Właściwie całkiem niedawno.

Zapada cisza.

— Nie martw się za mnie, Madziu — przygarnia mnie ramię mamy. — Nic nie ginie, moje marzenia przekazałam Jurkowi i

tobie. Jestem bardzo ciekawa, co z nimi zrobicie.

— A jeśli z naszych marzeń nic nie wyjdzie, to co?

— To przekażesz je swoim dzieciom. Wreszcie nie wszyscy mogą być wielkimi ludźmi, najwięcej jest zwyczajnych i oni są potrzebni.

— Po co?

— Po to, żeby wychowywać dorastające córki, sporządzać bilanse kwartalne, gotować obiady i od czasu do czasu pogadać o ważnych sprawach.

— Dobrze, że jesteś taka — mówię i naprawdę to myślę, chociaż jeszcze niedawno byłam zdania, że w mamie nie ma nic specjalnie interesującego, umie tylko nieustannie zwracać nam uwagę i troszczyć się o dom. Pomyłka, po prostu ja nic nie umiałam zobaczyć,

Takie jest moje pogodzenie się z tym, co mnie ominęło, pojawiło się, nie wiadomo skąd, było i nie było jednocześnie. Wysoko, na żniwnym wozie, nad czubami wierzb słyszę minioną muzykę, o tam, w bruździe kartofliska, jaskrawią się czerwone maki, cała kępa. W lesie, obskubując z owoców sprężyste gałązki malin, widzę dwie głowy przy oknie i jeszcze raz czuję tamten żal i tamtą złość. W ciemnym zakątku, pod smutkiem olch i szeptem osiki, biegnę przez deszcz i wracam przez deszcz, jak wtedy nie rozumiejąca i jak wtedy nieszczęśliwa — ale to wszystko już straciło kolory, woń i ciężar.

Z zachłannością pochłaniam książki, każda zbieżność wymyślonych losów z moim własnym przyprawia mnie o bicie serca, podkreślam ołówkiem wybrane zdania, na marginesie stawiam wykrzykniki i znaki zapytania .

Tak bym nie postąpiła... Z tym się nie zgadzam... To uważam za niesprawiedliwe... Moja decyzja byłaby z pewnością inna...

Największy spokój spływa na mnie nad jeziorem, nad zatoczką zgubioną w trzcinach, gdzie drzemie leciwy szczupak i zaskrońce wygrzewają się w słonecznej plamie. Przychodzę tu zawsze sama, nikt nie wie o istnieniu tej malusieńkiej plażki okrytej przez dżunglę trzcin, należy tylko do mnie.

Trochę pływam, trochę myślę, a najczęściej siedzę na brzegu, obejmując ramionami kolana. Wokół mnie dzieje się tysiąc spraw, po trzcinach biega zaaferowany zwierzaczek, najmniejsza w świecie myszka, jej drobniutkie pazurki obejmują ściśle łodyżkę, na liściu grążela przysiadła stateczna żaba, nieznany ptaszek popiskuje niewidoczny, narybek całymi stadami wpływa na płyciznę i ucieka z płycizny przerażony czymś niedostrzegalnym dla mnie. Niby lśniący kwiat — nad wodą tańczy ważkal Czy to prawda, że ważki mają tylko ten jeden, jedyny, dzień życia, żeby się wylatać, nacieszyć słońcem, po- kołysać na aksamitnych kolbach tataraku, zatańczyć owadzi taniec z innymi ważkami? Jeżeli naprawdę tak jest, to niesprawiedliwe, nie wolno, żeby coś kończyło się wtedy, kiedy się właściwie wcale nie zaczęło.

Niesprawiedliwe...

Jak każdego innego dnia wracam przez rozgadane trzciny, w najbardziej grząskich miejscach ktoś nieznany a miłosierny rzucił ścięte pnie sosenek, spod stóp tryska żółta, ohydna woda, nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że ona jest martwa. Umarła woda. Czy woda w ogóle może umrzeć?

Jak każdego dnia przypominałam sobie wszystko od początku, spokojnie, starałam się oglądać siebie niby kogoś obcego. Tylko nic z tego nie wychodzi, trudno powiedzieć o swoim postępowaniu: nie tak, głupio, dziecinnie, dennie. Skąd mogę wiedzieć, czy drugi raz nie postąpiłabym tak samo: głupio, dziecinnie, dennie? Nie postąpiłabym. Postąpiłabym. Nie wiem. Chyba tak. Może nie.

— Chrząszcz brzmi w trzcinie — powtarzam niemądrze, żeby odpędzić dręczące myśli. — Przeleciały trzy pstre przepiórzyce przez trzy szare kamienice.

Już są. Już przyjechali, ojciec i Jurek, bo dzisiaj jest piątek, piątek przed wolną sobotą.

— Myślałem, że się nie dostaniemy do pociągu — narzeka ojciec. — Oczywiście wszyscy wyjeżdżają na zieloną trawkę, istny owczy pęd.

— Z nami na czele.

— To zupełnie inna sprawa... — Widać, że ojciec chciałby

zaprzeczyć z oburzeniem i wytłumaczyć Jurkowi, na czym polega inność ich wyjazdu, ale nieoczekiwanie macha ręką. — Niech ci będzie, że z nami na czele.

— My, nieszczęśni mieszkańcy zatłoczonych aglomeracji miejskich, instynktownie uciekamy od betonu, spalin, charczących hydroforów. To powiedziawszy oświadczam uroczyście, że nie czuję się nieszczęśliwy jako mieszkaniec pomienionej aglomeracji.

— Jednak kontakt z naturą...

— Chciałeś powiedzieć, tato, z muchami.

W istocie muchy mimo wieczoru krążą całą chmurą, bzykają denerwująco, przysiadają to tu, to tam.

— Synu, ty wszystko potrafisz popsuć. Po twoim odezwaniu muchy wydają mi się o wiele bardziej dokuczliwe niż przed chwilą.

— Oto jest potęga sugestii — chełpi się Jurek i mruga do mnie.

Ostatnio byliśmy w bardzo dobrych stosunkach i mam wrażenie, że jesteśmy nadal. Brat przestał mnie nazywać Lukrecją, Ofelią, Julią, Izoldą i dokuczać przy każdej okazji, zrobił się zupełnie miłym starszym bratem, mam wrażenie, że coś wpłynęło na wysłodzenie się jego charakteru. To coś ma na imię Danuta i jest zupełnie miłe. Mnie się także podoba.

— Uważam jednak, że wprowadzenie wolnych sobót wymaga przemyślanego zaplecza komunikacyjno-rekreacyjnego. Chodzi o to, żeby wolny czas był spożytkowany sensownie, a nie stracony na koszmarne gniecenie się w przepełnionym pociągu i koszmarne wystawanie w kolejce do stolika w restauracji, gdzie można zjeść wyłącznie koszmarny bigos.

— Racja, tato. Święta racja.

Przy tej rozmowie do pokoiku wynajętego u gospodarzy, do serwatkowych woni, maciejki za oknem i krążących niezmordowanie much— przywędrował nasz daleki dom. Nie ma już tego niedużego okienka z krzyżem ramy, zniknęło, tak jak rozwiały się świece malw i wiśnia, a za wiśnią poważne sosny lasu. Jest blok, za nim drugi blok, za tym drugim trzeci, dziesię- ciopiętrowe, z identycznymi

balkonami, z prostokątami szyb, już wieczór, więc zapalono światło. Tamte okna, tak, tamte okna, wiem, że nie powinnam, ale spojrzę w nie raz jeszcze, niech to będzie ostatni raz, na pożegnanie.

— Magdzioł...

— No?

— Nie: „no", tylko: „proszę", dobre maniery jeszcze nikomu nie zaszkodziły. Mam coś dla ciebie. Dostaniesz, jak zgadniesz co. Zgadujesz?

— Czekolada?

— Niewypał.

— Japonki? Pisałam do ojca, żeby...

— Pudło.

— Rakietki do badmintona?

— Nie.

— Oj, daj mi spokój! — Gdzieś blisko, bardzo blisko jest znajoma twarz. Gdybym mogła zamknąć na moment oczy, zobaczyłabym Wieśka, tak jak go widziałam pierwszego dnia wiosny. Ale nie mogę zamknąć oczu, bo Jurek mnie męczy swoimi zagadkami. — Możesz mi nic nie dawać. Nie znoszę zagadek.

— Nie znoś dalej. Ale żebyś nie żałowała.

— Nie będę.

— Daj słowo, Magdzioł, że nie będziesz.

— Słowo.

— W takim razie proponuję ci spacer nad jezioro.

— Teraz? Po nocyj? Jest zupełnie ciemno — wtrąca z boku mama. — Pójdziecie jutro.

— Pójdziemy taml teraz. I ty pójdziesz z nami.

— Nie chcę, żeby mnie komary zżarły — broni się mama.

— Mamy sporo spiraw do obgadania — wspiera obronę mamy ojciec. — Skoro koniecznie musicie, idźcie sami. Wiesz, Janko, dzwoniła do mnie pani Zofia. Prosiła, żeby ci przekazać...

Poszliśmy — przez sosnową, żywiczną ciemność — po suchej, piaszczystej dróżce, aż do tego miejsca, gdzie sosnowy las zastępowały nieśmiałe brzozy, bielejące w mroku, i

smutne olszyny. Na niebo wytoczył się księżyc i na jeziorze położył drgającą srebrną drogę,

— Masz — Jurek wcisnął mi do ręki niedużą paczuszkę.

— Co to?

— Nie wiem. Może rakietki do badmintona, a może japonki. Rozwiń, to się dowiesz.

Rozwinęłam szary papier, w środku była książka. Nieduża, zniszczona, z oślimi uszami i z plamą od długopisu. Parandowski, „Mitologia".

— Eee, ja to czytałam — rozczarowałam się.

Rzecz była w stylu mego brata — pogonić kogoś kilometr lasem po nocy, żeby na brzegu jeziora, w zimnym lśnieniu księżyca, obdarować go zniszczoną, za- czytaną książką.

— Trudno, on najwidoczniej tego nie wie.

— Kto? — zapytałam bez tęhu.

— Twój kolega, no, ten od wyścigówki, jak mu tam? Prosił, żebym ci to oddał, jak się zobaczymy. Myślałem, że się ucieszysz, a sceneria, którą dla ciebie wyczarowałem, sama przyznasz, Magdzioł, ponad wszelkie pochwały...

Księżyc wędrował ciągle ponad jeziorem, a ja stałam bez ruchu, trzymając ostrożnie książkę. Może nie wszystko skończone? Ta książka jest znakiem, czymś więcej niż list, dowodem, że nie tylko ja wspominam to, co przeszło, prośbą, żebym nie zapomniała.

— Swoją drogą wcale bym się nie zdziwił, gdyby teraz z trzcin wybiegła jakaś nimfa albo satyr prze- cwałował na koźlich kopytkach. Ale ocknij się z zadumy, Magdzioł, i uciekajmy. Mama miała rację, komary żrą niemiłosiernie.

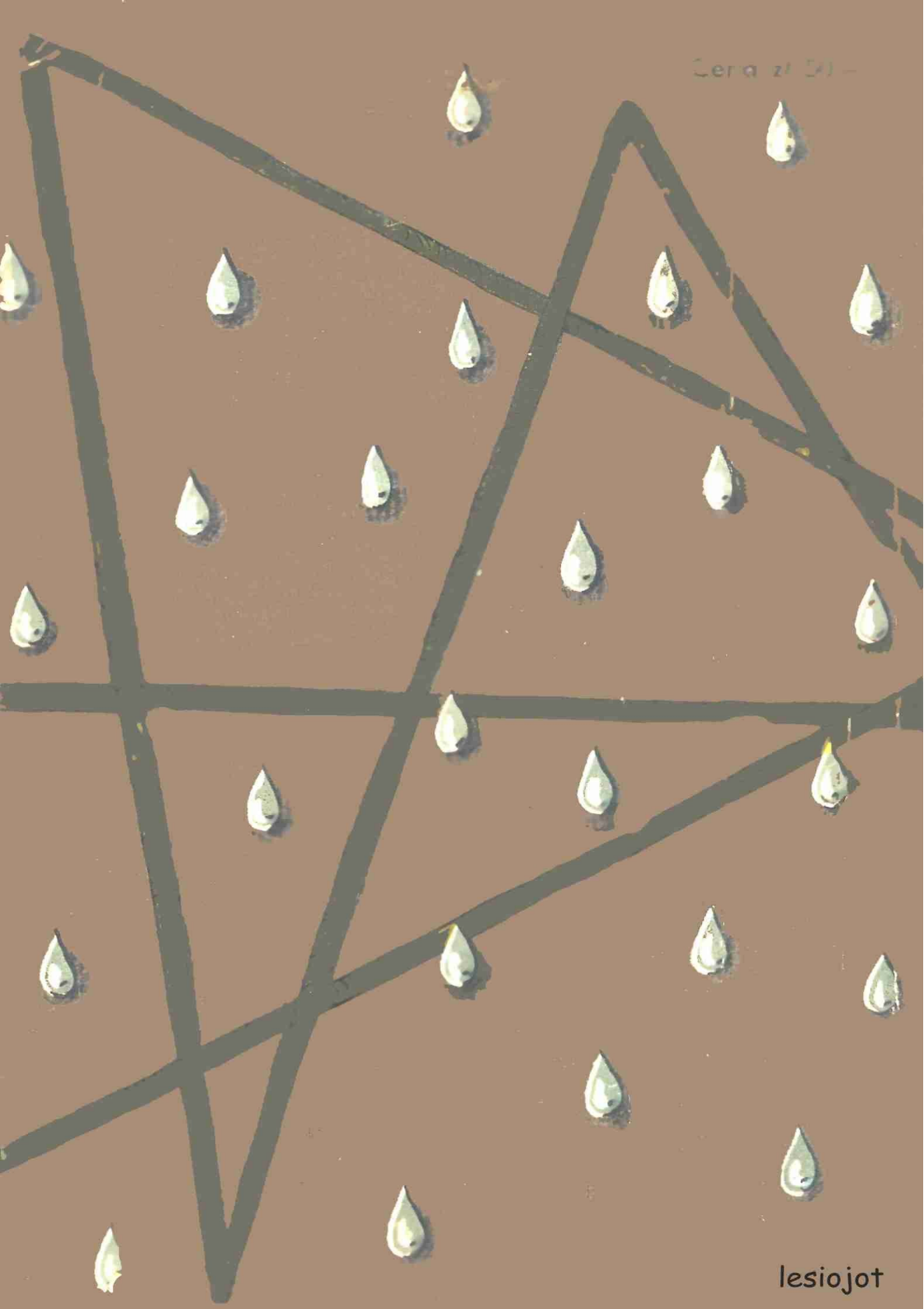
lesiojot